
FIKCJE I FAKTY

Czas ma nadzwyczaj
coś gorzkiego w sobie!
Zygmunt Krasiński

W miarę upływu lat, gdy staję się z każdym dniem starszy, w długie bezsenne noce rozmyślam o działaniu czasu. Zaś pewien mój znajomy przez całe noce myśli jak zarobić pieniądze. (Czas to pieniądz). W rzeczy samej zaprzątamy sobie głowy tym samym problemem, z tą tylko różnicą, że on jest bogaty, a ja ledwo wiążę koniec z końcem. I tak to zastanawiam się, jak czas zmienia poglądy i obyczaje, style i upodobania. Znamienny tego przykład znalazłem we *Francuskiej ścieżce* W. Łysiaka.

„Gdy w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia rząd francuski ogłosił decyzję budowy wieży Eiffla, mieszkańcy Paryża dostali szału. Do tej pory akceptowali konstrukcje żelazne i stalowe; kiedy legendarny Haussman ryczał na projektującego nowe hale Baltrada: „... du fer, du fer, rien que du fer!!!", większość nie miała tego za złe. Hale? proszę bardzo, handel rybami nie wymaga pałaców. Ale gdy zobaczyli projekt stalowego Guliwera, który ma się rozkraczyć nad miastem jak nad liliputem, opanowała ich gorączka. Nie wyrazili zgody na tę agresję „barbarzyńskiej siły". W prasie rozpętano wściekłą nagonkę pod hasłem: „Precz z tym szkieletem z nitowanej blachy!" i wkrótce dezaprobata opanowała na kształt zarazy całą Francję. Wśród atakujących znajdowali się gwiazdorzy literatury i sztuki. W końcu pięćdziesięciu wielkich, a wśród nich Karol Gounod, Aleksander Dumas – syn, Guy de Maupassant, Leconte de Lisle oraz spora grupa malarzy i rzeźbiarzy napisało otwarty list protestacyjny do władz, twierdząc, że wieża Eiffla „zeszpeci i zhańbi miasto Paryż".

Rząd nie ugiął się i mimo rozjuszenia opinii publicznej doprowadził realizację do końca w roku 1889. Jeszcze przez kilkanaście lat po uroczystej inauguracji tysiące Francuzów złorzeczyło jej („Ohyda!" – krzyczał Verlaine), wydrwiwało i proponowało wysadzić w powietrze, budząc tym przygnębienie zakochanego w swej utopii Eiffla. Gdy któryś z przyjaciół spotkał Maupassanta w restauracji na wieży i wyraził zdziwienie, pisarz odrzekł:

– To jedyne miejsce w Paryżu, gdzie mogę spożyć śniadanie nie patrząc na nią.

Wyjeżdżając w podróż tłumaczył:

– Opuszczam Paryż, gdyż obmierzła mi ta wieża. – Bito mu brawa.

A teraz? Paryżanie uwielbiają swoją wieżę, zwąc ją „najpiękniejszą paryżanką", paryski pejzaż byłby bez niej jak człowiek bez nogi."

Czas potwierdził rację rządu. Gdyby dziś mer Paryża chciał zburzyć wieżę Eiffla, pisarze i artyści wnosiliby protesty, a opinia publiczna, czyli lud, z pewnością by do tego nie dopuściła. Ot, z czasem przywykli.

Artur Bartels (1818–1885) satyryk, karykaturzysta i piosenkarz, opinię publiczną ocenił podobnie jak rząd. W wierszu *Vox populi, vox Dei* pisał:

Że głos ludu głosem Boga,
Stare powiada przysłowie,
Ale doświadczenia droga
Co innego niech nam powie;
Głos ludu, czyli większości,
Jest najczęściej głosem tłumu,
Bez serca i bez rozumu,
Najopłakańszej mierności.

Wtórował mu nieco młodszy Adam Asnyk (1838–1897):

Skoro kto rzuci myśl nową,
Opinia kręci swą głową,
Zaraz podnoszą się krzyki:
„Jakiż paradoks to dziki!
Dla ludzi i dla społeczeństw
Kryjący zbiór niebezpieczeństw."
Lecz z czasem, gdy coraz dalej
Z tą myślą się spoufali,
Woła opinii trybunał:
„Ależ to prosty komunał."

Wracam jednak do czasu i architektury. Opowiedziełem kiedyś swojej córce, jak w czasach młodości zachwycaliśmy się architekturą Pałacu Kultury i Nauki. Gdy skończyłem wspomnienia, popatrzyła na mnie z politowaniem i po chwili zapytała:

– Ale teraz masz już chyba smak bardziej wyrobiony?

Wtedy zrozumiałem, że „czas ma nadzwyczaj coś gorzkiego w sobie."

Redaktor



Maria Skolarczyk

Zwiastuny zła

Mało jest ciał niebieskich, które wzbudzałyby tyle emocji co komety. Od dawien dawna dla jednych są one zwiastunami zła i zagłady, a inni twierdzą, że są to trzeciorzędni mieszkańcy kosmosu, bez najmniejszego wpływu na bieg tego świata. Najwięcej kontrowersji wzbudza możliwość zderzenia komety z Ziemią. Koncepcja taka frapuje najbardziej autorów literatury *science-fiction*, scenarzystów filmowych, jest też tematem sensacyjnych artykułów prasowych, rozważających możliwość „wielkiego zderzenia". Rozważania na ten temat pojawiają się tym częściej, im bliżej do roku 1986, kiedy to kometa Halleya znajdzie się w pobliżu Ziemi. Nie są one niczym nowym, bo plotki o możliwej, ba, o nieuniknionej kolizji komety z Ziemią wywołały już w 1773 roku panikę wśród mieszkańców Paryża. W 1857 roku w Londynie ukazała się książeczka zatytułowana *Czy Wielka Kometa Szybko Zbliżająca się Uderzy w Ziemię*, w której kolizję rozpatrywano tylko jako jedną z ewentualności, natomiast ostrzegano czytelników przed straszliwym gorącem wywołanym przez przelatującą nie opodal naszego globu kometę.

•

Niektóre współczesne hipotezy są bardziej racjonalne. Zakładają, że komety są na równi nosicielkami życia i śmierci. Dwaj powszechnie szanowani astrofizycy brytyjscy, sir Fred Hoyle i Chandra Wickramasinghe, ogłosili w końcu lat siedemdziesiątych, że życie na Ziemi zostało zapoczątkowane przez komety. Ich zdaniem, są to potężne śnieżno-lodowe kule, w których, jak w zamrażarkach, spoczywa międzygwiezdne uniwersalne pożywienie. Wydaje się ono być nieco przedatowane, gdyż kiedy powstawał system słoneczny – jak twierdzą astrofizycy – kosmos przemierzały całe stada komet przebijając się z trudem przez tumany kurzu składającego się z różnych związków węgla, a przede wszystkim z celulozy. Jądra komet obrastały więc powoli kożuchem kurzu, który zamarzał stopniowo od środka, a stapiał się ze śniegiem i lodem na powierzchni pędzącej przez międzygwiezdne otchłanie komety. Z czasem zapasy kosmicznego pożywienia urosły i lodowo-śnieżno-celulozowa kula zamieniła się w hibernujący plemnik, czekający tylko na okazję, by zapłodnić życiem jakąś planetę. Ziemia miała, zdaniem obu astrofizyków, „stracić wianuszek" jakieś cztery miliardy lat temu. Pełna międzygwiezdnego pożywienia kometa – zamrażarka trafiła w naszą planetę, wytworzyła się wysoka temperatura, która stopiła lód i nadała impet wielu reakcjom chemicznym. W ich wyniku powstało spontanicznie białko, z białka wirusy, z nich bakterie i tak dalej, i tak dalej, aż do homo sapiens, którego to gatunku dwaj przedstawiciele zgłębili tajemnice astrofizyki i...

Od teorii zakładającej, że komety są magazynami związków organicznych już tylko krótka droga do założenia, że mogą być one również magazynami prymitywnych form białkowych lub wirusów. Hoyle i Wickramasinghe poszli właśnie tą drogą i ogłosili, że komety powodują, ni mniej, ni więcej, tylko epidemie grypy. Ich zdaniem, jest rzeczą niewykluczoną, że lodowe komety-zamrażarki przechowują w swych komorach nie tylko celulozę, ale również spontanicznie powstałe i hibernujące wirusy, w tym także wirusy chorobotwórcze. Te zdmuchnięte z powierzchni komety przez wiatr słoneczny tworzą chmurę za jej ogonem i jeżeli Ziemia znajdzie się w zasięgu takiej chmury, czeka nas kolejna epidemia. Potwierdzeniem tej teorii ma być, zdaniem obu astrofizyków, wielka epidemia grypy we wrześniu 1918 roku. Wówczas to pierwsze przypadki zachorowań zanotowano w amerykańskim stanie Massachusetts, w osiem lat po przelocie komety Halleya, a kolejne w kilka dni później w odległym o tysiące kilometrów Bombaju. Komunikacja lotnicza była w tym czasie w powijakach, a więc nie ma innego wytłumaczenia niż „zarażenie z zewnątrz". Hoyle podaje również, że potwierdzeniem jego teorii są pamiętne epidemie grypy w latach 1957 i 1968. Na całym świecie chorowały wówczas miliony ludzi i to przeważnie młodych. Ludzi starszych wiekiem grypa się nie imała, gdyż – jak uważa Hoyle – byli oni już uodpornieni, jako że chorowali na nią w dzieciństwie za sprawą chmury wirusów wlokących się w ślad za kometą Halleya. Kształt tej teorii psuje wprawdzie nieco fakt, że w dwóch ostatnich przypadkach epidemii grypy „azjatyckiej" nie zapowiadały komety, ale jako się rzekło najważniejszy jest przelot Ziemi przez „chmurę" hibernujących wirusów.

To, że komety sprowadzają choroby, przyjęto jako pewnik już w 1664 roku, kiedy to nad Londynem pojawiła się kometa, a w rok później potworna epidemia dżumy zabrała do grobu co piątego mieszkańca stolicy Imperium. Ba, epidemie! Sławny „kometolog" Edmond Halley był dogłębnie przekonany, że biblijny potop był dziełem komety. W 1694 roku wystąpił on w Royal Society z twierdzeniem, że potop był ubocznym skutkiem uderzenia komety w Ziemię. Impet uderzenia był tak duży, że odchylił oś obrotu Ziemi i oceany wylały się. Trudno dzisiaj stwierdzić, jak przyjęło hipotezę Halleya audytorium Royal Society. Współczesnym odpowiednikiem jego katastroficznej wizji jest teoria tłumacząca nagłe wyginięcie dinozaurów, olbrzymów, które przez przeszło sto milionów lat rządziły Ziemią. Przed

wiekami tłumaczono sobie, że były one zbyt duże i nie zmieściły się do arki Noego, później, że nie potrafiły przystosować się do zmiennych warunków życia – słowem, że były zbyt głupie, żeby przeżyć. Problem nie w tym, że gigantyczne gady wyginęły, ale w tym, że wymarły niemal błyskawicznie. Zgodnie z obliczeniami geologów i paleontologów studiujących złoża skał osadowych potężne brontozaury czy tyranozaury wyginęły w ciągu mniej więcej stu lat. Co dziwniejsze, w tym samym czasie wyginęły też żyjące w morzach amonity, liczące do trzech metrów głowonogi, oraz wiele innych stworzeń wodnych. W późniejszych, trzeciorzędowych osadach nie było po nich śladu. I jeśli w przypadku głównie roślinożernych dinozaurów można jeszcze wysuwać różne teorie: małe drapieżne prassaki wyżarły doszczętnie ich jaja, rośliny, którymi się żywiły, wyginęły, a one same nie potrafiły przystosować się do innej diety itp., to równoległy „pomór" wśród mieszkańców mórz znacznie trudniej wytłumaczyć. Wysuwano hipotezy o nagłym spadku poziomu wód, o poważnym obniżeniu się temperatury, o fali promieniowania, która przeniknęła przez atmosferę po wybuchu pobliskiej gwiazdy, ale wszystkie te teorie nie brzmiały przekonująco, podobnie jak standardowe stwierdzenia w rodzaju: „starzenie się szczepu oraz rozwój konkurencyjnych grup". Dopiero holenderski geolog Jan Smit wyjaśnił, że podobnie jak dinozaury i amonity także różne żyjątka morskie wyginęły w ciągu mniej więcej stu lat, a potem przez kolejne dziesięć tysięcy lat wody mórz i oceanów były prawdziwą pustynią biologiczną. Smit doszedł do tego wniosku badając skały osadowe w Caravaca w południowo-wschodniej Hiszpanii.

Trochę nie wierząc wynikom własnych badań postanowił je sprawdzić. Jedną z metod obliczania wieku skał jest badanie ilości zawartości irydu, metalu niesłychanie rzadko występującego na Ziemi. Najprawdopodobniej spada on z kosmicznym kurzem, przedostającym się przez atmosferę. W badaniach prowadzonych wspólnie z belgijskim ekspertem od meteorytów Janem Hertogenem Smit zastosował tę metodę, a wyniki badań zaskoczyły obu uczonych. Pięciomilimetrowa warstwa osadu miała czterysta sześćdziesiąt razy większą zawartość irydu niż powinna mieć. Zapachniało sensacją, tym bardziej, że Luis i Walter Alvarezowie z kalifornijskiego uniwersytetu Berkeley odkryli w osadzie z podobnego okresu, znalezionym we włoskiej miejscowości Gubbio, trzydziestokrotnie wyższą niż norma koncentrację irydu. Próbka znaleziona w Danii, a zbadana przez Alvarezów, miała koncentrację sto sześćdziesiąt razy większą. Iryd nie pochodził z Ziemi, a więc... Jedynym racjonalnym, na razie, wytłumaczeniem jest kolizja Ziemi z innym ciałem kosmicznym. Gdyby iryd pochodził z eksplozji pobliskiej gwiazdy i przedostał się w takich ilościach przez atmosferę, to wraz z nim powinien również znaleźć się pluton, towarzyszący zwykle wybuchom gwiezdnym. Plutonu jednak nie było.

Obliczenia, dokonywane na różne sposoby, wykazały, że sześćdziesiąt pięć milionów lat temu w Ziemię uderzyło „coś", co miało około dziesięciu kilometrów średnicy. Impet wyrzucił w powietrze kawałki naszej planety o masie sto razy większej niż ważył „intruz", wzbijając przy tym gigantyczną chmurę kurzu i pyłu, która rozpełzła się wokół Ziemi. Była ona tak gruba, a cząsteczki kurzu były tak drobne, że na całej Ziemi zapanowała noc i trwała nieprzerwanie przez cztery lata! Dopiero później nikła szarość światła słonecznego zdołała przebić się przez warstwę wciąż jeszcze wiszącego w powietrzu kurzu. Coś podobnego, ale na nieporównywalnie mniejszą skalę, notowano po wybuchu wulkanu Krakatau w 1883 roku, kiedy to kurz w atmosferze znajdowano jeszcze po dwóch latach.

Czteroletnia noc spowodowała tragiczną katastrofę ekologiczną. Pierwsze wyginęły rośliny, a po nich roślinożerne dinozaury. Mięsożerne mogły jeszcze przez jakiś czas żywić się padliną, ale i one musiały się poddać. Podobnie w morzach, gdzie pierwsze wyginęły małe glony, a będąc podstawą pożywienia innych stworzeń wodnych pociągnęły za sobą śmiertelną lawinę. Przeżyła tylko wodna i ziemna „drobnica", żywiąca się nasionami, korzeniami, pędami itp.: robaki, zwierzęta wodne żyjące w mule, owady, niektóre ptaki oraz ssaki, które wówczas były na niskim szczeblu ewolucyjnym i przypominały drobne drapieżne gryzonie, prawdopodobnie wszystkożerne, a więc znakomicie przystosowane do przetrwania takiej katastrofy.

Słabym punktem tej hipotezy jest brak śladu uderzenia. Poszukiwania krateru, o średnicy mniej więcej stu pięćdziesięciu kilometrów, powstałego przed około sześćdziesięciu pięciu milionami lat, nie dały, jak dotychczas, pozytywnych wyników. Dość obiecująco wygląda wprawdzie okrągły kształt na dnie morza w pobliżu północnych wybrzeży Australii, ale czy tam spadła kometa, bądź meteor, sprawca tej gigantycznej katastrofy ekologicznej?

Podobnie nie wyjaśnioną zagadką jest sprawa meteorytu tunguskiego. To co działo się trzydziestego czerwca 1908 roku, sześćset pięćdziesiąt kilometrów na północ od Irkucka, współczesne hipotezy łączą z kometą. Hipotezę taką wysunął, między innymi, w 1930 roku brytyjski astronom Francis Whipple, zaś w 1975 roku izraelski uczony Ari Ben-Menahem obliczył, zebrawszy wszelkie dostępne dane, że tajemniczy obiekt, jakikolwiek on by był, eksplodował na wysokości ośmiu i pół kilometra nad Ziemią z siłą równą wybuchowi dwunastu i pół miliona ton trotylu. Kierując się tymi danymi inny brytyjski astronom David Hughes wyliczył, że meteoryt tunguski miał mniej więcej czterdzieści metrów średnicy i ważył około pięćdziesięciu tysięcy ton. Obliczenia te zgodne są z przechowywanymi w radzieckich archiwach relacjami świadków eksplozji, którzy średnicę nadlatującego obiektu oceniali na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów. Brak kamieni oraz krateru na miejscu eksplozji uczeni wyjaśnili faktem, że mini--kometa składała się głównie z lodu. Słowacki uczony Lubor Kresak stwierdził, po przeanalizowaniu trajektorii różnych komet, że tajemniczy meteoryt tunguski był po prostu większym fragmentem „śmiecia" ciągnącego się za ogonem komety Encke, która w tym czasie przelatywała „nie opodal" naszej planety. Frapująca historia, pachnąca katastrofą statku pozaziemskiej cywilizacji, bądź precyzyjnie nakierowanym i odpalonym ładunkiem nuklearnym, może być prozaicznym „kawałkiem" zakurzonego lodu, zabłąkanego w kosmosie.

Peruwiańscy Inkowie kojarzyli pojawienie się komety z rychłą zemstą boga Słońca Inti. Bożą karę, jak wierzono, można było odwrócić składając ofiarę z żywych ludzi. Ale co tu mówić o Inkach, skoro w 1910 roku w Oklahomie, podczas pojawienia się komety Halleya, tylko szybka interwencja szeryfa uratowała życie młodej dziewczynie, przeznaczonej już na ofiarę dla przebłagania gniewu bożego. Pół wieku później w tych samych, ale skomputeryzowanych Stanach Zjednoczonych z całą powagą twierdzono, że kometa Pereyra zwiastowała zamordowanie prezydenta Kennedy'ego w Dallas w 1963 roku, a kometa Kohoutka w 1974 roku zapowiedziała pohańbienie prezydenta Nixona w wyniku afery Watergate. Pisały o tym

szeroko wielonakładowe dzienniki na obu wybrzeżach Ameryki.

Związek między pojawieniem się komet a losem aparatu władzy traktowany był bardzo serio przez dwór cesarski Państwa Środka. Edykty cesarza chińskiego nakładały na astronomię pieczęć tajemnicy państwowej najwyższej rangi. Edykt z 840 roku stwierdzał między innymi, że: „astronomowie w żadnym przypadku nie mogą kontaktować się z urzędnikami dworskimi, nie mówiąc już o zwykłych poddanych". Obawiano się bowiem na dworze, że uczeni mogą zdradzić sekrety układów planet, zaćmień Słońca lub, co najgorsze, przepowiedzieć pojawienie się komety i tym samym dostarczyć ewentualnym przeciwnikom cesarza znakomitego oręża propagandowego. Później cesarski edykt rozciągnięto także na matematykę, której studiowanie bez specjalnego zezwolenia uważane było za zdradę główną, karaną gardłem. Że nie były to tylko czcze pogróżki świadczy legenda o ścięciu z rozkazu cesarza panów Ho i Hi, dwójki astronomów z dworskiego obserwatorium na Purpurowym Wzgórzu koło Nankingu, gdzie i obecnie znajduje się jedno z najbardziej liczących się chińskich obserwatoriów astronomicznych. Jeśli wierzyć legendzie, przyczyną ukarania pary astronomów była jednak nie zdrada tajemnic naukowych, lecz trywialne pijaństwo i przegapienie zaćmienia Słońca.

Drakońskie przepisy dyscypliny pracy dawały efekty. Komety obserwowano wnikliwie wprowadzając nawet ich klasyfikację wedle kształtu i rozmiarów ogona, który mierzono w stopach. Były więc, w chińskiej klasyfikacji, komety o ogonach przypominających miotłę, płomyk świecy, żagiel itp. Cesarscy astronomowie uważali, że komety, podobnie jak Księżyc, li tylko odbijają światło słoneczne, a ich ogon jest efektem rozproszenia odbitego światła, różnym w zależności od kąta padania. Trzeba przyznać, że europejska astronomia kilka wieków później posunęła się niewiele naprzód. Komety uważano za malutkie okienka w nieboskłonie, przez które przedziera się światło słoneczne – ogon. Później wysunięto hipotezę, że komety przedzierają się przez „eter kosmiczny" i pozostawiają za sobą rozburzony ślad – ogon, podobnie jak kilwater za płynącym statkiem. W latach osiemdziesiątych XVII wieku wielki Isaak Newton twierdził, że ogony komet zwiększają się, gdy przelatują one w pobliżu Słońca, gdyż wysoka temperatura powoduje parowanie materiału, z którego zbudowana jest kometa. Newton uważał komety za „magazyny niebiańskiej wilgoci" i „witalnego ducha" wysyłane przez niebiosa dla podtrzymania życia planetarnego.

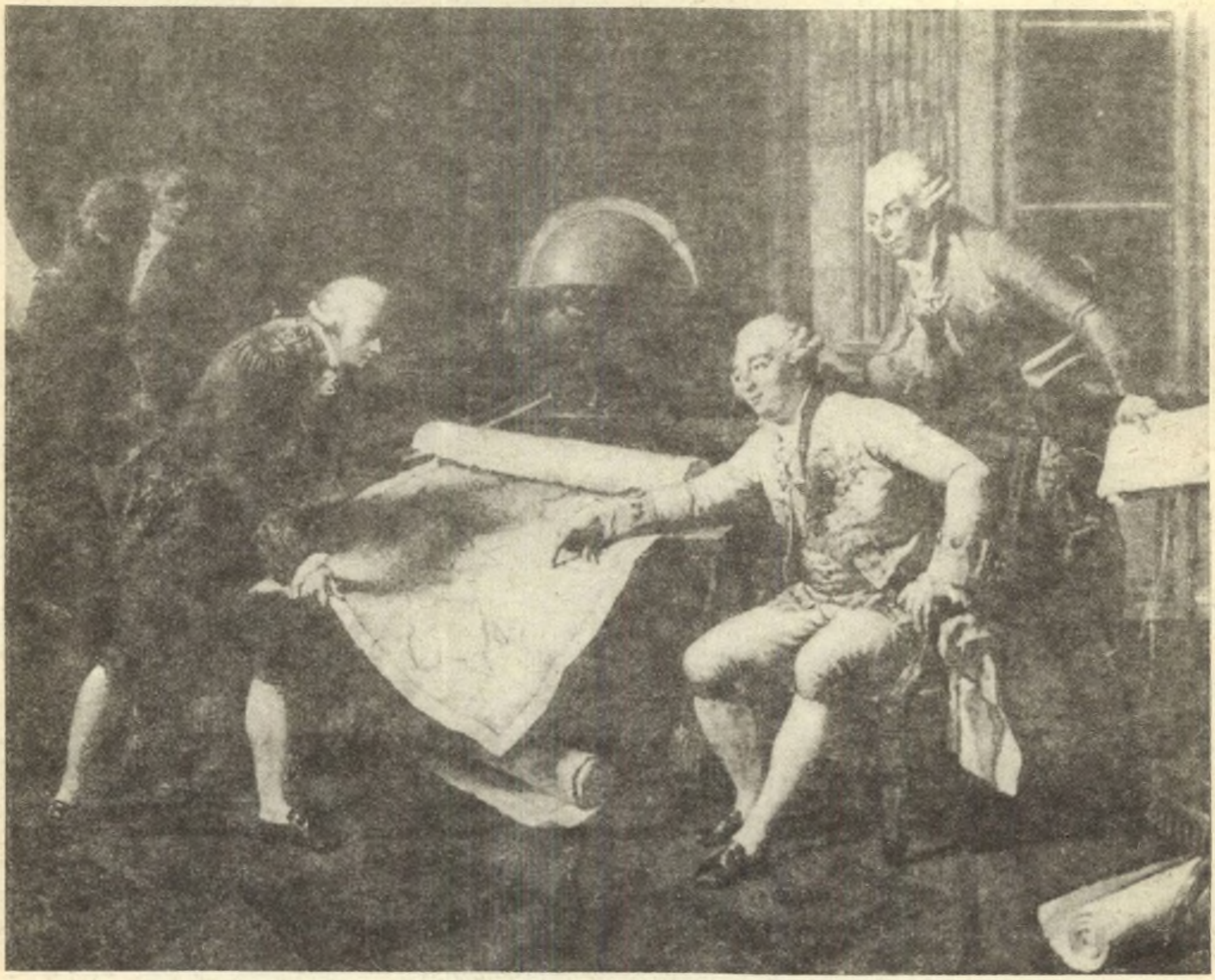
Pierwszym, który prawidłowo ocenił budowę ogona komety, był żyjący na przełomie XVI i XVII wieku królewski matematyk Johannes Kepler. Twierdził on, że ciśnienie promieni słonecznych zwiewa różne drobinki z powierzchni komety, które układają się za nią w ogon. Keplerowska teoria, choć uważana za piramidalną bzdurę przez współczesnych mu uczonych, jest w swej idei zgodna z dzisiejszą wiedzą o kometach.

Komety pochodzą, według teorii Jana Hendrika Oorta, współczesnego astronoma holenderskiego, z gigantycznego obłoku komet, okrążającego Układ Słoneczny. Wewnątrz Układu Słonecznego poruszają się po wydłużonych, eliptycznych orbitach. Szacuje się, że duża i aktywna kometa podczas przelotu w pobliżu Słońca traci kilkaset milionów ton swojej wagi w postaci par i pyłu porwanego słonecznym wiatrem. Porwane z powierzchni lecącej komety cząsteczki mają średnicę tysięcznych części milimetra i ciągną się za kometą jak kłąb kurzu, a widzimy je w postaci pięknego ogona, nazywanego czasem warkoczem, ponieważ odbijają światło słoneczne. Kształt ogona zależy od ruchów „głowy" komety, odległości od Słońca i od tego, czy kometa zbliża się do Słońca, zawraca, czy oddala się. Podczas dolotu ogon ciągnie się za kometą, podczas nawrotu wygina się, co przypomina zakrzywioną szablę, wzbudzając swego czasu panikę w Turcji i Persji, a podczas odlotu początkowo ogon jest przed głową komety i dopiero później kometa „mija" go i kształt wraca do „normy".

Porwany przez wiatr słoneczny pył został zebrany i przeanalizowany przez NASA. Okazało się, że komety „dymią" związkami krzemu, magnezu, żelaza i węgla. W ogonie komety Kohoutka wykryto nawet kwas pruski i tlenek węgla. Niektórzy naukowcy przypuszczają, że co najmniej sześć procent masy komet to zestalony, zamrożony tlenek i dwutlenek węgla, a jeden procent stanowią różne inne związki węgla, w tym także alkohol, którego całkiem sporo jest podobno w przestrzeni kosmicznej. Jak widać, termin „księżycówka" nie jest pozbawiony podstaw astronomicznych. Jakkolwiek by nie było, Edmond Halley, ojciec chrzestny komety, która cyklicznie co siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć lat odwiedza okolice Ziemi, czuł przez całe dorosłe życie pociąg do komet, jak i do alkoholu, przede wszystkim koniaku.

Komety były pasją Edmonda Halleya. Zwłaszcza jedna, dla której poświęcił swą noc poślubną dwudziestego drugiego listopada 1682 roku. Obserwował ją, gdy przelatywała, później obliczał jej trajektorię (gdy Newton wyjaśnił mu, że komety poruszają się po torach zakrzywionych), w końcu wyliczył, że jego „wybrana" wraca w okolice Ziemi co siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć lat. *Ona wróci dokładnie w 1758 roku* – przepowiadał Halley. Nie doczekał się sprawdzenia wróżby. Zmarł w 1742 roku, trzymając w ręce kieliszek ulubionego koniaku. Kometa nie zawiodła go jednak. Pojawiła się w dzień Bożego Narodzenia 1758 roku i nadano jej nazwę komety Halleya. Wizytowała ona pobliże Ziemi dwadzieścia dwa razy, zanim Halley przewidział jej przylot w 1758 roku, a później odwiedziła nas jeszcze dwukrotnie, w 1852 i 1910 roku. Teraz spodziewana jest w roku 1986, punktualnie siedemdziesiąt sześć lat po ostatniej wizycie. Jakie będą uboczne efekty jej przelotu, nie sposób przewidzieć, ale wiadomo, że nie grozi Ziemi kolizją. Kometa Halleya była najbliżej Ziemi w 837 roku i wówczas minęła nasz glob o sześć milionów kilometrów. (Dla porównania odległość Ziemi od Słońca wynosi 149,6 miliona kilometrów). Od tego czasu stara Ziemia cieszy się spokojem. W ostatnich kilku stuleciach tylko kometa Lexel przeleciała, w 1770 roku, dość blisko, bo o milion kilometrów. Inne komety tylko ukradkiem zaglądają w nasze rejony.

Kometa Halleya w trakcie najbliższej wizyty będzie widoczna w trzecim tygodniu stycznia 1986 roku, nisko nad zachodnią stroną horyzontu, tuż po zachodzie słońca. Będzie błyskać słabiutko, jak gwiazdeczka marnej wielkości. Dopiero gdy obiegnie Słońce, jej widzialność polepszy się, ale i to tylko nad Australią, Nową Zelandią i Argentyną, gdzie będzie przelatywać w kwietniu. Z Europy nie będzie wówczas wcale widoczna. W maju będziemy mogli natomiast spodziewać się doskonale widocznego deszczu meteorytów i spadających gwiazd, gdy Ziemia będzie przechodzić w pobliżu orbity komety. Wówczas to przesądni będą mogli wypowiadać w głębi duszy swe marzenia, z gwarancją, że się spełnią, zaś handlarze pamiątek sprzedawać pamiątkowe medale, odznaki i koszulki z wizerunkiem komety.



Togo od zaczekania się na smutek w La Rochelle

Waldemar Łysiak

Tej strony prawdy możesz nie widzieć synu królu swych oczu błękitnych w oślepiającej krainie młodości że nie ma spełnienia czynu pod dachem niebios bezmyślnych...

Fragment *Tej strony prawdy* Dylana Thomasa (tłum. Andrzeja Słomianowskiego)

Z Noirmoutier przedostałem się na wyspę Ré, a stąd do La Rochelle. Tutaj powróciła do mnie twarz La Pérouse'a. Widziałem ją w Paryżu i zapamiętałem.

W paryskim Muzeum Francji Zamorskiej wisi obraz Mikołaja Monasiau przedstawiający kilka postaci w jednym ziarnie czasu – ostatnią rozmowę Ludwika XVI z La Pérouse'em. Twarze królów utrwalają podręczniki, twarze sług nie posiadają na ogół twarzy w świadomości pokoleń. Pamiętają je ich potomkowie i biografowie. A twarze muzeów? Tyle jest muzeów we Francji. Francja jest Luwrem muzeów, nie ma mieściny bez muzeum; setki przybytków, a w nich tysiące płócien, a na tych płótnach tysiące twarzy. Migają jak światełka gigantycznego komputera, zlewając się w jedną kolorową masę, ogłupiają nadmiarem, do zmęczenia i niestrawności. Galerie twarzy, twarzy, twarzy. W końcu wszystkie upodabniają się do siebie. Egalitaryzm fizjonomii. Nie przepadam za Andy Warholem, lecz gdy ten bożek pop-artu przykrył olbrzymią ścianę galerii tapetą w multiplikowany w nieskończoność krowi łeb, pełen godności i powagi, traktując to jako drwinę z europejskich ekspozycji, nużących jednostajnością gąb – miał rację. Wystrzegam się galerii, które można sobie darować.

Lecz do Muzeum Francji Zamorskiej wstąpiłem, gdyż i we mnie, jak w każdym Europejczyku, drzemie głód egzotyki, miłość do tajemnicy tropiku, do palm i dudnienia tam-tamów – atawizm w spadku po Kolumbie, Vasco da Gamie, Magellanie, Livingstonie i Stanleyu. Po La Pérousie również. La Pérouse to francuski Cook, o czym dowiadują się na lekcjach geografii angielskie dzieci. Dzieci francuskie wiedzą doskonale, że Cook to angielski La Pérouse. Równanie takie nie jest od rzeczy, już choćby z tej przyczyny, że

obaj skończyli w identyczny, wcale niecodzienny sposób – zostali zjedzeni przez tubylców w tym samym regionie świata.

Kiedy patrzyłem na ten obraz, starałem się czytać twarze. La Pérouse, Cook, et consortes to dla moich rówieśników – dla których historia jest martwą lawą wygasłego wulkanu – galeria postaci scenicznych nie budzących żywych namiętności. Dla mnie nie. Potrafię żyć ich życiem i cierpieć ich cierpieniem i kochać ich kochaniem – gdy poczuję potrzebę tego wszystkiego. Przychodzi to późno w nocy, kiedy wstaję od maszyny i walę się w łóżko, lub w dzień, gdy widzę starca pchanego na wózku, różnie. Jest z tym tak jak z natchnieniem – przychodzi kiedy chce, lecz owocuje tylko wówczas, kiedy napotka twoje oczekiwanie, kiedy go pragniesz.

Długi stół z narzutą w złote frędzle. Na nim globus z listwą równikową podtrzymywaną przez demony. Po prawej siedzi monarcha, mając za plecami ministra marynarki, markiza de Castriez. Po lewej stoi La Pérouse, rozwijając wielką mapę. Burbon – królewskim gestem, w którym cała tępa, propagandowa pozerskość malarskiego seansu – wbił palec w jeden punkt mapy, gdzieś na Oceanie Spokojnym. La Pérouse zgięty pokornie, lecz to tylko z pozoru ukłon dla króla. On oddaje cześć oceanowi, wizji swego rejsu i temu nieznanemu punktowi na mapie, do którego będzie dążył przez mgłę i huragan, przez zwątpienie i słabość własnego ciała, przez wszelki żywioł i głód. Kocha to wszystko bardziej niż sam cel i zwycięstwo, dlatego trzyma lewą rękę na sercu i zdaje się nie dostrzegać króla, patrzy na mapę. Magia wielkiej drogi. Czyż mógłbym nie zapamiętać jego twarzy?

Powróciła do mnie La Rochelle, całkiem niespodziewanie.

Do La Rochelle przywędrowałem z pragmatycznym celem, nic nie mającym wspólnego z romantyzem ścieżki; potrzebowałem (dla mego doktoratu) przyjrzeć się wieżom obronnym Świętego Mikołaja i Łańcucha. Flankują wąski wjazd do Starego Portu, jak dwaj gwardziści sterczący bez ruchu po bokach odrzwi do książęcej komnaty. Lecz ci gwardziści już nie żyją, ich ciała są zmumifikowane. Najeżone blankami, wielkie, groźne, niezdolne przestraszyć kogoś dzisiaj. Takie skazamatowane działobitnie – wieże rosną jak samotne drzewa na nabrzeżach wielu portów świata: w Salonikach, gdzie sławna Biała Wieża jest w swym kształcie bliźniaczką jednej z La Rochelle, nad Bosforem, w Italii i w Hiszpanii. Milczące, z oczodołami strzelnic, z których wyłupiono paszcze dział i falkonetów, rozmodlone do swej przeszłości, rysowane przez hordy turystów. Smutek omszałego kamienia.

Chcąc opisać La Rochelle, mógłbym rozwinąć ten wątek o historycznej ewolucji baszt artyleryjskich, albo inaczej – mógłbym wprowadzić was w trzewia trwającego trzynaście miesięcy koszmaru oblężonych przez Richelieugo w La Rochelle hugonotów. I zapewne uczyniłbym jedno albo drugie, gdyby nie Togo. On sprawił, że namaluję La Rochelle opowieścią o wyprawie na kraniec świata i o dzikusie, który miał to szczęście, że zwariował z miłości do zjawy i uchronił się tym samym od nudy lub rozczarowania miłości spełnionej. I nie będzie to błąd, bo nieprawdą jest, że aby opowiedzieć o mieście, trzeba opisać jego pomniki. Można opisać kolor nieba nad chmurami i wędrówkę bezdomnego psa w zaułkach, a okaże się, że portret ten będzie wierniejszy. Najlepiej zaś opisać ludzi – ich twarze są twarzą miasta, ich wnętrza jego wnętrzem. Tak to uczynił Durrell z Aleksandrią. Może to być nawet melodramat o znamionach kiczu, ale jeśli taki „kicz" wzrusza, jeśli wytwarza z duszy jakieś nostalgiczne melodie, wskrzesza jakieś zamierzchłe widnokresy marzeń, przywołuje słowa z dalekich, zapomnianych ambon – wówczas osiąga cel. Opowiem wam o La Rochelle opowiadając o Togo.

Przypuszczalnie nie odnalazłbym go sam na rojnym nabrzeżu, lecz przyszedł moment meczu piłki nożnej, w którym stawką był prestiż Francuzów. Całe La Rochelle zasiadło przed telewizorami. Pół godziny wcześniej w „Café Moderne" opartej o chlubę miasta – XIII-wieczną Bramę Zegarową, mężczyzna płacący pośpiesznie rachunek powiedział do kelnera:

– Wszyscy lecą oglądać chłopaków, nawet gliny! Togo popilnuje miasta, on ma to gdzieś.

– Kto to jest Togo? – spytałem.

Facet przyjrzał mi się, potem machnął ręką, jakby pogardliwie, i mruknął:

– Papuas i na dodatek wariat.

Ja też miałem gdzieś prestiż Francuzów, odszedłem więc od ekranu po pół godzinie, gdy prestiż doznawał uszczerbku, bo „tricolores" stracili bramkę.

Było pusto i ładnie, miasto zyskiwało bez tłumu, stawało się cichym muzeum. Wiatr grał mecz ulotkami po jakiejś demonstracji. Na nabrzeżu basenu portowego, przy którym jeżył się las masztów jachtowych i maszcików rybackich łajb, siedział mężczyzna w podartej kurtce szoferskiej, w spodniach nieokreślonego koloru i w butach starszych niż on sam. Był ciemnoskóry, lecz wyglądało to bardziej na opaleniznę ożenioną z brudem niż na inną rasę; tę zdradzały: wieńczący mu głowę hełm z poskręcanych w kuleczki czarnych włosów i szeroka, daleko wysunięta do przodu dolna warga. Miał zgarbione plecy, lecz głowę unosił wysoko. Patrzył w wylot portu, w morze.

Nie pamiętam, jak długo patrzyłem nań – kwadrans, pół godziny? Nie drgnął przez ten czas i pomyślałem, że może śpi. Kiedy jednak stąpnąłem bliżej i spojrzałem mu w twarz, dostrzegłem, że ta twarz żyje, a oczy wypatrują czegoś na horyzoncie. Była w tym wzroku jakaś napięta jak struna nadzieja i łagodna uległość połączona z melancholią, o której się mówi, że jest typowa dla ludów spod Wielkiego Południowego Słońca, dla ich cierpliwej tkliwości i bierności charakteru, określanej niekiedy jako „gosto de ser triste" – upodobanie do smutku.

Widywałem go później codziennie, prawie zawsze w tym samym miejscu lub w pobliżu, jeśli miejsce zajmowała kładka jachtu. Nieustannie patrzył w ocean. Któregoś dnia postanowiłem przeczekać go. Sterczałem na nabrzeżu do północy, lecz on przeczekał mnie – nie ruszył się, a ja poczułem zmęczenie i gniew na siebie i poszedłem spać. Kilkakrotnie zastałem go przy pracy; pomagał rybakom cerując sieci drewnianym czółenkiem, takim klasycznym przyrządem typu „fool proof" – odpornym na głupotę. Pewnego razu odważyłem się sfotografować Togo i wówczas jeden z rybaków zwrócił się do mnie, pokazując palcem.

– To jest Togo.

– Wiem, ale co on tu robi, czego wypatruje w morzu?

– Kobiety, którą kocha – odpowiedział rybak.

– A gdzie ona jest?

– Ja tam nie wiem. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, to idź do kapitana Bernardy, on go karmi i zna jego historię. Jesteś z prasy?

– Nie, nie słyszy pan, że jestem cudzoziemcem?

– Może i tak. Ale Bernardy nie lubi pismaków. Zastaniesz go na „Simone", wieczorem. Weź ze sobą butelkę pernauda.

– Dziękuję panu.

– Nie ma za co... Aha, jak chcesz, to podejdź do Togo i spytaj go o coś. Zobaczysz tę kobietę. Pokazuje ją każdemu.

Kiedyś szczeniaki robiły sobie z tego zabawę, ale Bernardy przyłożył jednemu w zęby i skończyło się.

– O co mam go spytać?

– Nieważne. Możesz powiedzieć: merde! Wystarczy się odezwać. On i tak nie rozumie, tylko Bernardy z nim rozmawia.

Podszedłem do Togo i powiedziałem:

– Przepraszam bardzo, panie Togo...

Nie usłyszał. Powtórzyłem głośniej, dotykając jego ramienia. Drgnął jak przebudzony i spostrzegłszy mnie sięgnął śpiesznie na pierś, pod kurtkę. Wyciągnął zawieszony na żyłce u szyi medalion i podsunął mi go pod nos na rozpostartej olbrzymiej dłoni. Patrzył mi w twarz wzrokiem proszącego psa, z przymilnym uśmiechem, i dwa czy trzy razy powtórzył bełkotliwe pytanie:

– Hę?... Hę?...

Medalion był najwyraźniej bardzo stary. Misterna złota ramka, w kilku miejscach ponadłamywana, ujmowała emaliowany owal z na zawsze młodą twarzą kobiety. Długie złote włosy spływały falami po bokach wysmukłej, delikatnie zaróżowionej buzi, załamując się na ramionach falbaniasto-koronkowej sukni. Błękitne oczy patrzyły w patrzącego. Czerwone ściśnięte usta zdawały się być nienaturalnie drobne. Tyle zdołałem zapamiętać.

Togo, widząc moje milczenie, zgasł nagle, przestał się uśmiechać, schował medalion i odwrócił się ode mnie. Przestałem dla niego istnieć. Nigdy więcej nie widziałem owego medalionu, chociaż po rozmowie z Bernardym brała mnie chętka, by jeszcze raz zagadnąć Togo. Czułem jednak, że popełniłbym świętokradztwo, i powstrzymałem się.

Z Bernardym, jego synem i zięciem, piłem i grałem w pokera. Przegrałem niewiele, wygrałem życiorys Togo. Bernardy mówił, gdy tasował, gdy rozdawał i gdy zgarniał bank. Najpierw wypytał mnie i łaskawie, pewnie przez miłość do pernauda, wybaczył, żem Polak, gdyż w czasie wojny jakiś polski zuch oszwabił go w interesach czy też uwiódł dziewczynę, w każdym razie po sarmacku „zrobił w konia". Mówił: Togo nazywa się Otai-Togo. Służył u Tazieffa, kiedy wydobyli resztki po La Pérousie. Tazieff miał dobrych płetwonurków i nowoczesny sprzęt, ale płuca Togo były lepsze od najlepszego sprzętu. W całej Melanezji nie znalazłoby się wtedy lepszego nurka. U Tazieffa robił też mój brat, już nie żyje, w zeszłym roku nie wyszedł spod wody na Malcie. Zakleszczył się we wraku, cholera! Od niego wiem. Togo wydobył z dna laguny tę miniaturkę, widziałeś ją pan?... Tazieff chciał ją umieścić w zbiorze, ale Togo chwycił za nóż... Kapuje pan. Wtenczas Tazieff wywalił go na zbity pysk. I traf chciał, że właśnie wtedy była tam jakaś grupa turystów ze Stanów czy z Kanady, cholera wie! Togo zobaczył dziewczynę, podobno była bardzo podobna do tej z obrazka. No i zwariował. Chciał ją mieć, biedny idiota. Stroił się i malował, jak to u nich. Kiedy tamci wyjechali do Australii, popędził za nimi. W Sydney powiedziano mu, że odpłynęła za morze. Najął się więc na panamską łajbę za szuflowego i jakimś cudem trafił do Tulonu, do Jeana. Jean to mój brat, skurczybyk, nie wiedział co z nim zrobić, więc odesłał do mnie. Jak paczkę! No i co, co miałem robić? Przepędzić go? Siedzi biedaczyna i gapi się w morze, czekając na nią. Wierzy, że ona przyjedzie tu do niego. Może ktoś mu tak powiedział, albo sam to sobie ubzdurał. Jak ktoś podejdzie, to pokazuje ten jej widoczek. Myśli, że ktoś ją zna. Ładna szelma, co?... No a pan czego chce od niego?

– Niczego, interesuje mnie, jest inny niż wszyscy.

– Inny, nie inny, proszę bez kawałów z nim! Tego nie lubię.

Tyle powiedział Bernardy. Wystarczyło, by przypomniała mi się twarz La Pérouse'a i jego odyseja.

Jak Franciszek de Galaup hrabia de La Pérouse urodził się w roku 1741 w La Gua (pod Albi). Jeżeli istnieją ludzie, którzy z mlekiem matki wyssali miłość do morza, to La Pérouse był właśnie takim człowiekiem. Mając 15 lat wstąpił do marynarki wojennej i w wojnie z Anglią wyróżnił się męstwem i inteligencją. Bardziej od wojny pasjonowała go geografia, toteż król Ludwik XVI powierzył mu kierownictwo wyprawy badawczej. Dwa okręty przydzielone ekspedycji, „L'Astrolabe" i „La Boussole", były jednostkami nowymi i doskonale wyposażonymi. Pierwszym z nich dowodził Fleuriot de Langle, drugim sam La Pérouse. Ostatnie zdanie instrukcji brzmiało: „Jego Królewska Mość oceni wyprawę jako sukces, jeśli wszyscy jej członkowie wrócą cali i zdrowi".

Obie fregaty opuściły Brest 1 sierpnia 1785 roku. Trasa wiodła przez Atlantyk, wybrzeża Ameryki Południowej i Cieśninę Magellana na Pacyfik. 8 kwietnia 1786 roku dotarli do legendarnej Wyspy Wielkoludów (Wyspa Wielkanocna). Znaleźli tam nielicznych wygłodzonych mieszkańców i największą zagadkę tej części globu, kolosalne kamienne twarze, które pomierzyli, a które do dzisiaj nie uroniły ani kropli tajemnicy. Boże wielki, jak to dobrze, że są jeszcze na świecie takie znaki zapytania – inaczej trzeba byłoby wiać stąd, gdzie pieprz rośnie.

Dalszy szlak wiódł przez Hawaje do Portu Francuzów (23 czerwca) u północno-zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej. Tu spadł na wyprawę pierwszy cios: dwie szalupy, wypełnione marynarzami, oficerami i naukowcami, rozbiły się o skały zatoki. Zginęło dwudziestu jeden ludzi. Reszta nie przypuszczała jeszcze, że to tylko pierwszy sygnał fatum, które zawisło nad ekspedycją. W początkach września wyprawa dotarła do Pietropawłowska na Kamczatce, skąd La Pérouse wysłał do Paryża barona Lessepsa z dotychczasowymi wynikami badań. Lesseps wyruszył przez Syberię na zachód – był to jedyny człowiek, który wyszedł z życiem z nieszczęsnej wyprawy.

Z Kamczatki wyruszyli na południe, by ponownie przeciąć równik. Dnie i noce miarowego kołysania kadłubów na bezkresnej pustyni, której powierzchnia połyskiwała jak srebrna blacha upstrzona śnieżnymi prysznicami fal. Dniami – podobne jaskółkom, co przed burzą koszą ślizgiem trawę – muskały powierzchnię wody stada latających ryb. Niektóre uderzały o pokład, rozpłaszczając się galaretowatą masą. Nocą płynęły za statkami gwiazdy i fosforyzujące ryby, świece nieba i oceanu.

Dziesiątego grudnia 1787 roku wyłoniła się z morza wyspa ich marzeń: Manua, w archipelagu Samoa. Wisiała w blasku zorzy jak zaczarowany pałac, zdawało się, że płynie w powietrzu, nad falami. Zbliżali się radośnie do rafy koralowej, przez którą przelewały się bałwany, by rozlać się po drugiej stronie w cichą lagunę. Zaledwie jej dosięgli, statki obległa chmara łódek, pokłady zaroiły się tubylcami obojga płci i utonęły w kwiatach i owocach. Dla wygłodzonych, wymizerowanych marynarzy ten kontrast niedawno pożegnanych śniegów z zieloną wyspą w pełnym słońcu był jak czarowny sen. W jednej chwili – ujrzawszy przedsionek Edenu – zapomnieli o trudach i złych chwilach. Otworzył się przed nimi bajeczny róg obfitości. Kwiaty, piękne jak grzech, rozchylały swe kielichy do słów, które ożywają w dyskrecji mroku, drażniąc zmysły obietnicami zakazanych pieszczot. W rozpadlinach skał i splotach figowcowych korzeni chichotały sprośne gnomy, z łona ziemi sączyły się siły żywotne, lędźwie dygotały w udręce pożądania, krew stawała się ukropem pulsującym rytmicznie w bębenkach uszu i szukającym ujścia w spełnieniu. Wyposzczonym zmysłom materializowała się pokusa pod postacią smukłych złotawych ciał „vahine", ukwieconych w „pareu" i



La Rochelle

ukazujących swe dziewczęce piersi tak swobodnie jak europejskie panienki buziaki. W rozpachnione noce te kobiety o śniadej cerze i bardzo białych zębach, zachłanne ich bladej skóry, ze wszystkimi przypisywanymi jej atrybutami boskimi, nauczyły ludzi La Pérouse'a Raju.

Lecz fatum wiszące nad wyprawą nie poniechało ich. Skąpani w rozkoszy zapomnieli o nauczce, jaką była niedawna śmierć Cooka. W ramionach „vahine" utuliły się do snu ich pierwsze obawy przed zmiennością nastrojów tubylczych, determinowaną lada jakim impulsem. Któregoś dnia Fleuriot de Langle popłynął na wyspę kilkoma szalupami po wodę, wioząc prezenty. Upominków nie starczyło dla wszystkich tubylców i ci, którzy ich nie otrzymali, wpadli w szał. Na Francuzów spadł nagle grad kamieni, po czym nastąpiła masakra, w której zginął kapitan i jedenastu ludzi z „L'Astrolabe".

Przez Wyspy Przyjacielskie (Tonga) wyprawa osiągnęła 26 stycznia 1788 roku australijską Zatokę Botany, skąd La Pérouse przesłał do Paryża (za pośrednictwem Anglika Philipsa) raport. Była to ostatnia wiadomość o ekspedycji. Od tej pory wszelki słuch o niej zaginął. W roku 1790 paryskie Towarzystwo Przyrodnicze zwróciło się do Zgromadzenia Narodowego z prośbą o wysłanie specjalnej ekspedycji na poszukiwanie zaginionych. Bałagan i brak funduszy sprawiły, że dopiero 28 września 1791 roku wyruszyły z Brestu „La Recherche" (Poszukiwanie) i „L'Esperance" (Nadzieja) pod dowództwem kontradmirała d'Entrecasteaux. Szukając La Pérouse'a d'Entrecasteaux dotarł do brzegów Nowej Holandii, Nowej Kaledonii, Wysp Salomona i Nowych Hybrydów. Opłynął całą Australię. Był także w archipelagu Santa Cruz i na jednej z jego wysepek, Vanikoro, gdzie wypytywał tubylców i dopiero 21 stycznia 1793 roku, u brzegów Tasmanii, uznał się za pokonanego. Tego samego dnia Ludwik XVI wstępował w Paryżu na szafot. Jest faktem historycznym, że do ostatniej chwili niepokoił się losami zainicjowanej przez siebie wyprawy i w przeddzień śmierci spytał swego więziennego dozorcę:



Togo

– Czy są jakieś wieści o La Pérousie?

Nie było. Jeszcze przez pewien czas błagano kapitanów wyruszających na Pacyfik: „Na miłość boską, odszukajcie La Pérouse'a!", lecz mijały lata i powoli zapomniano o sprawie. Nikt nie wiedział, czy okręty La Pérousa'a spoczywają na dnie oceanu, czy krążą po nim jak widma, potem nikt już nie starał się dowiedzieć.

I oto nagle, w roku 1825, ambasador Francji w Waszyngtonie doniósł, że pewien kapitan amerykański w czasie rejsu na wodach Oceanii widział u tubylców Krzyż Świętego Ludwika i kilka medali pochodzących rzekomo z okrętu, który rozbił się przed kilkudziesięciu laty. Był to pierwszy ślad, a raczej cień śladu. Jednakże sprawa La Pérouse'a była dla Francji kwestią honoru i Karol X zdecydował się wysłać kolejną ekspedycję poszukiwawczą. Jej dowódcą mianowano sławnego „charta mórz", kapitana Dumont d'Urville'a, człowieka, który zainicjował akcję zakupu dla Francji posągu Wenus z Milo. Trudno byłoby dokonać lepszego wyboru.

Dumont d'Urville wyruszył z Tulonu 24 kwietnia 1826 roku na pokładzie nowej „L'Astrolabe". W październiku był już u brzegów Australii i rozpoczął poszukiwania. Dotarł do kilkudziesięciu wysp, nie znalazł nic, i wydawało się, że i ta wyprawa przyniesie fiasko. Tym razem jednak w sprawę wmieszał się król-przypadek. Przypadkiem w ręce Dumont d'Urville'a wpadł przysłany z Europy egzemplarz „La Gazette". Znajdowała się w nim relacja brytyjskiego kapitana statku wielorybniczego, Piotra Dillona, który w roku 1826 widział w rękach tubylców rękojeść szpady oznaczoną inicjałami „LP" oraz kilka innych przedmiotów. Widział je na maleńkim atolu Vanikoro, w archipelagu Santa Cruz (na północ od Nowych Hybrydów), a więc tam, gdzie d'Entrecasteaux był i nic nie znalazł.

Podniecony tą wiadomością Dumont d'Urville wyruszył 8 stycznia 1828 roku na Vanikoro i tam poddał indagacjom tubylców. D'Entrecasteaux nie dowiedział się od nich niczego, gdyż wtedy sprawa była jeszcze zbyt świeża i wyspiarze bali się pisnąć choć słowo. Teraz dwóch starców zdecydowało się mówić. Wskazali oni Dumont d'Urville'owi skraj laguny wewnątrz atolu. Woda mieniła się tam czystością szmaragdu, ukazując – jak przez soczewkę – bajecznie kolorowy podmorski świat. Pośród kęp koralu pływały ryby o pastelowych odcieniach, wędrowały przeróżne stwory, kraby, langusty i homary. Oprócz nich, na dnie, na głębokości trzech, czterech sążni, widać było wyraźnie armaty, kotwice, pociski i mnóstwo drobnych przedmiotów z metalu. Ślady drewna nie zachowały się.

Dumont d'Urville wpatrywał się w podwodny cmentarz La Pérouse'a i jego wymordowanych towarzyszy w głębokim milczeniu. Na brzegu stało kilkuset tubylców wpatrzonych we francuski okręt. Najstarsi z nich z pewnością zadawali ciosy La Pérouse'owi. Cóż można było uczynić? Mścić się? Poniechał tej myśli, a później cywilizacja dokonała swymi darami zemsty tak straszliwej, że już w naszym stuleciu we wstępie do wydanego w Australii leksykonu wyrażeń tubylczych napisano: „A gdy nadejdzie godzina sądu, dusze tubylców przyjdą z ciężkimi oskarżeniami przeciw ludziom naszej krwi, którzy potraktowali ich nieludzko". Dumont d'Urville wystawił La Pérouse'owi pomnik i odpłynął.

W sto trzydzieści jeden lat później, w roku 1959, wulkanolog Harun Tazieff przy pomocy ekipy płetwonurków wydobył z dna laguny Vanikoro resztki po tragicznej wyprawie: monety, medale, broń. Najstarszy mieszkaniec atolu opowiedział Tazieffowi, jak to „dziadek jego dziadka" dokonał przed półtora wiekiem, wraz z całym plemieniem, rzezi marynarzy, którzy ocaleli z katastrofy na lagunie. Na Vanikoro przetrwała do dziś stara pieśń o szczęśliwym dniu, w którym wyprawiono ucztę z wielu białych ludzi.

Wyjeżdżałem z La Rochelle o bladym Przedświcie. W tę ostatnią noc poszedłem pożegnać się z portem i z Togo. Byliśmy tam tylko my dwaj w świetle księżyca. W ciszy śpiącego miasta, w szumie morza. Z ciemności dobiegł nas ryk okrętowej syreny, ochrypły, przeraźliwie smutny. Togo nie dostrzegł mnie, zamknięty w katedrze oczekiwania na kobietę, jakiego niegodna żadna kobieta na ziemi. Patrzył w rozjarzony gwiazdami płaszcz nocy, w błękitne oczy, które zapamiętał na wieczność, królem się ich stając bezsilnym, w Wielką Niedźwiedzicę wiszącą nad nim jak przed wiekami, gdy nie było ni jego, ni człowieka, i może świat nie krążył jeszcze wokół słońca. Przyrzekała mu, że kiedyś, gdy dojrzy tę stronę prawdy, w której mieszka smutek niedoczekania – samotny jak kruszyna materii wyrzucona w przestrzeń oddechem Stwórcy, w tęsknocie powrotu na jego łono - poprowadzi go daleko w gwiezdną pustkę, a wichrowi każe zamieść ślady, by nikt nie mógł na krzywdę jego iść za nim.

Minie wiele dni do tego czasu i może on zmieni miejsce, i może nie raz. Ale zawsze będzie to port, gdzie w nocy będzie szukał w gwiazdach pocieszenia, dniem zaś w każdej fali od morza pokładać będzie nadzieję, że mu Ją ona przyniesie. I każda z nich, wyłoniwszy się z bezmiaru, od wysp dalekich i lądów, zdawać mu się będzie czarodziejką, póki nie dojrzy, że i ona, jak siostrzyce, zakochana w sobie, pusząca się i chciwa świata całego, swego jeno szczęścia pragnie. Wtedy znienawidzi ją i poprosi kamienie o karę. I uderzy fala białym łbem o bulwar, rozstrzeli się na miliony kropli, w każdą jedno słońce chwytając, i opadnie pokorna, by powrócić do oceanu.

A ocean nie przestanie obiecywać Togo, nowe na nim urodzą się fale...

Segre Jacquemard

przełożył Wojciech Ludwikowski

Requiem dla króla zbrodni

Odcinek czwarty

Rozdział XII

Wtorek, 4 czerwca 1974

Nick De Luca odczuwał niewyraźne uczucie niepokoju. To było trzecie jego wyjście od czasu, gdy Joe LaCasa doradził mu wrócić do dawnych wizyt w salonie fryzjerskim hotelu „Park Sheraton".

Poprzednio dwukrotnie wszystko poszło dobrze. Joe podjął wyjątkowe środki ostrożności i Nick czuł się jak głowa państwa, którego służba bezpieczeństwa chroni przed ewentualnym zamachem.

Głowa państwa – to było odpowiednie określenie. Bo czyż nie podróżował w opancerzonym lincolnie continental, takim samym, jakim jeździł prezydent Stanów Zjednoczonych?

Samochód wziął ostatni zakręt i stanął. Hotel zajmował cały blok na 7 Alei między 55 i 56 Ulicą, o dwa kroki od Carnegie Hall.

Nick De Luca wysiadł i rozejrzał się. Obok niego był Joe LaCasa.

– W porządku, Nick – zapewnił. – Nasi ludzie są na miejscu. Chodźmy.

Nick De Luca uwielbiał ten zakątek Nowego Jorku i uwielbiał także salon fryzjerski, gdzie Guglielmo nim się zajmował. Z radością ruszył do hallu hotelowego, a stamtąd do salonu fryzjerskiego. Jego zastępca szedł za nim.

Myśląc o błogim uczuciu, jakiego dozna za chwilę pod ciepłymi ręcznikami, chłodnym okiem uważnie obserwował wszystko, co dzieje się wokół niego. Niczego podejrzanego nie zauważył.

Na progu salonu fryzjerskiego rozpoznał dwóch ludzi. Starzy, dawni kumple. Uczestniczyli we wszystkich walkach, które go wyniosły na szczyt hierarchii. Wierni. Uśmiechnął się do nich i otworzył drzwi salonu. Właściciel, Guglielmo, od razu zjawił się na powitanie i zaczął wyrzucać z siebie morze włoskich słów.

Nie zwracając na niego uwagi, Nick De Luca podszedł do zarezerwowanego fotela: ostatniego po prawej stronie.

– Niech pan siada, bardzo proszę, *signor* De Luca – nadskakiwał Guglielmo.

Nick De Luca ściągnął kurtkę, podał ją właścicielowi, rozwiązał krawat, machinalnie pomacał w kieszeni spodni pistolet.

Goryle gorylami – mawiał – ale samemu też trzeba się mieć na baczności. Ten stary nawyk w przeszłości niejeden raz uratował mu życie.

– Dobra, zostawiam cię, Nick – szepnął Joe LaCasa i mrugnął porozumiewawczo.

– Bądź o jedenastej – przypomniał Nick.

– Możesz na mnie liczyć.

Joe otworzył drzwi i wyszedł, uprzednio dając znak dwóm ludziom siedzącym w fotelach, zajętym lekturą magazynów.

Nick De Luca rozpoznał jeszcze dwóch swoich goryli. Także ze starej gwardii. Odprężył się i usiadł w fotelu.

– Jaka ładna dziś pogoda, *signor* De Luca, prawdziwa wiosna – paplał Guglielmo. – I pomyśleć, że są tacy, co narzekają. To niedopuszczalne.

Wyregulował oparcie fotela i Nick De Luca znalazł się w pozycji horyzontalnej.

De Luca widział w lustrze fotele z drugiego rzędu, sześć. Razem z tymi w jego rzędzie było ich w sumie dwanaście. Wszystkie zajęte, jak zawsze. Ludzie się bili, żeby się dostać do salonu, uważanego za najlepszy w mieście. Tu bywali lekarze, adwokaci, renomowani artyści, wielcy biznesmeni. W salonie panowała cisza. Fotele ustawiono w takiej odległości od siebie, żeby można było rozmawiać bez obawy, że czyjeś niedyskretne uszy podchwycą rozmowę.

Guglielmo zwilżył mu twarz płynem przed goleniem. Nick De Luca przymknął oczy. Czuł się dobrze.

Ostrze brzytwy zgrzytnęło po zaroście jego brody, twardej jak pędy winorośli na rodzinnej Sycylii. Lubił ten zgrzyt. Przypominał mu... co właściwie? Nie zdążył sobie przypomnieć.

Spod białych ręczników wyskoczyły nagle cztery postacie, wyciągnięte dotąd w fotelach, odpychając pomocników fryzjera, którzy krzątali się przy ich twarzach. Dwaj goryle Nicka poderwali się, rzucili czytane magazyny i wsunęli ręce za pasy. Nim zdołali wyciągnąć broń, dwaj bandyci przedziurawili ich kulami. Strzały ściągnęły dwóch innych goryli. Wpadli do środka. Spotkał ich ten sam los, co tamtych.

Dwaj osobnicy podeszli do fotela, na którym był wyciągnięty Nick De Luca. Nick chciał się podnieść. Chwycił rękojeść pistoletu w kieszeni spodni. Próbował wykonać ruch, gdy poczuł, jak ostrze brzytwy nacina mu skórę na szyi. Zadrżał, widząc w lustrze dwie zimne, obojętne twarze.

Jego głowę rozsadziły kule z czterdziestki piątki. Kiedy Guglielmo zwymiotował na jego pierś, Nick już nie żył.

* * *

Wayne Sandborg dowiedział się o śmierci Nicka De Luki dwadzieścia pięć minut później.

Odłożył słuchawkę telefonu, pomyślał chwilę i wstał, żeby dopełnić czynności, która już mu spowszedniała: wziął pomarańczową fiszkę, napisał nazwisko „Nick De Luca" i wsunął ją w odpowiednie okienko wiszącej na ścianie tablicy.

Trzydziestu trzech. Właśnie był przy trzydziestym trzecim. Ubiegły miesiąc minął raczej spokojnie. Od zabójstwa Christiana Azzelaina i jego dwóch goryli w Rio nic się nie działo, jeśli nie liczyć śmierci Rogazzino, sycylijskiego adwokata z Palermo.

Ale czy to była zbrodnia kierowana przez Barta Scalisio? Nikt nie mógł tego potwierdzić. Mimo wszystko nie należy mu imputować każdego morderstwa dokonanego na Sycylii!

W tym samym czasie jeszcze czterech mafiosi wyleciało w powietrze wraz z samochodem na drodze z Palermo do Alcamo. Czy i tu należy doszukiwać się ręki Barta Scalisio? Raczej nie – Barto atakuje tych, którzy mu stają na drodze. Nie zajmuje się pionkami.

W każdym razie nie tacy interesowali Wayne Sandborga. Barto może wykończyć ich wszystkich, jeśli chce. Wayne ma ich w nosie.

Usiadł z powrotem przy biurku.

Operacja „Gwinea" posuwała się do przodu. Z satysfakcją wziął raport specjalnego agenta i przeczytał go po raz jedenasty. Jeszcze uważniej niż poprzednio, jeśli to było możliwe. Trochę cierpliwości – powtarzał sobie – i jeśli wypadki potoczą się tak jak przewidział, Barto Scalisio wcześniej czy później wpadnie w ich ręce.

Wszystko zależy od tego, czy uda mu się zmontować zasadzkę nafaszerowaną mnóstwem podstępów, na które Sycylijczyk musi się nadziać. Do niego należy przygotowanie dla Barta czegoś ekstra. A jego agent radzi sobie jak sam szef.

Środa, 5 czerwca 1974

Różnica czasu między Francją a Stanami Zjednoczonymi sprawiła, że Francois Lyończyk dowiedział się o śmierci Nicka De Luki nazajutrz rano, z gazety.

Wezwał natychmiast Pierre Salvaya i Jérome Ducaza.

– Teraz kolej na nasze uderzenie – oświadczył adwokat stanowczo.

– Nie denerwujmy się.

– Co on sobie wyobraża, ten twój Harry Shulz? – niecierpliwił się Pierre Salvay.

Francois Lyończyk uspokoił obu gestem ręki.

– Robi, co może. To niełatwe zadanie.

– Za cenę, jaką mu się płaci, powinien już mieć jakieś wyniki – zgłosił zastrzeżenie Jérome Ducaz.

– Ufam mu – odpalił Francois Lyończyk. – To wam powinno wystarczyć.

– Nick De Luca też mu ufał. To przecież on go polecił. Nie uchroniło go to od śmierci.

– Harry Shulz nie miał obowiązku go ochraniać.

– Są jakieś wiadomości, co on tam sfabrykował?

– Kto?

– Harry Shulz.

– Wyjaśniłem wam, że ustaliliśmy system komunikacji.

– Ale masz ostatnie informacje?

– Nie.

– Sam widzisz!

– Następny kontakt powinien być w ciągu dwóch dni.

– Więc zapytaj go, co on wyrabia!

Harry Shulz także dowiedział się o śmierci Nicka De Luki z gazety. Ale na pierwszej kolumnie „Soir de Beyrouth" nie o tej śmierci była wiadomość. Zgon Nicka De Luki zajmował połowę szpalty na trzeciej stronie. Połowę pierwszej strony wypełniała informacja o śmierci pracownika kantoru wymiany z Bejrutu, Abouda Staboulie.

Shulz przeczytał artykuł. Potem odłożył gazetę, wypił łyk cinzano i zaczął się przypatrywać tłumowi przelewającemu się przez aleję Hamra, najbardziej uczęszczaną arterię Bejrutu.

Jasne spódnice kontrastowały z opalonymi udami dziewcząt, ogromnie podniecających, jedna bardziej niż druga.

Jego wzrok padł teraz na neon reklamujący zalety płynu do włosów.

Od pierwszej rozmowy widział Abouda Staboulie trzy razy. Podczas tych spotkań Aboud twierdził, że nie wpadł na żaden ślad, który mógł doprowadzić do Barta Scalisio. Tak więc Harry był w tym samym punkcie, co w chwili przybycia do Bejrutu. Z tą tylko różnicą, że przez ten czas Libańczyk zginął.

Widocznie zadawał za dużo pytań, nie miał się dostatecznie na baczności. Zlikwidowali go. Najlepszy dowód, że Barto Scalisio w Bejrucie też miał swoich ludzi. Wszędzie miał ludzi, zdolnych do uderzenia – w Bejrucie, i w Nowym Jorku.

Stary Nick De Luca coś o tym wiedział.

Ale, do licha, dlaczego w takim razie opuścił swoją twierdzę, ufortyfikowaną jak średniowieczna warownia? Tam przecież był bezpieczny.

To nie jego sprawa. Było mu zupełnie obojętne, że ludzie z mafii wykańczają się między sobą. On miał do wykonania kontrakt. Kontrakt za milion dolarów. Zależnie od obrotu wydarzeń, likwidacja Sycylijczyka może okazać się diabelnie trudna.

W każdym razie musi zmienić klimat. Bejrut zaczyna być niezdrowy. Jeśli zlikwidowano Abouda, bo zadawał za dużo pytań, to znaczy, że zbiry Barta Scalisio są czujni i zdecydowani zgotować taki sam los ryzykantowi, który chciałby zastąpić Abouda – kąpiel w czarnych wodach portu, z głową odciętą od tułowia. Abouda zapakowano w zwój drucianej siatki. I gdyby pogłębiarka nie pracowała następnego dnia w tym zakątku portu, nigdy nie odnaleziono by trupa Libańczyka.

Ale dokąd się udać po informacje o miejscu ukrycia Barta Scalisio?

Sycylijczyk tworzy wokół siebie pustkę.

Harry Shulz buntował się w duchu. To niemożliwe, jeszcze zobaczymy! Nikt na świecie nie był do tego stopnia nieuchwytny. Musi być jakiś sposób! Jego sprawa, żeby znaleźć Barta.

Wstał, zapłacił rachunek, wmieszał się w tłum na chodniku. Do hotelu wrócił na piechotę. Spacer mu dobrze zrobił, pomógł zebrać myśli.

Nazajutrz rano wsiadł w samolot na Maltę. W La Valetta skontaktował się z agentem morskim, który pracował dla organizacji TRAK, i poprosił go o odnalezienie śladu Barta Scalisio. Agent zgodził się na 25 tysięcy dolarów.

Harry Shulz został na Malcie tylko dwadzieścia cztery godziny. Następnym etapem były Ateny. Jego kontaktem w tym mieście był pewien armator, który – gdy tylko Harry wymienił nazwisko Barta Scalisio – po prostu wyrzucił go za drzwi. Tak działając, musiał się liczyć z tym, że organi-

zacja TRAK już nigdy nie będzie z nim współpracować. Wolał jednak tę ewentualność niż pewną śmierć.

Harry Shulz zwrócił się do porucznika z kryminalnej, który za odpowiednią zapłatę był gotów na wszystko. Policjant się zgodził.

Nazajutrz Harry Shulz złapał samolot, tym razem na Cypr. W Nikozji złożył wizytę przedstawicielowi włoskiej firmy samochodowej i wspólnie udali się do portów Rizokarpason, Famagusta, Limassol, Ktema, Polis i Leuka w strefie greckiej i Kyrenia w strefie tureckiej. Shulz miał zamiar odkryć ewentualnych zaopatrzeniowców Barta Scalisio.

Przygotowali grunt i wrócili do Nikozji. Z Cypru Harry poleciał do Tel-Awiwu, gdzie nawiązał kontakt z Sammy Rosenthalem, który, odkąd wyemigrowal do Izraela, przyjął nazwisko Chaim Shimon.

Sammy'ego znał z Nowego Jorku z czasów, kiedy ten pracował dla Syndykatu Zbrodni. Ale Sammy miał tyle kłopotów z policją, że wolał wyemigrować do Izraela i przyjąć obywatelstwo tego kraju.

Za odpowiednią kwotę Sammy obiecał Harry'emu zdobyć potrzebne informacje.

Z Tel-Awiwu samolot „Olimpic Airlines" zawiózł go na Kretę, gdzie Harry odwiedził miejscowe porty: Seteia, Hagios Nicolaos, Herakleion, Chania i Tympakion. Następnie przez Ateny i Stambuł dotarł do Izmiru w Turcji. Tam wszedł w kontakt z pewnym ormiańskim zaopatrzeniowcem, który zanotował w pamięci jego życzenie i zapewnił, że się tym zajmie. Ormianin dostarczył mu też bilet na mały stateczek. Po kilku dniach Harry wysiadł na Rodos, na terytorium greckim.

Wybrał się do kapitana portu, dobrego przyjaciela Ormianina, który po przyjęciu zaofiarowanej przez Shulza sumy obiecał natychmiast zająć się przyjazdami i odjazdami statków zaopatrzeniowych.

Harry Shulz, zadowolony z tournée po portach, wrócił do Aten. Jego podróż trwała dziewiętnaście dni i kosztowała sto tysięcy dolarów.

Przed wyjazdem z Bejrutu zatelefonował na Bahama, żeby mu przysłali pieniądze. Teraz, wysiadłszy w Atenach, mógł sobie pogratulować tej przezorności. W przeciwnym razie nie miałby dość forsy na opłacenie ludzi i kosztów podróży. Ale wiedział, że inwestował nie bez powodu, wydane pieniądze zostały dobrze ulokowane. Cóż zmusza ludzi do działania lepiej niż forsa?

W oczekiwaniu na efekty rozlicznych kontaktów, Harry zainstalował się na razie w hotelu w Atenach.

Znalazłszy się w pokoju, wziął prysznic, a potem zamówił numer telefonu, jaki mu podał Francois Lyończyk we Francji. Chciał mu zdać sprawę z wydarzeń. Był spóźniony o piętnaście dni z przekazaniem raportu, ale jakie to miało znaczenie, skoro nie było nic nowego do rzucenia w paszczę Francuza.

* * *

Patrick Baudouin od swego przybycia do Nowego Jorku nudził się w pokoju hotelu „Squire Inn". Wychodził tylko po to, żeby coś zjeść i powłóczyć się bez celu po ulicach miasta, albo po Central Parku. Wciąż go dręczyła zagadka Brendy. Po co ta tajemniczość?

W jej życiu jest inny mężczyzna i ona pragnie ukryć korespondencję z Patrickiem. Oto jedno z wyjaśnień, jakie mu przyszło do głowy.

Ale gdzież się, do diabła, przeprowadziła? Prawdopodobnie w okolice Nowego Jorku. Jeśli nie, to jak mogłaby odbierać listy, które on do niej wysyła? Chyba że ktoś inny się tym zajmuje. Na przykład administrator domu? Tak, tylko że administrator jest nieosiągalny. Jego pobyt na wsi widocznie się przedłuża, bo jeszcze nie wrócił. Co dzień Patrick chodził do domu przy West Greenwich w nadziei, że go zastanie. Ale ciągle daremnie.

W końcu polubił transwestytę Clive'a Hornfielda. Pod pozorami fanfaronady kryła się istota bardzo nieszczęśliwa, cierpiąca katusze z powodu swojej ułomności fizjologicznej.

Patrick odnalazł swój stary instynkt z czasów, gdy był detektywem w Nowym Jorku: perspektywa rozwiązania tajemnicy zaczęła go ekscytować.

Rozdział XIII

Wtorek, 11 czerwca 1974

Patrick Baudouin zdecydował się iść na całego. W przeszłości taka taktyka udawała mu się parę razy. Zwłaszcza w Nowym Jorku.

Administrator stał przed nim, tłusty, brudny, rozmamłany. Kwaśny zapach potu wydzielał się spod jego pach. Brzydka blizna szła od lewego oka do ucha, różowa skóra szerokimi zygzakami biegła przez policzek.

– Szukam Brendy Chapman – powiedział Patrick Baudouin stanowczym tonem.

– Nie znam takiej – mruknął administrator.

– Jej nazwisko jest na jednej ze skrzynek na listy.

– Możliwe.

– To znaczy, że mieszka w tym domu.

– Może tak, może nie.

– Udajemy cwaniaka, co?

Tamten miał nieprzyjemną minę.

– Ma pan dziwny akcent. Cudzoziemiec. To znaczy, że pan nie zna tutejszych zwyczajów.

– Jakich zwyczajów?

– Nie zadawać pytań. To niezdrowo.

– Ach, tak?

– Tak, przyjacielu. Drzwi są tam.

Patrick Baudouin uśmiechnął się blado. Udał, że robi półobrót, odwrócił się na pięcie i jego prawa pięść trafiła w wydęty brzuch. Natychmiast powtórzył cios lewą pięścią, która wylądowała na podbródku.

Administrator upadł, ale zachował przytomność umysłu.

– Twardziel, co? – zasyczał chrapliwym głosem. – To na mnie nie robi wrażenia. Miasto jest pełne twardzieli. Każdy chce udawać własnego szefa. Jeśli myślisz, że ja wstanę, to się mylisz. Bo gdybym spróbował się podnieść, wyrżniesz mnie w gębę. Nie jestem taki głupi, mój przyjacielu. Chcesz mnie znokautować? Korzystaj, siedzę.

Patrick Baudouin cofnął się, nie spuszczając z oka blizny na lśniącej od potu twarzy administratora. Musiał mieć ciężkie przejścia w życiu – pomyślał. Tego typa moje pięści nie przerażą. Trzeba spróbować czegoś innego, ponieważ zwykłe sposoby zajęłyby zbyt wiele czasu i do niczego by nie doprowadziły.

– Chcesz szmalu? – zapytał wprost.

Grubas pozostał obojętny. Zapytał:

– Czym się zajmujesz w życiu, skarbie?

– Sam powiedziałeś: nigdy nie zadawać pytań.

– To znaczy, że jesteś prywatnym detektywem. Dziwne. Nigdy nie widziałem prywatnego detektywa z cudzoziemskim akcentem. Nie jesteś przypadkiem Ruski? Nie! Pomyliłem się. Już wiem. Ty jesteś żabojad. Morris Shevaliey, jak mówił w telewizji, miał ten sam akcent, co ty. Jestem w domu!

Nie posiadał się z radości.

Patrick Baudouin wybuchnął śmiechem. Znano tu francuskich piosenkarzy! Charlesa Aznavoura – transwestyta, ten – Maurice'a Chevaliera.

Wyjął portfel i położył na stole dwa banknoty pięćdziesięciodolarowe.

– Szukam Brendy Chapman – powtórzył.

– Mówiłem, nie znam takiej.

– Jak to się więc dzieje, że jej nazwisko figuruje na jednej ze skrzynek na listy w tym budynku?

– Za mało dałeś, żebym odpowiedział na pytanie.

Patrick dorzucił trzeci banknot pięćdziesięciodolarowy.

– Widziałem, że masz jeszcze dwóch braci, takich samych jak ci co leżą na stole. A żebyś tak dołożył do rodzinki? Będzie im cieplej pięciorgu małym – sugerował administrator słodkim głosem.

– Masz dla mnie wiadomości?

– Możliwe.

Patrick Baudouin spełnił życzenie.

– Teraz dość targów. Mów, co masz.

– Załóżmy, mój przyjacielu – powiedział w końcu – że facet przychodzi i mówi: „Masz tu dwieście patyków. Instaluję skrzynkę na listy w twoim hallu, a ty nie zadajesz pytań". Co byś zrobił na moim miejscu? Nie wiesz? To ci powiem. Łapiesz forsę i morda w kubeł. Stajesz się niewidomy. Nawet nie widzisz już tych skrzynek na listy ani nazwisk.

– Ale widzisz dziewczynę, która ci zaproponowała ten interes.

– Nie mówiłem wcale, że to dziewczyna.

– No to mężczyzna.

– Właśnie.

– Jaki on był?

– Zapomniałem.

– Będzie zabawne, jak zabiorę te dwieście pięćdziesiąt dolarów.

– Nie mogę ci nic powiedzieć. Myślisz, że typy, co ci robią takie propozycje, mają pełno znaków rozpoznawczych? Najpospolitszy rodzaj, wszyscy tacy sami.

– Ile skrzynek wynajmują ci, którzy tu nie mieszkają?

– Piętnaście.

– W jaki sposób zabierają swoją pocztę? Musisz ich wtedy widywać?

– Nie.

– Jak to?

Administrator parsknął śmiechem. Nieprzyjemne parsknięcie zirytowało Patricka.

– Jak ci ktoś płaci dwieście patoli – powiedział wreszcie – to wymaga od ciebie małego ustępstwa.

– Jakiego?

– Nigdy mnie tu nie ma po południu, między drugą a szóstą. W tym czasie przychodzą po swoją pocztę. W ten sposób ich nie widzę.

– Nigdy?

– Nigdy.

Dopiero na ulicy, dziesięć minut później, Patrick znalazł rozwiązanie problemu, który go absorbował. Zwymyślał siebie, że nie przyszło mu to wcześniej do głowy.

* * *

Harry Shulz sporządził bilans.

Spośród pięciu ludzi, z którymi skontaktował się na Cyprze, w Atenach, na Rodos, w Izmirze i w Tel-Awiwie, trzej postradali życie wskutek gwałtownej śmierci już w następnym tygodniu. Sammy Rosenthal w Tel-Awiwie, ormiański dostawca w Izmirze i kapitan portu na Rodos.

Podobnie jak mecenasa Rigozzino w Palermo i Abouda Staboulie w Bejrucie, Barto Scalisio unicestwiał i wykańczał wszystkich, którzy zadawali za dużo pytań.

I wszyscy ginęli nie dostarczając jednego choćby szczegółu, który Harry'ego Shulza mógł naprowadzić na jakiś trop.

Pozostali w obiegu: porucznik policji kryminalnej w Atenach, przedstawiciel włoskiej firmy samochodowej w Nikozji na Cyprze i agent morski w La Valetta na Malcie.

Do kiedy? Czy czeka ich ten sam los, który zgotowano tamtym trzem? Niewykluczone.

A Harry nie posunął się nawet o krok. Tymczasem w Paryżu wrzało. Francois Lyończyk i jego wspólnicy nie byli zadowoleni. Mieli powody. Ale co mógł na to poradzić?

W trakcie owych rozmyślań zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

Był to Katzolakis, porucznik policji kryminalnej.

– Pan Shulz? Spotkanie o godzinie dwudziestej pierwszej w Papaspirou, plac Omonia. Znajdzie pan?

– Tak.

– To zaledwie dziesięć minut taksówką z pańskiego hotelu.

– Świetnie.

Odłożył słuchawkę.

Miał jeszcze cztery godziny. Wyszedł ze swojego pokoju i wybrał się do pokoju 701. Wiedział, że tam na okrągło grywają w pokera. Gracze byli Grekami, Amerykanami i Włochami. Ludzie interesu, lekarze, adwokaci. Stawki wysokie. Wejście wynosiło dziesięć dolarów, co dawało bardzo duże wygrane. Od razu przyjęli go do gry. Nim się zaangażował w duże stawki, uważnie obserwował graczy. Odróżniał skąpców i najbardziej doświadczonych. Unikał spotkań z tymi ostatnimi. Szczęście, średnie na początku, po upływie godziny zaczęło mu niezwykle dopisywać. Skorzystał z tego, żeby ostro stawiać. Kiedy dobra passa zaczęła mijać, grał jeszcze godzinę, przegrywając minimalnie i wstał od stolika. Wygrał pięć tysięcy dolarów. Dał sto kelnerowi i ruszył na spotkanie.

Opuścił hotel „King George" i przeszedł przez plac Sindagma. Już z daleka zobaczył taksówkę. W Atenach wszystkie taksówki były szare. Zatrzymał ją.

– Proszę mnie zawieźć na plac Omonia – polecił.

Osiem minut później zatrzymali się przed obskurnym barem Papaspirou Aleko.

– Dwadzieścia drachm – rzucił taksówkarz.

Harry zapłacił.

Nie chciał od razu wchodzić do środka. Obszedł najpierw sąsiednie ulice, żeby poznać okolicę. Pełno tam było obrzydliwych prostytutek. Trzymały się w cieniu, żeby ewentualny klient nie mógł dostrzec ich starych i pomarszczonych twarzy, powykrzywianych i niezgrabnych ciał. Harry zrobił obchód domów, wrócił do baru i ostrożnie wszedł do środka.

Klientela składała się wyłącznie z mężczyzn, w większości starszych. W skupieniu grali w tryktraka, nic nie mówiąc. Harry Shulz usiadł przy wolnym stoliku naprzeciw drzwi. Kelner krążył dokoła z zaaferowaną miną. Harry zawołał go, zamówił ouzo.

Spojrzał na zegarek. Kelner wrócił i podał kieliszek ouzo, szklankę wody z lodem i mezedakis, coś na jeden ząb, składające się z kawałków selera, oliwek i ośmiornicy z rusztu. Harry umoczył usta w ouzo i w otwartych drzwiach zobaczył uśmiechniętego Katzolakisa. Grek podszedł i usiadł naprzeciw Harry'ego, ściskając mu dłoń.

– Dobry wieczór. Łatwo pan trafił?

– Oczywiście.

– Mam dla pana dobre wiadomości.

– Słucham.

– Znalazłem jeden ze statków, zaopatrujących jachty tego, kogo pan szuka. Tylko...

– Tylko co?

Spojrzenie Greka stało się nieszczere.

– Tylko kosztowało więcej niż myślałem na początku. Tak że...

– Tak że chce pan dodatek?

– Z panem interesy idą łatwo. Pan rozumie w pół słowa...

– Ile?

– Myślę, że pięć tysięcy dolarów powinno wystarczyć.

Harry Shulz uświadomił sobie, że właśnie tyle wygrał po południu w pokera.

– Moim zdaniem dwa wystarczą. Proszę.

Wyciągnął plik banknotów, tych samych, które wygrał w pokera, oddzielił odpowiednią kwotę i podał policjantowi pod stołem. Poczuł, jak Grek łapczywie chwycił pieniądze.

– A więc?

Katzolakis pochylił się nad stołem.

– To statek cypryjski. Zaopatruje raz w tygodniu. Dostaje namiary spotkania na morzu: długość geograficzną, szerokość, godzinę. Listę potrzebnych artykułów otrzymuje drogą pocztową, nie statek, oczywiście, tylko armator. Dokonuje zakupów, płaci, zwracają mu przy dostawie. Spotkania odbywają się zawsze w innym miejscu. Tamci są zawsze w porządku. Płacą co do joty. Tylko gotówką.

– Nazwa statku i nazwisko armatora!

Kątem oka Harry Shulz zobaczył otwierające się drzwi. Instynkt ostrzegł go natychmiast. Ileż to razy w ciągu swojego awanturniczego życia znajdował się w identycznej sytuacji?

Jeszcze przed wyjściem z hotelu podjął środki ostrożności. Teraz prawą rękę wsunął za pas i zacisnął palce na pistolecie.

Było ich dwóch. Tylko jeden zdążył wystrzelić, do Katzolakisa. Drugi dostał kulkę między oczy i upadł między dwóch graczy w tryktraka.

Pierwszy wycelował w Harry'ego Shulza, ale nagle jego twarz przybrała wyraz cierpienia, zaznaczyły się bruzdy wokół nozdrzy, przy ustach grymas. Kula wystrzelona przez Harry'ego Shulza trafiła w samo serce.

Harry wstał spokojnie. W barze panowała grobowa cisza. Nie słychać było nawet pionków przesuwanych po drewnie.

Harry spojrzał na Katzolakisa. Strzaskana głowa spoczywała na stoliku wśród resztek jedzenia. Mózg mieszał się z serem, oliwkami, kawałkami ośmiornicy. Harry rzucił kilka drachm i wolnym krokiem opuścił bar, odprowadzany zaintrygowanymi spojrzeniami klientów. W ręku trzymał broń. Okazała się bardzo przydatna. Gdy tylko postawił nogę na chodniku, dostrzegł osobnika czatującego w starym renaulcie.

Dziewiątka wystrzeliła po raz trzeci, a smagła twarz zniknęła za drzwiczkami samochodu.

Shulz zrobił parę kroków, otworzył drzwiczki wozu. Trup wytoczył się na ziemię. Harry usiadł za kierownicą. Dość dobrze pamiętał trasę, którą jechała taksówka z hotelu do Omonii. Wysiadł z renaulta pięćset metrów od hotelu i prawie biegiem wrócił do „King George".

W pokoju uporządkował swoje rzeczy. W ciągu pięciu minut zamknął walizkę, wyciągnął z niej zapasowy paszport, opatrzony wizą wjazdową do Grecji. Spalił w łazience ten, którym posługiwał się dotychczas, zjechał do hallu, wyszedł na ulicę. Pieszo dostał się do miejsca, gdzie zostawił renaulta. Usiadł za kierownicą i pojechał na lotnisko.

Zaparkował wóz na parkingu naprzeciw budynku, wszedł do środka i stanął przed tablicą odlotów.

Samolot Air France właśnie miał startować do Rzymu. Podbiegł do kantoru Air France, rozłożył przed hostessą plik banknotów i zażądał w jedną stronę do Rzymu.

– Nie wiem – zawahała się. – Jest trochę późno. Samolot już jest gotowy do startu...

– Niech go pani zatrzyma.

– Ależ...

– Macie za dużo pasażerów?

Przeczytał nazwisko wypisane na plastykowej wizytówce przypiętej nad lewą piersią dziewczyny.

– Panno Janopoulos, zapamiętam sobie pani nazwisko. Zawiadomię waszą dyrekcję, że pani nie przyjmuje klientów na dziesięć minut przed odlotem samolotu. Co więcej, pasażera pierwszej klasy.

Dziewczyna się zaczerwieniła i chwyciła telefon.

– Dobrze, proszę pana. Niech pan postawi walizkę na wadze. Bardzo proszę.

Rozdział XIV

Niedziela, 16 czerwca 1974

Patrick Baudouin przeczytał kopię listu, który przed czterema dniami wysłał do Paryża.

Yves!

Chciałem cię prosić o grzeczność. Tym razem nie chodzi o forsę. Dziwisz się? Od tej strony wszystko dobrze się układa. Nie. Chodzi o coś innego. Oto moja sprawa.

Chciałbym, żebyś wybrał się do mnie. Dom, jak wiesz, nie ma dozorcy. Nie mogę więc prosić o przysłanie mi poczty.

Otworzysz moją skrzynkę na listy, weźmiesz pocztę i wyślesz mi tutaj, adres poniżej.

Klucz znajdziesz na dnie koperty. Chciałbym także, jeśli to cię zbytnio nie obciąży, żebyś zaglądał do mnie co najmniej dwa razy w tygodniu i sprawdzał, czy nie ma poczty. Jeśli by była, przysyłaj.

Ostatnia sprawa. Przysyłam ci zaklejoną kopertę, żebyś nalepił znaczek i wysłał ją z Paryża. Wybacz, że jest zaklejona, wiem, że to niegrzeczne, ale konieczne.

Liczę na ciebie!

Pobyt w Nowym Jorku upływa dobrze. Opowiem ci po powrocie.

Dziękuję, Stary, i do zobaczenia,

Patrick

Wziął się teraz do czytania listu, który napisał do Brendy, a który dotrze do niej za pośrednictwem starego kumpla, Yvesa.

Moja droga!

Szczęście wreszcie sprzyja. Udało mi się sprzedać scenariusz producentowi filmowemu, z którym byłem w kontakcie od jakiegoś czasu i, trzymaj się mocno, dostałem forsę!

Zacząłem, oczywiście, od spłacenia długów. Wiesz, miałem je. Nigdy Ci o tym nie mówiłem, ale wierz mi, przeżyłem bardzo złą passę.

Teraz idzie lepiej.

I wyobraź sobie, co postanowiłem? Skoczę do Nowego Jorku, żeby się z Tobą spotkać. Czy to nie cudowne?

Odpowiada Ci? Odpisz szybko.

Całuję Cię bardzo mocno

Patrick

Zadowolony z siebie, złożył razem kopie obu listów i schował do szuflady małego biureczka. Teraz zaczął się zastanawiać. Niewykluczone, że Brenda napisze do Paryża, precyzując, gdzie była i co robiła. W tym tkwi może wyjaśnienie tajemnicy. W każdym razie, gdy otrzyma list, zareaguje tak czy inaczej. Albo da mu zielone światło, albo znajdzie jakiś pretekst, aby mu przeszkodzić w przyjeździe. Podróż zagraniczna, na przykład.

Ale najważniejsze było zupełnie co innego. Dzięki listowi, który napisał do Brendy i który Yves wyśle z Paryża, odkryje, kto odbiera pocztę przeznaczoną dla Brendy w skrzynce na jej nazwisko w domu przy West Grennwich. Albo sama Brenda, albo ktoś inny.

Jeśli Brenda, poprosi ją o wyjaśnienie. Jeśli ktoś inny, mężczyzna czy kobieta, zacznie jego lub ją śledzić, aż zaprowadzą go do Brendy.

Od pięciu dni, każdego popołudnia, między drugą a szóstą, jak to sprecyzował administrator, czatował u Clive'a Hornfielda, transwestyty. Śledził rzędy skrzynek na listy przez wizjer w drzwiach.

Ale nikt się nie pojawiał.

Dostrzegał mężczyzn i kobiety, cienie, prześlizgujące się po hallu; otwierali szybko skrzynki, zgarniali koperty i w sposób pozornie swobodny wychodzili z budynku. Nikt jednak nie podszedł do skrzynki z nazwiskiem Brendy Chapman.

Clive Hornfield już dawno stracił nadzieję, że nawróci Patricka na homoseksualizm, i stosunki między nimi ułożyły się dobrze.

Patrick, wychodząc około wpół do siódmej, zostawił na stole dziesięć dolarów, płacąc w ten sposób za zajmowanie lokalu. Te pieniądze nie były całkowicie stracone. Zabrał się bowiem do przygotowania scenariusza, który na pewno spodoba się Rosenfeldowi.

* * *

W Rzymie Harry Shulz nie zabawił długo. Natychmiast odleciał do Nikozji na Cypr. Tam założył swoją kwaterę główną.

Od razu po przybyciu skontaktował się z przedstawicielem włoskiej firmy samochodowej i z agentem morskim w La Valetta na Malcie; tylko oni zostali jeszcze przy życiu.

Niestety, nie mieli nic do powiedzenia. Nawet najmniejszego śladu. Niemal wpadł w rozpacz. Nie mógł odżałować, że Katzolakis zginął tak wcześnie. Dokładnie na kilka sekund przed ujawnieniem nazwy statku i nazwiska armatora, który zaopatrywał jachty Barta Scalisio. Co jednak można poradzić na śmierć?

Już od sześciu tygodni był na tropie Barta Scalisio, a nie zanotował nawet najmniejszego sukcesu w poszukiwaniach. A tamci, w Paryżu, niecierpliwili się! Żądali wyników!

Nic dziwnego, po śmierci Nicka De Luki znaleźli się w kropce. Czyja teraz kolej? – zastanawiają się.

Zasępił się. Czy musiał bezczynnie czekać na informacje? Katzolakis powiedział, że to cypryjski statek zaopatruje jachty Scalisia. Trzeba coś zrobić.

Harry był na Cyprze. Dlaczego nie spróbować odkryć czegoś samemu, nie licząc na innych? Poprzednio objechał porty wyspy w towarzystwie przedstawiciela firmy samochodowej i nawiązał kontakty. Dlaczego tam nie wrócić?

Poszukał mapy i uważnie ją przestudiował. Czerwonym i niebieskim ołówkiem nakreślił drobiazgowo trasę i na kawałku papieru napisał nazwy portów, które zamierzał odwiedzić: Rozokarpason, Famagusta, Limassol, Ktema, Polis, Leuka, a także Kyrenia w strefie tureckiej.

Pojedzie wynajętym właśnie pontiakiem.

Czwartek, 21 czerwca 1974

Patrick Baudouin otworzył kopertę, na której Yves wyrysował wielkimi literami adres nowojorski. Obawiał się widocznie, że amerykańscy pocztowcy nie odcyfrują jego gryzmołów.

Wyjął list od Brendy napisany do niego do Paryża. Otworzył kopertę i zaczął czytać.

Kochany!

Już od wieków nie mam od Ciebie wiadomości. Co się dzieje? Zapomniałeś o mnie? Inna zajęła miejsce w Twoim łóżku?

W końcu to byłoby normalne. Nie spodziewam się, że żyjesz jak mnich, czekając na nasze spotkanie. Ale to Ci nie przeszkadza w napisaniu do mnie!

Jestem doprawdy zachwycona moim nowym mieszkaniem na West Greenwich. Przez „nowe mieszkanie" nie chcę powiedzieć, że zajmuję inny apartament (mieszkam tu od lat), ale po prostu, że on jest nowy, bo zupełnie się zmienił od czasu remontu, jaki kazałam zrobić podczas mego pobytu w Rio. Przypominasz sobie? Pisałam Ci o tym w poprzednim liście. Na który zresztą nie odpowiedziałeś.

Rzecz jasna, West Greenwich nie wybrałabym, gdybym miała dosyć pieniędzy, żeby przeprowadzić się do dzielnicy moich snów. Ale trzeba żyć na miarę swych możliwości. Prawda?

Niestety, muszę je znowu opuścić (mówię o mieszkaniu, nie o West Greenwich, na to gwiżdżę).

Z pewnością będziesz mnie uważał za niepoprawną globtroterkę. Po zastanowieniu myślę, że rzeczywiście nią jestem.

Następny list otrzymasz ode mnie z Bejrutu, z Aten lub może nawet z Nikozji na Cyprze.

Niecierpliwie czekam na nowiny od Ciebie. Nie zapomnij o mnie, wiesz, że Cię kocham,

Brenda.

Z wściekłością rzucił list na biurko.

Jaką grę ona prowadzi? Kłamała, teraz to oczywiste. Cały ten fragment o mieszkaniu na West Greenwich! Roześmiał się. Mieszkanie, które wcale nie istnieje!

Uważa się za niepoprawną globtroterkę? Raczej niepoprawna kłamczucha. Tak. Od początku go okłamywała.

Ale dlaczego, na miły Bóg? Jaki ma w tym interes? Dlaczego otacza się tajemnicą?

Na próżno szukał, nie widział powodu.

Nie mogła nawet być na procencie w biurze podróży. Bo jak by zdołała płacić komorne za apartament w tak luksusowym budynku przy Lexington Avenue?

A może ktoś inny za nią płacił? I tego kogoś pragnie ukryć w cieniu? W każdym razie dużo podróżuje. Ale... czy to jest pewne? Jeśli ktoś odbiera jej pocztę, może kogoś innego używa do wysyłania swoich listów z Rio de Janeiro, Bejrutu, Aten, Cypru?

Czy on sam nie stosuje takiej metody z Yvesem w Paryżu?

Ale z jakiego powodu? Tylko po to, żeby zachować w cieniu amanta, który ją utrzymuje? Trochę wykrętne rozumowanie.

Spojrzał na zegarek: trzynasta trzydzieści. Czas, żeby pójść na West Greenwich i objąć wartę w mieszkaniu Clive'a Hornfielda. To jedyna szansa znalezienia klucza do zagadki.

Gdy zadzwonił do drzwi, transwestyta był w trakcie przymierzania rudej peruki na swój ogolony łeb.

– Wchodź, śliczny chłopaczku. Co nowego?

Clive Hornfield pasjonował się tak samo jak on wyświetleniem tajemnicy. Patrick nie powiedział mu o otrzymanym liście.

– Zrobić ci kawy?

– Proszę.

Zajął miejsce przy drzwiach i przykleił oko do wizjera. Clive rzucił mu ironiczne spojrzenie.

– Pewnego dnia wykręcisz sobie szyję.

Patrick wzruszył ramionami.

Na schodach ruch był niewielki. Najpierw dwie kobiety, czule objęte, otworzyły skrytkę, pustą zresztą, a potem poszły na górę.

Ann McGraw i Marie O'Hara. Patrick je rozpoznał. Dwie lesbijki, jak mu powiedział Clive Hornfield.

Patrick powoli poznawał wszystkich mieszkańców domu. Umiał ich odróżnić od tych, którzy przychodzili zabrać pocztę, ale nie mieszkali w budynku.

Potem nadszedł Claude Cohen, inny transwestyta. Clive był o niego zazdrosny, bo udało mu się dostać rolę w rewii off-Broadway, czego nigdy nie dostąpił Clive.

Nagle Patrick Baudouin się poruszył.

Jakiś człowiek wszedł ukradkiem do hallu, rozejrzał się dokoła, skierował do rzędu skrzynek, tam gdzie znajdowała się ta z nazwiskiem Brendy. Ale to był tylko fałszywy alarm. Mężczyzna otworzył sąsiednią skrzynkę, wyjął grubą kopertę i pospiesznie się wymknął.

– Masz swoją kawę – odezwał się Clive.

Patrick chwycił filiżankę i zaczął pić wrzący napój. Wiedział, że list, który napisał do Brendy i który Yves wysłał z Paryża, znajduje się tam, w skrzynce.

Dwie czarne prostytutki w blond perukach weszły do domu, zawzięcie dyskutując. Nawet się nie zainteresowały, czy są dla nich listy. Były zbyt zajęte wymyślaniem na sędziego, który wlepił im sto dolarów grzywny za próbę okradzenia dwóch amerykańskich marynarzy.

Za nimi wbiegła banda wyrostków, rzucili się za dziewczynami po schodach, wyrwali im torebki i uciekli co tchu, ścigani krzykiem i ordynarnymi przekleństwami.

W drzwiach jeden z chłopaków omal nie wpadł na wchodzącą akurat ładną blondynkę. Ustąpiła mu miejsca i weszła pewnym krokiem. Cofnęła się, żeby przepuścić dwie prostytutki biegnące w pogoń za złodziejami i skierowała się wprost do końca rzędu skrzynek.

Po raz drugi Patrick zadrżał. Szybko odstawił filiżankę z kawą na podłogę i uważnie obserwował przez wizjer.

Dziewczyna zatrzymała się przed skrzynką z nazwiskiem Brendy Chapman i wyjętym z torebki kluczem otworzyła zamek. Zachowywała się swobodnie. Wyciągnęła list od Patricka, zamknęła skrzynkę, wsunęła do torebki list i klucz. Potem zdecydowanym krokiem przeszła przez hall i zniknęła na ulicy.

– Jest – rzucił radośnie Patrick. – Ktoś przyszedł. Idę za nią.

– Kobieta?

– Tak.

– Ale przyjdziesz jeszcze do mnie, powiedz – prosił Clive Hornfield.

– Przyrzekam.

Patricka już nie było. Na ulicy od razu zobaczył dziewczynę. Szła w kierunku Avenue of the Americas. Jej jasne, długie do ramion włosy powiewały na lekkim południowym wietrzyku. Przeszła przez aleję, skręciła w Waverley, przeszła przez Washington Square i u wylotu Piątej Alei zatrzymała się przed zaparkowanym tam fordem.

Patrick rozejrzał się rozpaczliwie dookoła. Jak za zrządzeniem opatrzności nadjechała taksówka. Podbiegł, otworzył drzwiczki i wskoczył na tylne siedzenie.

– Dokąd? – zapytał taksówkarz, wielki Murzyn o nieufnym spojrzeniu.

Patrick wyciągnął z kieszeni plik dolarów i rzucił mu na kolana.

– Niebieski ford rusza za panem. Jedźmy za nim – mówił okropnie niewyraźnie, tak był zdyszany.

Kierowca mrugnął.

– Rozumiem, psze pana.

Ford ich wyprzedził, blondynka siedziała przy kierownicy, a taksówkarz zręcznie włączył się do ruchu, w pewnej odległości za dziewczyną.

– Mnie też zdradzano – skomentował smutno kierowca. – To dziwne, prawda, psze pana? Masz zaufanie do swojej babki, a potem pewnego pięknego dnia odkrywasz, że ona przyprawia ci rogi z jakimś gościem, który ci nie dorasta do pięt. Prawda, psze pana? Dam panu radę. Żeby nas nie zdradzały, jest tylko jeden sposób: trzeba im szybko robić dzieci. Dwanaścioro, piętnaścioro, dwudziestkę. To je zajmie, prawda? Na przykład moja druga kobieta. Już jej zrobiłem dziewięcioro, a dziesiąte w drodze. Świetna metoda, prawda, psze pana? Nie ma pan szczęścia. Taka ślicznotka... Widzi pan, zawsze mówię, lepiej mieć brzydką. To mniej pociąga facetów, co tylko polują!

Patrick Baudouin nie przywiązywał wagi do tego gadania. Nie spuszczał z oka niebieskiego forda.

Dziewczyna nie sprawiała wrażenia, jakby starała się zgubić kogoś, kto ją śledzi. Prowadziła spokojnie, nawet wolno, nie ryzykowała w bardzo ożywionym ruchu ulicznym. Taksówkarz jechał za nią bez trudu.

Poprowadziła ich prosto do New York Life Insurance Building przy Madison Avenue, między 26 i 27 Ulicą. Wjechała na podziemny parking. W tym czasie Patrick szybko zapłacił za kurs, dając duży napiwek. Nie było szans, żeby mógł ją złapać w tym ogromnym podziemiu. Stanął więc przy windach.

Dziewczyna nadeszła po pięciu minutach. Gdy tylko ją zobaczył, nacisnął guzik windy, tak jak gdyby dopiero tam się znalazł.

Drzwi kabiny otworzyły się, a on przepuścił dziewczynę przodem, wszedł za nią i wsunął się w głąb.

Nacisnęła guzik na czternaste piętro i obojętnym głosem zapytała:

– Które piętro?

– Piętnaste.

Podczas jazdy miał okazję dokładnie ją obejrzeć. Była to ładna blondynka o niebieskich oczach, dobrze zbudowana, około dwudziestu pięciu lat. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i całkowicie beztroskiej.

Wysiadła na czternastym piętrze.

Patrick wyskoczył na piętnastym, znalazł zapasowe schody, zbiegł piętro niżej. Zdążył dojrzeć dziewczynę znikającą za drzwiami w końcu korytarza.

Poszedł w tym kierunku i zatrzymał się przed drzwiami z tabliczką: Spółka Eksportowo-Importowa McCall.

Rozdział XV

Piątek, 28 czerwca 1974

Od tygodnia Patrick Baudouin śledził dziewczynę, która w ubiegły czwartek wyjęła ze skrzynki jego list do Brendy. Wiedział o niej już wszystko.

Nazywała się Kate Kitzpack i zajmowała niewielkie mieszkanie na Pięćdziesiątej Pierwszej Zachodniej Ulicy, między dziewiątą a dziesiątą Aleją, naprzeciw szpitala Saint

Clare i obok kościoła Świętego Serca. Zarabiała sześćset dolarów miesięcznie, za mieszkanie płaciła 150. Urodziła się w Rapid City, w Południowej Dakocie, przed mniej więcej dwudziestu sześciu laty. Pracowała w Nowym Jorku od czterech lat, w firmie importowo-eksportowej McCalla.

Wychodziła z domu do biura punktualnie o ósmej, pracowała do szesnastej trzydzieści. W przerwie południowej, między dwunastą a pierwszą, jadła sandwicza, piła kawę i zimne mleko.

Wieczory spędzała w domu albo z jednym z szefów od McCalla wybierała się do eleganckiej restauracji, a przedtem do kina lub teatru.

Towarzysz ją odprowadzał i zostawał na noc. Patrick śledził dziewczynę także podczas weekendu. Wynajął w tym celu chevroleta. Weekend spędzała ze swoim amantem w Wilmington, w spokojnej okolicy Vermont.

Nie odkrył nic, co mogłoby ją wiązać z Brendą.

Ale co zrobiła z listem?

Patrick nie zdecydował się jeszcze jaką przyjąć taktykę wobec Kate Kitzpack.

Zapytać ją o Brendę? To wydawało się logiczne, ale nie takie proste. Jeśli Brenda była tak tajemnicza, to musiała mieć ku temu jakiś poważny powód. Wypytując o nią Kate z jednej strony ryzykował, że nic nie uzyska, z drugiej, że zerwie nić prowadzącą na trop Brendy.

Lepiej więc dalej śledzić Kate Kitzpack, obserwować jej zachowanie. Może ona go doprowadzi do Brendy?

Tymczasem odpisał Brendzie. Powtórzył propozycję spotkania w Nowym Jorku po jej powrocie z Cypru, Aten czy Bejrutu. Przesłał list do Yvesa z prośbą, żeby go nadał z Paryża. Trzy dni później otrzymał od Yvesa kopertę, zawierającą list od Brendy. Otworzył i przeczytał:

Mój biedny kotku!

Nie masz szczęścia. Właśnie w chwili, kiedy chciałbyś przyjechać do mnie, do Nowego Jorku, ja jestem tak daleko! Musimy to odłożyć. Ale na kiedy? Doprawdy nie wiem. Żyję w obłędnym pędzie, bez przerwy włóczę się po szerokim świecie!

Najserdeczniejsze gratulacje z powodu Twojego sukcesu. Kiedy będą kręcić Twój film? Marzę, żeby go obejrzeć. Jestem pewna, że będzie okropny. Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie: czy jakaś inna dziewczyna zajęła miejsce w Twoim łóżku?

To idiotyczne z mojej strony, ale muszę wiedzieć. Kocham Cię, a wiesz, jaką opinię mają paryżanki!

Kończę. Mnóstwo roboty. Kocham Cię,

Brenda.

To znaczy, stwierdził Patrick, że Kate Kitzpack przekazała Brendzie list. A więc zna jej adres. Spojrzał na stempel pocztowy: Nikozja, Cypr.

Naszły go wątpliwości. Może Kate nie ma nic wspólnego z tą sprawą? Może to uprzejmość z jej strony, że wysyła Brendzie pocztę, ale nic nie wie o jej tajemnicach?

W takim wypadku nie miałaby najmniejszego powodu, żeby mu nie podać adresu Brendy. Postanowił pójść do niej i porozmawiać.

Tego samego popołudnia czatował w korytarzu prowadzącym do mieszkania Kate. Wróciła o piątej. Gdy tylko wysiadła z windy, zbliżył się i zaszedł jej drogę.

– Jestem przyjacielem Brendy Chapman – oświadczył chłodno, patrząc jej w oczy.

Nawet nie drgnęła.

– Tak?

– Gdzie ona jest?

– Dlaczego pan się do mnie zwraca?

– Widziałem, jak pani otworzyła jej skrzynkę w domu przy Christopher Street i wyjęła list, który do niej napisałem. Dostałem już odpowiedź. To znaczy, że pani go przesłała. Więc wie pani, gdzie ona jest.

– Śledził mnie pan?

– Tak.

Zastanowiła się.

– Minęło osiem dni, jak odebrałam ten list. Cały czas pan mnie śledził, przez osiem dni?

– Tak.

Potrząsnęła głową.

– Jest pan wytrwały. Francuz, prawda?

– Tak.

Czekał, aż porówna jego akcent z akcentem Maurice'a Chevaliera albo Charlesa Aznavoura, ale nie zrobiła tego.

– Tak więc pan jest Patrick Baudouin – stwierdziła obojętnym tonem.

– Tak. Brenda mówiła pani o mnie?

– Niech pan wejdzie.

Wyjęła klucz z torebki, otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka.

– Proszę usiąść.

Wskazała fotel w salonie. Rzuciła torebkę na krzesło i zajęła miejsce naprzeciwko niego.

– Pewnie chciałby się pan zobaczyć z Brendą. Dlaczego tak długo pan czekał, żeby ze mną mówić, skoro mnie pan widział na Christopher Street?

– Brenda nigdy nie mieszkała w tym domu, chociaż mi to próbowała wmówić. Odkryłem, że poprzednio zajmowała luksusowy apartament przy Lexington Avenue.

Kate Kitzpack przyjęła to obojętnie.

– Brendy nie ma w Nowym Jorku – stwierdziła.

– Dostałem dziś od niej list z Nikozji na Cyprze. Czy tam jest?

– Przypuszczam.

– Gdzie pani jej przesyła pocztę?

– Kto panu powiedział, że jej przesyłam?

– No to co pani zrobiła z listem?

– Oddałam na pocztę.

– Na pocztę?

– Tak.

– Nie rozumiem.

Westchnęła.

– Na poczcie głównej przy Ósmej Alei Brenda zostawiła adres, na który jej przesyłają korespondencję. Ja ograniczam się jedynie do wyjęcia listów ze skrzynki i oddania ich na pocztę na jej nazwisko.

– Trochę skomplikowany sposób – zauważył z ironią Patrick. – Byłoby prościej, gdyby zostawiła swój adres. Większość rozsądnych ludzi tak robi.

– Może nie jest rozsądna. A może ma swoje powody.

Przyglądał jej się uważnie i wiedział, że kłamie. Robiła to swobodnie, ale jednak kłamała.

– Zna pani moje nazwisko. Co Brenda o mnie mówiła? – zapytał zmieniając temat.

– Że pana kocha – odpowiedziała po prostu.

Zdziwiła go jej odpowiedź.

– To wszystko?

– Tak. To wszystko.

Pomyślał.

– Nie wierzę, że pani nie wie, gdzie jest Brenda.

– Nie wiedziałam do chwili, kiedy mi pan to powiedział.

– Jak to?

– Mówił pan, że list przyszedł z Cypru? Więc ona tam jest. Co więcej chce pan wiedzieć?

– Jest pani jedną z jej najbliższych przyjaciółek?

Kate Kitzpack zawahała się.

– Zadaje pan za dużo pytań. Nie będę odpowiadać.

– Dlaczego Brenda utrzymuje, że mieszka przy Christopher Street, na nędznej ulicy, podczas gdy do końca lutego zajmowała mieszkanie w luksusowym domu przy Lexington Avenue?

Kate Kitzpack wstała i otworzyła drzwi na klatkę schodową.

– Dam panu dobrą radę i bardzo namawiam, żeby się pan do niej zastosował. Niech pan wraca do Paryża i tam czeka na wiadomość od Brendy. Sama panu wszystko wytłumaczy. Ja nie mam nic do powiedzenia. Namawiam stanowczo – niech pan stąd wyjedzie. Nowy Jork jest dla pana niebezpieczny.

Patrick zawahał się, ale w końcu wstał i wyszedł.

Czwartek, 4 lipca 1974

Harry Shulz wszedł do pełnego różnych towarów magazynu i skierował się wprost do kantoru za szybą. Dostrzegł tam potężną sylwetkę Toniego Parygorisa. Gdy otwierał drzwi, Toni odprawiał stanowczym gestem jakiegoś pracownika. Dał znak Harry'emu żeby usiadł.

Za pracownikiem zamknęły się drzwi, a Toni Parygoris zajął miejsce za biurkiem. Shulz cierpliwie czekał, aż zacznie mówić.

– Mam coś nowego – oświadczył Grek kiepską angielszczyzną.

Harry Shulz wyczekująco uniósł brwi.

– Dobry kontakt – ciągnął Grek.

– Kto? – zapytał zimno Shulz.

Nie ufał kontaktom od śmierci Katzolakisa. To wspomnienie kazało mu wstać i przesunąć fotel w taki sposób, żeby mógł widzieć równocześnie i Parygorisa, i wejście do magazynu. Na wypadek, gdyby ktoś przyszedł zlikwidować Greka. Ten się zaniepokoił.

– Pan się czegoś obawia? – zapytał Shulza, uderzając machinalnie w aparat telefoniczny. Prawą ręką otworzył szufladę biurka.

– Co pan tam ma? Broń?

– Tak, proszę pana. Niech się pan nie obawia. Gdyby ktoś wszedł, jestem zabezpieczony.

Harry Shulz potakująco skinął głową i powtórzył swoje pytanie.

– Kto to jest?

– Kobieta.

– Kobieta?

– Tak.

– Nie lubię tego!

– Dlaczego?

– Nie mam zaufania.

– Jej może pan zaufać.

– Dlaczego mam jej zaufać?

– To jest przyjaciółeczka tego, kogo pan szuka.

Harry'emu Shulzowi udało się nie zareagować. Nie chciał okazać zdziwienia.

– Jego przyjaciółka? – powtórzył.

– Powiedzmy, dawna.

– I co nam to da?

– Ona nie może mu darować, że ją odsunął i że ktoś inny zajął jej miejsce.

– Kto?

– Inna dziewczyna.

– A tamtą Barto odprawił?

– Nie.

– Jak to nie?

– Zachował jako dublerkę.

– A więc?

– Ma mu za złe. Chce się zemścić, jest gotowa wydać Barta Scalisio.

Harry nie odpowiedział. To było za piękne, żeby było prawdziwe. A jeżeli to podstęp? Może nawet za wiedzą Toniego Parygorisa, który przeszedł do obozu wroga.

Zastanówmy się. Barto Scalisio na pewno ma się na baczności. Wiedział, że mecenas Rogazzino z czyjegoś polecenia wypytywał o niego na Sycylii. Wiedział, że Aboud Stabouli robił to samo w Bejrucie. Następnie Katzolakis w Atenach. I jeszcze Sammy Rosenthal w Tel-Awiwie, dostawca ormiański w Izmirze, kapitan portu na Rodos.

Tych sześciu ludzi nie żyło, ale ten, który im polecił zbieranie informacji o Barto Scalisio, żył. Sycylijczyk musiał się strzec i na pewno usiłował trafić na trop tego szaleńca.

Dlaczego go nie zwabić? Najlepsza przynęta? Oczywiście kobieta. A Sycylijczyk jest dostatecznie sprytny, żeby o tym pomyśleć.

Tylko że Harry Shulz czuł się na siłach stawić mu czoło. Podjął decyzję i stwierdził z udanym entuzjazmem:

– To szczęśliwy traf. Dobra robota, Parygoris!

Grek się nadął.

– Będzie chyba mały dodatek?

– Pewnie. Ale potrzebne mi są dokładne informacje. Gdzie jest ta dziewczyna?

– Była tu wczoraj. Ale pojechała.

– Dokąd?

– Na jacht, gdzie jest nasz przyjaciel.

– Jakim środkiem lokomocji?

– Motorówką. Musi leczyć zęby, dlatego ją tu przywieziono. Przypadkiem na nią trafiłem. Dentysta jest moim przyjacielem. Byłem w jego gabinecie, służyłem za tłumacza. On nie zna angielskiego. Dziewczyna zasłabła podczas zabiegu. Gdy doszła do siebie, przywiozłem ją tu, poczęstowałem kieliszkiem alkoholu na wzmocnienie. Spieszyła się. Powiedziała, że czeka na nią motorówka, żeby ją zawieźć na jacht. To wzbudziło moje podejrzenie. „Jacht?" – zapytałem. „Jacht jednego łajdaka!" – odpowiedziała. „Wstrętny Rital!" – dodała.

To mnie przekonało, że mam do czynienia z Bartem Scalisio. Poruszałem się więc ostrożnie. Jak po lodzie. Namawiałem, żeby wypiła jeszcze jeden kieliszek. Zgodziła się. Widać było, że ma ochotę mówić. „Jeśli to łajdak, to dlaczego go nie rzucić – odezwałem się – jest pełno przyzwoitych mężczyzn". Powiedziała, że nie może. On by się mścił, zabiłby ją. „Więc nie pozostaje nic innego jak zabić go wcześniej – zażartowałem – wyrzucić za burtę". Niemożliwe – stwierdziła. To niech namówi kogoś innego, żeby to zrobił – podsunąłem przebiegle. Zainteresowała się. Zapytała, czy znam kogoś takiego. Tu się zbytnio nie zaangażowałem. Stwierdziłem, że w tych stronach Morza Śródziemnego pełno chłopców bez skrupułów, zwłaszcza gdy w perspektywie jest szmal. To ją zachwyciło. Zapytałem, dlaczego tak się zawzięła na swojego Ritala. Dlatego, że ją odsunął i wziął inną – oświadczyła – ale ją chce mieć pod ręką, żeby upokorzyć. Dodała, że to niebezpieczny typ, bardzo niebezpieczny, bardziej niebezpieczny niż myślę. Jestem pewien, że chodzi o Barta Scalisio.

– Nie wymieniła ani razu jego nazwiska?

– Nie.

– Dalej.

– Leczenie u mojego przyjaciela nie skończyło się. Może trzeba będzie wyrwać dwa lub trzy zęby. Zobaczymy się jeszcze. Ładna sztuka. Chciałbym ją sobie zafundować.

– Najpierw interesy! – nakazał sucho Harry Shulz.
– Zgoda, zgoda....
– Kiedy następna wizyta?
– Jeszcze nie wiem.
– Dentysta nie wyznaczył daty?
– Nie.
– Dlaczego?
– Termin nie zależy od niej. Zależy od możliwości transportowych między lądem a jachtem.
– Nie podała nazwy jachtu?
– Nie.
– Niech pan się spróbuje dowiedzieć.
– Dobrze.
– Mówiła, że ten Rital jest teraz na pokładzie?
– Tak.
– Jaki zabieg przeprowadził na niej ten pański przyjaciel dentysta?
– Zatruwa ząb.
– Opatrunek nie może leżeć długo. Dziewczyna wkrótce wróci.
– Na pewno.

Jeśli jej nie wyślą do innego dentysty – pomyślał Harry.

Przyglądał się Toniemu Parygorisowi. Grek wydawał się szczery, ale opowiadanie było mało prawdopodobne. A jeżeli to prawda?

Jest jakiś punkt wyjścia, nawet gdyby Barto Scalisio szykował podstęp. Wstał i skierował się do drzwi.

– Da mi pan znać?
– Dobrze.

Przed wyjściem odwrócił się i popatrzył na Greka. Zobaczy go jeszcze żywego? Ryzykuje taki sam los, jaki Barto Scalisio zgotował tamtym sześciu. Jeżeli mówi prawdę.

Poniedziałek, 8 lipca 1974

Poczta główna w Nowym Jorku zajmowała cały blok na Ósmej Alei, między Trzydziestą Pierwszą a Trzydziestą Trzecią Ulicą (Trzydziestą Drugą zlikwidowano). Po drugiej stronie alei znajdował się Madison Square Garden.

Patrick Baudouin wszedł na pocztę zaraz za Kate Kitzpack. Wiedział, że teraz jest czujna. Przebrał się więc za hippisa. Po rozmowie z Kate przemyślał całą sprawę. Na pewno zaalarmuje Brendę i z jej strony nastąpi reakcja. Jaka? Tego nie wiedział. Ale był bardzo ciekaw.

Co wymyśli Brenda na temat swoich licznych podróży? W tym tkwi tajemnica. Tę tajemnicę trzeba rozwikłać. Dowiedzieć się po prostu, gdzie jest Brenda? Nie miał nic do roboty w Nowym Jorku. Żeby odzyskać zaufanie Kate, przestał ją śledzić. Czatował tylko u Clive'a Hornfielda na swój list, który kazał przyjacielowi wysłać do Brendy z Paryża. Nie dziś to jutro Kate przyjdzie go wyjąć ze skrzynki.

Zrobiła to właśnie tego popołudnia zachowując szczególną ostrożność.

Patrick, przebrany za hippisa, wsiadł do wynajętego chevroleta i podążył za niebieskim fordem Kate Kitzpack.

Po wielu zakrętach i nagłych przyspieszeniach, Kate zatrzymała się wreszcie w niedozwolonym miejscu przed gmachem poczty głównej na Manhattanie. Na to właśnie czekał Patrick.

Kate odebrała list dla Brendy i teraz szła go przesłać.

Udało mu się zbliżyć do niej w wielkim hallu poczty. Podeszła do stolika, gdzie były rozłożone różne formularze. Położyła torebkę, wyjęła dużą, brązową kopertę, znaczki, złożoną wpół kartkę i list do Brendy.

Raptem odwróciła się i podejrzliwie rozejrzała wokoło. Patrick w porę zdołał się schować za filarem.

Przez dłuższą chwilę Kate rozglądała się po sali, a następnie wróciła do poprzedniej czynności. Wyłowiła z torebki flamaster i nabazgrała coś na kopercie, potem wsunęła do niej list do Brendy i kartkę. Zakleiła kopertę, nalepiła znaczki, schowała swoje rzeczy do torebki i z kopertą w ręku podążyła do skrzynki z napisem „Zagraniczne – lotnicza".

Patrick przeciął jej drogę. Uderzył ją w przegub dłoni tak, że wypuściła kopertę, którą złapał w locie i uciekł co tchu. Wybiegł z poczty, dotarł do chevroleta, wskoczył do środka jak akrobata, ruszył pędem w kierunku hotelu.

W pokoju otworzył kopertę i wyciągnął zapisaną kartkę. Zawierała tylko kilka słów:

P.B. jest w Nowym Jorku. Szuka cię. Jest zorientowany w sprawie skrzynki przy Christopher St. Wie także o Lex. Ave. Porusza niebo i ziemię. Co mamy robić? Odpowiedz jak najszybciej.

K.

Rzucił kartkę na biurko i wziął kopertę. Przeczytał:

Miss Brenda Chapman
c/o Emil Hazrak
112 Hamra
Bejrut, Liban

Zapisał adres w notesie. Wyciągnął czystą kopertę z walizki, wsunął kartkę wraz z listem i poszedł na pocztę przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Przedtem, zmieniając charakter pisma, przepisał adres bejrucki i spalił starą kopertę, zaadresowaną przez Kate.

W drodze powrotnej wstąpił do baru na filiżankę kawy i trzy kwadranse później wrócił do hotelu. Kiedy pojawił się w hallu, z foteli podnieśli się dwaj mężczyźni. Zatrzymali go.

– Pan Patrick Baudouin?
– Tak.
– Policja federalna – pokazali znaczki. – Niech się pan spakuje.
– Dlaczego?
– Jest pan niepożądany w Stanach Zjednoczonych.
– Ale z jakiego powodu? – zaprotestował.
– My nic nie wiemy. Nasze zadanie ogranicza się do odstawienia pana na lotnisko Kennedy'ego i pozostanie z panem tak długo, póki nie wsiądzie pan do samolotu lecącego do Francji. To wszystko. Nic ponadto nie wiemy. Więc nie warto zadawać pytań. Nie możemy na nic odpowiedzieć. Chodźmy, niech pan będzie grzeczny, nie robi trudności i pospieszy się. Samolot Pan-Am odlatuje o 18.30. Lot 747. Dostarczymy pana na miejsce. Jeśli będzie pan miał szczęście, zdąży pan na ostatni spektakl do Moulin Rouge.
– Mylisz się – zauważył jego kolega. – Jeśli wziąć pod uwagę różnicę czasu, w Paryżu jest już dziesiąta wieczór. Plus siedem godzin lotu, i będzie za późno.
– No to pójdzie sobie jutro wieczorem – odpalił drugi ze śmiechem.

c.d.n.

Plotki z przeszłości

O głupich mieszkańcach miasta Cuneo

Obywatele miasta Cuneo w Monferracie uważani są za głupców w całej północnej Italii. Co dziwniejsze, taki pogląd nie obraża ich bynajmniej i sami, będąc obdarzeni wyjątkowym poczuciem humoru, opowiadają o sobie niestworzone bajdy. Na przykład: że na przyjazd króla wyprawili wspaniały pokaz ogni sztucznych w samo południe (gdyż wtedy było jaśniej), że temuż królowi zmieniali pościel co dwie godziny w nocy (aby zawsze była świeża i wyprasowana akuratnie) oraz że dla króla, który był mańkutem, zamówili w Miśni specjalny serwis do kawy z filiżankami, mającymi uszka po lewej stronie. Jakoby historycznym faktem była opowieść burmistrza miasta podczas uczty wydanej na cześć pobytu króla. Gdy monarcha chwalił znane i dziś wina Monferratu („Barolo" i „Barbaresco") burmistrz odpowiedział z konfidencjonalnym uśmiechem: „Maestà, mamy w zapasie jeszcze lepsze, lecz przechowujemy je na wielkie okazje"...

Wyrazem ryzykownego w okresie faszyzmu humoru był medal wybity w mieście na cześć wizyty Mussoliniego. Na rewersie, wśród rózg liktorskich i toporów (będących symbolem faszyzmu) wił się napis *Niech Duce cię prowadzi.* Na awersie zaś, wokół wyobrażenia Madonny napis głosił: *Niech Madonna ma cię w swojej opiece...*

Aż do ostatnich prac remontowych przy katedrze na jej fasadzie widniała inskrypcja: *Madonnie Wniebowziętej – kosztem miejskiej wspólnoty.*

Najsławniejszym i opisanym w kronice zdarzeniem było oblężenie miasta przez wojska francuskie w 1557 roku. Zamkniętym w murach przez pięćdziesiąt dwa dni mieszkańcom zaczynał już grozić głód, gdy pewnej jasnej, księżycowej nocy zdesperowane kobiety ukazały się na balkonach murów i odwróciwszy się tyłem do nieprzyjacielskich wojsk, zadarły obfite kiecki...

Szczególny ów despekt wywołał nieoczekiwany skutek. Francuzi, widząc dorodne okrągłości mieszkanek Curneo, następnego dnia odstąpili od oblężenia przeświadczeni, że mieszkańcom jednak nieźle się powodzi...

O żalu za czyn niepopełniony

Dumą miasta Cremony jest kampanila (dzwonnica) katedry, najwyższa w Italii (115 m) zwana Torrazzo.

Cabrino Fondulo, który nie przebierał w środkach, aby opanować miasto, zatwierdzony został przez cesarza Zygmunta jako namiestnik cesarski i w roku 1414 gościł w Cremonie cesarza i antypapieża Jana XXIII.

Przed ucztą na cześć dostojnych gości towarzyszył im we wspinaczce po stromych schodach wieży, aby obejrzeć mogli wspaniałą panoramę miasta i okolicy. Po wielu latach, dwunastego lutego 1425 roku władca Cremony znalazł się na szafocie w Mediolanie naprzeciw kata.

Wielki grzeszniku – zwrócił się doń spowiednik – *powiedz choć, który z licznych twych grzechów ciąży ci najbardziej na sumieniu, czego najbardziej żałujesz?*

Och – odrzekł skazaniec – *w czerwcu 1414 roku, gdy towarzyszyłem cesarzowi i antypapieżowi na wieżę Torrazzo, mogłem obu zrzucić w przepaść, co przyniosłoby i mnie, i miastu nieśmiertelną chwałę. Lecz przyszło mi to do głowy dopiero po zejściu ze schodów...*

O łatwowierności

Pierwszego czerwca 1768 roku niemiecki archeolog, duchowy twórca klasycznego kierunku w sztuce, przewodniczący nadzoru nad zabytkami Watykanu, Johann Joachim Winckelmann udawał się do Wiednia na dwór Marii Teresy. W Trieście ogarnął go dziwny niepokój, gdy zdał sobie sprawę, że podróż przedsięwziął bez wyraźnego powodu. Zbliżał się wieczór, zaniechał więc podróży i wynajął pokój w najlepszym zajeździe „Locanda Grande". Przy kolacji, którą spożywali goście przy wspólnym okrągłym stole, zapytał gospodarza, czy nie zna rybaka, który następnego dnia odwiózłby go do Wenecji. Siedzący obok uczonego osobnik o nalanej twarzy, poznaczonej bliznami, z czarnymi włosami, ubrany dość niedbale, zaofiarował mu swą pomoc. Mówił szybko, a spojrzenie szarych oczu badawczo kontrolowało postać Winckelmanna. Dłuższa rozmowa zbliżyła obu panów i na wieczorną przekąskę uczony zaproszony został do pokoju przygodnego znajomego, Francesca Archangeli.

Nowa przyjaźń zatrzymała archeologa w Trieście. Odbywali przechadzki po mieście, pili kawę w nadmorskiej kawiarni. Właściciel łodzi nie zjawił się, natomiast wydawało się, że znakomity uczony, przyjmowany przez cesarzową w prywatnych apartamentach, miłośnik sztuki klasycznej i zaufany kardynałów, dziwne znajduje upodobanie w nowej przyjaźni. Po paru dniach zaproponował Archangelemu wspólną podróż do Rzymu, obiecując swą protekcję w Watykanie. Aby udowodnić swe wysokie stanowisko, pokazał mu złote i srebrne medale, otrzymane od papieża i kościelnych dostojników za zasługi na polu naukowym.

Rankiem siódmego czerwca Archangeli odwiedził Winckelmanna w jego pokoju. Po powitaniu zarzucił mu znienacka sznur na szyję i broniącemu się rozpaczliwie, zadał pięć ciosów nożem. Spłoszony przez służącego, zbiegł z zajazdu. Winckelmann konał jeszcze parę godzin, zdoławszy wypowiedzieć słowa przebaczenia dla mordercy...

Archangelego, byłego kucharza, złodzieja i lokaja, ujęto w pobliskim miasteczku Carniola i przewieziono do Triestu. W tydzień po morderstwie wyzionął ducha na kole tortur ustawionym przed zajazdem, o tej samej godzinie, w której zgładził wielkiego uczonego, wspaniałego człowieka i koryfeusza kultury swej epoki...

To już nie plotka, lecz prawda historyczna.



Wizjonerzy przesilenia czasu

Czasy, w których żyje obecnie ludzkość, to Dni Ostatnie. Po ich skończeniu rozpocznie się Millennium, czyli tysiącletnie rządy Chrystusa na ziemi. Udział w tych rządach mieć będą jedynie ludzie święci, a o tym, kto do nich należy, wie jedynie Niebo. Ale i Ziemia ma w tym względzie określone obowiązki. Musi zwłaszcza zostać spełniony jeden warunek, ażeby człowiek dostąpił zbawienia. Warunkiem tym jest jedyny ważny chrzest, a więc chrzest mormoński...

Pełna nazwa kościoła mormonów brzmi: Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Ostatnich Dni. Mormoni wierzą, że Kościół ich skupia *świętych żyjących w dniach ostatecznych*, w czasach eschatologicznych, w przededniu zapowiadanego *przesilenia czasu*. Jednocześnie mają oni świadomość faktu, że ich kilkumilionowa społeczność stanowi przysłowiową kroplę w morzu, mikrocząstkę całego rodzaju ludzkiego. Chrzest mormoński nie jest wprawdzie warunkiem wystarczającym dla uzyskania zbawienia, ale ma on charakter obligatoryjny i nikt w tym względzie nie może Ziemi zastąpić ani wyręczyć. Trzeba po prostu spełnić swój mormoński obowiązek i dać każdemu tę „szansę", to jest uczynić go mormonem, a już Niebo samo rozpozna wśród ochrzczonych tych, którzy zasłużyli na najwyższą nagrodę.

I ty zostaniesz mormonem?

Nasuwa się jednak całkiem praktyczne pytanie, jak tego dokonać. W rozumieniu mormonów, jest z tej sytuacji również i praktyczne wyjście. Stosują oni całkiem oryginalny zwyczaj tak zwanego chrztu zastępczego. Instytucja chrztu zastępczego albo chrztu umarłych polega na tym, że ktoś bierze chrzest za kogoś „w jego imieniu" i po jego śmierci. Chrzest zastępczy może wziąć na przykład syn za ojca, mąż za żonę czy przyjaciel za przyjaciela. Polega on na rytualnym zanurzeniu się w wodach jeziora i zatwierdzeniu tego aktu przez władze Kościoła. Odpowiedni dokument przechowuje się później w archiwach mormońskich w Salt Lake City, gdzie mieści się światowe centrum tego Kościoła. Są wprawdzie pewne „rygory", „ograniczenia" i przepisy normujące tok takiego postępowania, ale zmarłego nikt przecież nie zapyta, czy taka była rzeczywiście jego wola, nie sposób bowiem tego sprawdzić. W ten sposób każdy z nas może zostać kiedyś, w ileś lat po śmierci, „przechrzczony" na mormona, nic o tym nie wiedząc! Wystarczy, że któryś z mormonów „udowodni", iż miał do tego pełne prawo.

I ty zostaniesz mormonem? Być może. Ale jak łatwo obliczyć, gdyby nawet mormoni chrzcili wszystkich „jak leci", od rana do wieczora i od

Andrzej Tokarczyk

WIELKA APOKALIPSA



wieczora do rana, to i tak nie zdążyliby dopełnić swego „ziemskiego obowiązku", iluż by na to bowiem trzeba było lat, ton papieru i imiennych wniosków? A tymczasem żyjemy ponoć w *dniach ostatecznych*, moment *przesilenia czasu* jest tuż, tuż, i powstaje obawa, że ktoś, kto zasługuje na zbawienie, nie dostąpi go tylko dlatego, że nie zdążono go... ochrzcić po mormońsku! Do tego zaś nie wolno w żaden sposób dopuścić i Kościół mormonów nie stanąłby na wysokości zadania, gdyby nie spełnił „powinności Ziemi". Nikt go przecież w tym nie może nawet wyręczyć...

I nie wyręczy! – odpowiadają z całym spokojem mormoni. – Zapewne nie zdąży się ochrzcić wszystkich przed nastaniem Millennium. Za mała jest na to liczba członków Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych Ostatnich Dni na świecie. Tej prawdy nie da się ukryć. Ale przecież w okresie Millennium, czyli w Tysiącleciu, kiedy to nastanie Królestwo Sprawiedliwości, jedni będą brać w oka mgnieniu chrzest zastępczy za drugich i w ten sposób wszyscy zostaną w końcu ochrzczeni. Tysiąc lat – to szmat czasu. Nie ma jednak co czekać z założonymi rękoma na Millennium, tylko chrzcić się już teraz, kogo się tylko zdąży, chociaż prawdą jest, że większość ludzi uzyska chrzest ważny, czyli mormoński dopiero podczas tysiącletnich widzialnych rządów Chrystusa.

Śluby mormońskie

Kto więc może w okresie Millennium liczyć, zdaniem mormonów, na zbawienie i na pobyt w „tysiącletnim królestwie"? Wchodzą tu w grę cztery grupy ludzi:

1. Sami sprawiedliwie żyjący mormoni.

2. Wszyscy ci ludzie, którzy żyli sprawiedliwie i choć nigdy nie słyszeli o mormonach, ale zostali mormonami, ponieważ ktoś przyjął za nich „chrzest zastępczy" jeszcze przed nastaniem tysiącletnich rządów Chrystusa.

3. Wszyscy ci sprawiedliwie żyjący ludzie, którzy nie stali się za życia mormonami, mimo iż słyszeli o mormonach i znali ich przekonania, niemniej jednak mieli to szczęście, że ktoś za nich przyjął po ich śmierci chrzest zastępczy, mormoński.

4. Wszyscy pozostali, a więc tacy, za których nikt chrztu nie przyjął, ale którzy szczerze go teraz pragną, wobec czego skorzystają ze sposobności, jaka wyłoni się w Tysiącleciu, kiedy to jedni będą brać masowo chrzest zastępczy za drugich (za umarłych).

W przekonaniu mormonów nikt nie powinien zostać „przekreślony" ani pozbawiony szansy, Chrystus odkupił bowiem wszystkich ludzi włącznie z praojcem Adamem. Jeżeli ktoś oprócz ślubu cywilnego zdecydował się wziąć jeszcze – jak przystało mormonowi – tak zwany ślub mormoński, to musi wiedzieć o tym, iż ważność tego ślubu sięga

nawet poza grób! Nie jest to więc przysłowiowy ślub „dozgonny", lecz nawet „pozgonny" i w przypadku śmierci jednego ze współmałżonków nie wolno drugiemu współmałżonkowi żenić się ani wychodzić ponownie za mąż. W tym przypadku idzie mormonom o zachowanie „jednego łańcucha" – bez żadnych przerw – poczynając od praojca Adama, a kończąc na ostatnim z żyjących na świecie ludzi. Będzie to bowiem, w ich przekonaniu, miało doniosłe znaczenie właśnie po zmartwychwstaniu, kiedy to skończą się Ostatnie Dni, a rozpocznie Millennium.

Monogamia i poligamia

Mormonizm, którego początki sięgają lat czterdziestych ubiegłego stulecia i łączą się z Wielką Wędrówką wyznawców doktryny Josepha Smitha na dziki, amerykański Zachód, kojarzy się nam jednak nie tyle z „chrztem zastępczym", „chrztem umarłych", czy z „pozgonnymi ślubami mormońskimi" i z wiernością małżeńską sięgającą poza grób, ile z instytucją poligamii, czyli z praktyką wielożeństwa, tak przecież popularnego wśród mormonów! Jak to pogodzić? Przecież właśnie nie co innego, jak poligamia stała się przyczyną krwawych rozruchów w Kirtland, w Nauvoo (w stanie Illinois) i wszędzie tam, gdzie powstawały pierwsze osady mormońskie, co w końcu zmusiło mormońskich wizjonerów „przesilenia czasu" do ucieczki, a właściwie do długiej wędrówki do stanu Utah, gdzie nad Słonym Jeziorem powstało mormońskie miasto, mormońska „Nowa Jerozolima", Salt Lake City... Wszak największe wzburzenie władz stanowych wywołał fakt związania się przez Josepha Smitha węzłami małżeńskimi czyli „opieczętowania się" aż z trzydziestoma kobietami, jego zastępcy i późniejszego następcy Brighama Younga z dwudziestoma pięcioma, a kapłana mormońskiego Lee z dziewiętnastoma kobietami, z którymi miał aż sześćdziesięcioro czworo dzieci! Co więcej, władze federalne zmusiły w 1887 roku mormonów do zrezygnowania z poligamii pod groźbą kasacji wyznania, na co mormoni musieli w końcu wyrazić zgodę. (Nie przeszkodziło to im jednak w uprawianiu tak zwanej kryptopoligamii, czyli zakonspirowanego wielożeństwa, jakkolwiek dzisiaj są to już wypadki raczej rzadkie i większość mormonów stosuje związki monogamiczne).

Otóż wyjaśnienie tego fenomenu jest stosunkowo proste. Mormoni nie widzą sprzeczności pomiędzy „ślubami mormońskimi" a poligamią. Po pierwsze, zwyczaj poligamii przejęli z Biblii, z ksiąg Starego Testamentu, naśladując niejako pradawne zwyczaje biblijnych patriarchów (porównaj dom Abrahama, dom Jakuba i inne). Po drugie, poligamia stanowiła pewien „sposób" na utrzymanie mormońskiego „stanu posiadania", ponieważ w ciągłych walkach i zamieszkach ginęło zawsze więcej mężczyzn niż kobiet. (Na przykład podczas Wielkiej Wędrówki na Zachód połowa mormonów zmarła podczas długiego marszu i nie dotarła do swej Ziemi Obiecanej; szło także o maksymalny przyrost naturalny). Po trzecie, nikt nikogo do poligamii nie zmuszał ani go od niej nigdy nie odwodził: była to zawsze decyzja dobrowolna. (I dzisiaj również mormoni honorują śluby cywilne na równi z kościelnymi, zaś tak zwany ślub mormoński traktują jako szczególne wyróżnienie i zarazem zobowiązanie – wszak i w dawnych związkach poligamicznych jedna z żon była na ogół „pierwszą wśród równych" albo najważniejszą!) I po czwarte wreszcie, doktryna mormońska opiera się na wierze w kolejne objawienia, co pozwala pogodzić nawet pogląd Smitha z 1834 roku, że „bez poligamii nie ma zbawienia", z obecnymi zaleceniami mormońskich „monogamistów", kładących nacisk na potrzebę wierności małżeńskiej, wstrzemięźliwości seksualnej aż do czasu zawarcia małżeństwa i wartości „małżeństwa mormońskiego", zawieranego „na wieki wieków".

Czytając Księgę Mormona

Barwne dzieje mormonów otaczała zawsze legenda. Pełno o nich wszędzie mitów i zwykłych zmyśleń, a nawet dziwacznych posądzeń i niewybrednych oskarżeń. Zwłaszcza literatura powieściowa i powieść kryminalna (Conan Doyle i inne) lubowała się w utrwalaniu „spiskowego" oblicza mormonizmu. Powstał w ten sposób stereotyp wszechpotężnej organizacji o zasięgu światowym, wysuwającej wszędzie swe macki i stosującej prawo krwawej vendetty. Szczególny posmak nadawała temu wszystkiemu sprawa wielożeństwa, czyli poligamii.

Założycielem Kościoła mormońskiego był Joseph Smith, syn drobnego farmera amerykańskiego, który urodził się w 1805 roku w miejscowości Sharon, w okolicach Vermont. W nocy 21 września 1823 roku Smithowi podatnemu na różnego rodzaju objawienia i wizje miał się ukazać anioł Moroni, który zaprowadził go do lasu, na wzgórze Cumorah i wskazał mu tam miejsce ukrycia zapisanej na złotych płytkach w języku nazwanym „reformed Egyptian", czyli zreformowany język egipski, Księgi Mormona. Smith rozkopał wzgórze, wydobył złote płytki i zabrał się do przekładu tekstu na język angielski. Pomagały mu w tym dwie istoty biblijne: Urim i Tumim, a ponadto ułatwiały pracę dwa srebrne głazy wskazane przez anioła Moroni. Smith ukryty za przepierzeniem dyktował ów przekład swojemu sekretarzowi nazwiskiem Oliver Cowdery oraz innym współpracownikom. Gdy praca została ukończona, zwrócił owe złote płytki aniołowi Moroni. Po raz pierwszy Księga Mormona (The Book of Mormon) ukazała się w druku w roku 1830 w stanie nowojorskim, w Palmyrze. Niektórzy przeciwnicy mormonów twierdzą co prawda, że tekst ten napisał kto inny, a mianowicie Solomon Spalding (1761-1816) i że dzieło to miało początkowo formę powieściowo-romansową, a Smith to jedynie przerobił, ale nie ma na potwierdzenie tego przekonywających dowodów.

O czym więc mówi Księga Mormona? Jej bohaterem jest pradawny lud biblijny, który po zawaleniu się słynnej wieży Babel przybył aż na kontynent amerykański. Lud ten – to Jaredyci, którzy żyli tutaj w spokoju i dobrobycie aż do V wieku przed Chrystusem. Jednakże Jaredyci degenerowali się stopniowo, aż pogrążyli cały kraj w wojnach domowych. Około 600 roku przed Chrystusem miała przybyć do Chile nowa fala przybyszów, wśród których znaleźli się czterej bracia, wszyscy żonaci. Trzech spośród nich zawarło związki małżeńskie z czerwonoskórymi Indiankami – byli to Lamanici. Potomkowie Lamani-

tów, Nefici, stworzyli wysoko rozwiniętą cywilizację, toczyli jednak ciągle długie, wyniszczające obie strony wojny z Lamanitami. Podczas ukrzyżowania Chrystusa nawiedziły Amerykę groźne klęski żywiołowe: powodzie, trzęsienia ziemi i zaćmienia słońca. Natomiast po zmartwychwstaniu Chrystusa miał się wśród Nefitów pojawić na krótko sam Chrystus, który ogłosił im swą Ewangelię. Do 385 roku po Chrystusie skutki tej misji były na ogół pozytywne. Później jednak doszło do wielkiej bitwy Lamanitów i Nefitów, w której Lamanici pokonali Nefitów. Bitwa ta toczyła się właśnie wokół wzgórza Cumorah, gdzie jednemu z Nefitów, o imieniu Mormon, udało się właśnie ukryć owe „złote płytki" z zapisem całej tej nieznanej historii, czyli – w przekładzie Smitha – ową Księgę Mormona. Synem Mormona był anioł Moroni, który wskazał je Smithowi.

Księga Mormona zawiera więc jak gdyby schemat doktryny religijnej mormonizmu. Ponadto mormoni domagali się zniesienia niewolnictwa, czyli wolności dla amerykańskich Murzynów, oraz prawa do uprawiania poligamii. Jak łatwo zauważyć, mormoni są milenarystami, wierzą bowiem w Millennium, w tysiącletnie rządy Chrystusa. Można nawet powiedzieć, że są chiliastami, ponieważ traktują je dosłownie i sytuują na ziemi. A czy są apokaliptykami? Tak, ponieważ ich wizja „przesilenia czasu" opiera się zarówno na Księdze Mormona, jak i na Biblii, zwłaszcza zaś na literalnej interpertacji Apokalipsy i innych ksiąg profetycznych.

Niektórzy egzegeci i bibliści są zdania, że dosłowna interpretacja utworów tak zwanych apokaliptycznych – z Apokalipsą św. Jana włącznie – jest niedopuszczalna z tego względu, że utwory te pisane były specjalnym stylem, tak zwanym stylem apokaliptycznym, którego nie da się interpretować dosłownie, tylko w przenośni. Nie wchodząc w to, kto ma w tym sporze rację: symboliści czy literaliści – zauważmy jedynie, iż ów przysłowiowy „kij" ma dwa końce. W skrajnym ujęciu zarówno dosłowne, jak i przenośne interpretacje „stylu apokaliptycznego" prowadzić może bowiem do dziwolągów. Jeżeli ktoś zechce na przykład w sposób „przenośny" potraktować chrześcijańską doktrynę o zmartwychwstaniu, to stanie pod zarzutem niezrozumienia słów samego apostoła Pawła, przestrzegającego, że „bez zmartwychwstania martwa jest wiara nasza", a więc że bez wiary w zmartwychwstanie chrześcijaństwo traci wszelki swój sens i rację bytu. Gdy zaś z drugiej strony ktoś inny – jak na przykład Świadkowie Jehowy – zinterpretuje dosłownie i literalnie liczbę stu czterdziestu czterech tysięcy zbawionych, narazi się na zarzut „niezrozumienia istoty kerygmy chrześcijańskiej", to jest przesłania czy zwiastowania chrześcijańskiego, itd.

Księga polskiego mormona

W Zełwągach koło Mikołajek, na Mazurach, istniała przez wiele lat prawdziwa gmina mormońska, złożona głównie z miejscowych autochtonów, byłych ewangelików. Gminę tę zorganizował w latach dwudziestych Fritz Fischer, mieszkaniec tej wioski. Fischer poznał zasady wierzeń mormońskich podczas swego pobytu w Berlinie. Po powrocie zdołał on nakłonić kilkunastu mieszkańców Zełwąg do przyjęcia chrztu mormońskiego, „jedynego ważnego chrztu", w wodach pobliskiego jeziora Jamulec. W 1926 roku przybyli do Zewłąg dwaj mormońscy misjonarze z Niemiec i z Ameryki. Cała niemal ludność tej wioski przeszła wówczas gromadnie na mormonizm. Wybudowano kaplicę i założono szkółkę niedzielną. Na czele społeczności zewłąskiej stanął Adolf Kroska, z zawodu cieśla, po drugiej zaś wojnie światowej gminą mormońską kierował Erich Konietz, mechanik samochodowy. Pan Konietz był tak zwanym kapłanem drugiego stopnia, mormoni uznają bowiem istnienie aż ośmiu stopni kapłańskich (wynika to z zasady tak zwanego podwójnego kapłaństwa: w pierwszym porządku wyznacza się diakonów, nauczycieli i kapłanów, w drugim – starszych zboru, kapłanów „z grona siedemdziesięciu wysłanych przez Jezusa w świat" i tak dalej, mormoni uznają bowiem „porządek Aaronowy" i „porządek Melchizedekowy" instytucji kapłaństwa). Daleko mu więc było do najwyższych stopni kapłańskich, takich jak arcykapłan, patriarcha czy apostoł. Jednakże drugi stopień kapłaństwa – to w hierarchii mormońskiej w Europie jest już „coś", a nawet sporo. Poza tym pan Konietz cieszył się nieposzlakowaną opinią i bardzo go żałowano, gdy zdecydował się na wyjazd za granicę.

Niewielkie grupki mormonów spotkać można było jeszcze w latach siedemdziesiątych w Dębnicy Kaszubskiej, w Zabrzu i w Gliwicach. Dziś są to już pojedyncze osoby. Mormoni polscy otrzymywali literaturę religijną głównie ze Szwajcarii, ponieważ tam znajduje się najbliższa im terytorialnie świątynia mormońska. W szkółce niedzielnej w Zewłągach nabożeństwa odprawiano i zajęcia prowadzono po polsku. Z „lekcjami wychowania obywatelskiego" włącznie.

Pod koniec lat siedemdziesiątych starania polskich mormonów o uznanie ich Kościoła przez władze państwowe w sensie prawnym uwieńczone zostały powodzeniem i Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich z siedzibą zarządu w Warszawie wciągnięty został na listę prawnie uznanych związków wyznaniowych w Polsce.

Istota mormonizmu

W odróżnieniu od innych pokrewnych związków oraz ruchów wyznaniowych o charakterze milenarystyczno-apokaliptycznym, takich jak adwentyzm, irwingianizm, darbyzm, ruch Badaczy Pisma Świętego czy ruch Świadków Jehowy, mormonizm nosi wciąż charakterystyczne cechy wyniesione z kraju, w którym się narodził, mimo iż posiada zasięg również ogólnoświatowy. „Amerykańskość" mormonizmu nie sprowadza się do prostego faktu, iż ruch ten powstał i rozwinął się najpierw w Ameryce, bo Ameryka była również miejscem narodzin milleryzmu, adwentyzmu i russelizmu, a mimo to każdy z tych ruchów wyszedł niejako poza Amerykę, przezwyciężył uwarunkowania związane z miejscem swych narodzin. Natomiast tak silna wciąż „amerykańskość" mormonizmu wynika chyba z samej jego genezy. Otóż w latach trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku kształtowała się amerykańska świadomość narodowa, mitologia amerykańska, rosło gwałtownie zapotrzebowanie na fakty i zmyślenia, które ukazywałyby w sugestywny i przekonywający sposób amerykańskie rodo-

wody, legendę amerykańską, „korzenie" amerykańskiej świadomości. Zasiadający przy nocnych ogniskach cieśle, tracze i wyrębywacze dziewiczych lasów, zdobywcy Dzikiego Zachodu, pionierzy i cywilizatorzy Ameryki z zapartym tchem wsłuchiwali się w najbardziej fantastyczne opowieści, chciwie łowiąc zwłaszcza każdy ich cudowny wątek, każdą wzmiankę o praprzeszłości tej ziemi, która miała stać się teraz ich Ziemią Obiecaną. Niełatwe było ich codzienne życie, tym bardziej więc pytali o jego sens i odpowiedzi szukali głównie w Biblii. Chcieli koniecznie wiedzieć, co Biblia mówiła o Ameryce i jaki był związek opowieści biblijnych z pradziejami „ich" kontynentu. Rewelacje Josepha Smitha utrafiły więc w samo centrum tych powszechnych tęsknot, tych uświadamianych sobie i nie uświadamianych oczekiwań. Mormonizm stał się jak gdyby „dopełnieniem" oficjalnej, suchej i – co najgorsze – krótkotrwałej historii cywilizacji amerykańskiej.

Z jakimż zapałem i świętym uniesieniem budowano słynne Salt Lake City, dzisiejsze centrum światowego mormonizmu! Szerokie arterie komunikacyjne, przelotowe ulice, brak „slumsów", widoczna na każdym kroku dbałość o higienę i dobre warunki życia – wszystko to czyniło z mormońskiej stolicy miasto bynajmniej nie dziewiętnastowieczne, lecz prototyp miast nowoczesnych, miast usiłujących jakoś zatrzeć kontrasty społeczne. Planowanie przestrzenne, urbanistyka i architektura Salt Lake City wybiegły w wiek zarówno dwudziesty, jak i dwudziesty pierwszy. Wiązało się to ściśle z wizją Millennium.

To tutaj zasiada mormońska Rada Dwunastu, kierująca na podobieństwo dwunastu apostołów światową społecznością mormońską.

Niektórzy religioznawcy zaliczają mormonizm do tak zwanych religii profetycznych, ponieważ prorokowanie stanowi nader istotny składnik doktryny i praktyki mormonizmu. Prorok, wizjoner i mormon udzielający kolejnych „objawień" przekazują swe wskazania Radzie Dwunastu, a każdy mormon musi przez dwa co najmniej lata być misjonarzem. Misje mormońskie działają w wielu krajach i to bardzo aktywnie. W ogóle Kościół mormoński dysponuje wysoko wykwalifikowaną kilkudziesięciotysięczną kadrą kierowniczą, dzięki której zdobywa wciąż nowych wyznawców. Jednym z ich zadań jest sporządzanie mikrofilmów europejskich ksiąg genealogicznych oraz ksiąg kościelnych, na podstawie których mormoni starają się wytropić genealogię swych własnych przodków. Mikrofilmy te potrzebne są zresztą do finalizowania tak zwanych chrztów zastępczych (chrztów umarłych).

Mormoni nie piją alkoholu, nie palą tytoniu, do obrządku zaś uczty eucharystycznej, mającego w ich liturgii ważne znaczenie, używają chleba i wody.

Nasuwa się jednak wątpliwość, czy mormoni są na pewno chrześcijanami. Nie dlatego, że niektóre ich wyobrażenia wykazują zadziwiające podobieństwo do religii na przykład indiańskiej, ale z racji ich quasitryteizmu. W uproszczeniu można to określić jako wiarę w trzech bogów. Chrześcijaństwo jest religią monoteistyczną, uznaje jedynobóstwo, ale dogmat o Trójcy Świętej bywa przez różne wyznania chrześcijańskie różnie interpretowany. Przeważa trynitaryzm, to jest wiara w jedność duchową i wielość personalną (osobową) Bóstwa. Są jednak i chrześcijańscy antytrynitarze, odrzucający ów dogmat. Natomiast tryteizm, czyli wiara w trzy odrębne osoby boskie, w trzech jak gdyby bogów, należy w chrześcijaństwie raczej do wyjątków. Trzeba chyba jednak uznać mormonów za chrześcijan, skoro sami się za nich uważają. Ostatecznie wywodzą oni swą doktrynę z Biblii, uważają się za potomków plemion izraelskich żyjących na ziemi amerykańskiej, oczekują ponownego przyjścia na świat Chrystusa, wierzą w przyszłe Tysiącletnie Królestwo, stosują chrzest i nazywają się Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych Ostatnich Dni. A ponadto w jednym ze swych trzynastu artykułów wiary ślubują posłuszeństwo Ewangelii.



Agatha Christie

EKSPRES DO PLYMOUTH

Alec Simpson, oficer marynarki wojennej, wsiadł do przedziału pierwszej klasy ekspresu do Plymouth z peronu na stacji Newton Abbot. Bagażowy wniósł za nim ciężką walizkę. Miał ją właśnie dźwignąć i umieścić na półce bagażowej, gdy młody marynarz powstrzymał go.

– Nie, proszę postawić na siedzeniu. Później ją wrzucę na górę. Proszę, to dla pana.

– Dziękuję – rzekł bagażowy otrzymawszy hojny napiwek i wycofał się.

Trzaskały drzwi.

– Tylko do Plymouth. Przesiadka do Torquay. Następna stacja Plymouth – wołał jakiś stentorowy głos.

Rozległ się gwizdek i pociąg odjechał powoli ze stacji.

Porucznik Simpson miał cały przedział dla siebie. Grudniowe powietrze było przenikliwie zimne, więc zamknął okno. Potem pociągnął nosem, jakby wąchał, i zmarszczył brwi. A to co za zapach? Przypomniał mu szpital i operację nogi, jaką tam przeszedł. Ależ tak, to chloroform!

Ponownie otworzył okno i zmienił miejsce siadając tyłem do biegu pociągu. Wyjął z kieszeni fajkę i zapalił. Siedział przez jakiś czas w bezruchu, wyglądając przez okno w ciemność i paląc.

Wreszcie podniósł się, otworzył walizkę, wyjął parę czasopism, zamknął walizkę z powrotem i spróbował wepchnąć ją pod przeciwległe siedzenie, lecz bez powodzenia. Walizka natrafiła na jakąś przeszkodę. Z rosnącą niecierpliwością pchnął ją mocniej, ale nadal do połowy wystawała spod siedzenia.

– Czemu, u licha, nie chce wejść? – mruknął i wyciągnąwszy ją całą, pochylił się i zajrzał pod siedzenie...

W chwilę później noc przeszył krzyk, a wielki pociąg zatrzymał się niechętnie, posłuszny gwałtownemu szarpnięciu hamulca bezpieczeństwa.

– Jak wiem, przyjacielu, interesujesz się bardzo tajemnicą ekspresu do Plymouth – rzekł Poirot. – Proszę, przeczytaj to.

Podniosłem list, który mi rzucił przez stół. Był krótki i rzeczowy.

Szanowny Panie!
Będę zobowiązany, jeśli odwiedzi mnie pan przy najbliższej sposobności.
Z poważaniem,
Ebenezer Halliday

Związek liściku ze sprawą nie był dla mnie jasny, spojrzałem więc pytająco na Poirota.

W odpowiedzi wziął do ręki gazetę i przeczytał na głos:

– „Zeszłej nocy dokonano sensacyjnego odkrycia. Młody oficer marynarki wojennej w drodze do Plymouth znalazł w swoim przedziale pod siedzeniem ciało kobiety pchniętej nożem w serce. Oficer natychmiast szarpnął za hamulec bezpieczeństwa i zatrzymał pociąg. Kobiety, która miała około trzydziestu lat i była bogato ubrana, jeszcze nie zidentyfikowano". A dalej mamy jeszcze to: „Kobieta, której ciało znaleziono w ekspresie do Plymouth, została zidentyfikowana jako pani Rupertowa Carrington". Rozumiesz teraz, przyjacielu? A jeśli jeszcze nie rozumiesz, to dodam, że pani Carrington przed wyjściem za mąż nazywała się Flossie Halliday i była córką starego Hallidaya, amerykańskiego króla stali.

– A on przysłał po ciebie? Wspaniale!

– W przeszłości wyświadczyłem mu drobną przysługę, chodziło o obligacje na okaziciela. Kiedyś, z okazji wizyty królewskiej, byłem w Paryżu i ktoś pokazał mi mademoiselle Flossie. Śliczna mała! A do tego śliczny posag. Wynikły z tego nieliche kłopoty. Mało brakowało, a zaplątałaby się w niedobry romans.

– Z kim?

– Z niejakim hrabią de la Rochefour. Prawdziwy gałgan, jak to wy mówicie. Awanturnik jakich mało, który wiedział, jak zrobić wrażenie na młodej, romantycznej dziewczynie i szybko zabrał ją z powrotem do Ameryki. W kilka lat potem usłyszałem, że wyszła za mąż, ale o jej mężu nic nie wiem.

– Hm... – mruknąłem. – Powszechnie uważa się, że pan Rupert Carrington nie świeci przykładem. Prawie cały swój majątek przepuścił na wyścigach i, jak sądzę, dolary starego Hallidaya trafiły mu się w samą porę. Myślę, że trudno byłoby o drugiego takiego przystojnego, dobrze ułożonego i całkowicie pozbawionego skrupułów młodego nicponia!

– Ach, biedna dziewczyna! Źle trafiła!

– Przypuszczam, że z miejsca dał jej do zrozumienia, że to nie ona mu się podoba, ale jej pieniądze. Chyba niemal od razu oddalili się od siebie. Ostatnio doszły mnie plotki, że ma się odbyć ostateczna rozprawa rozwodowa.

– Stary Halliday nie jest głupcem. Na pewno wszystko tak załatwił, że jej pieniądze zostały przy niej.

– Tak też sądzę. W każdym razie wiem na pewno, że Carrington bardzo cienko przędzie.

– Aha! Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Drogi przyjacielu, nie skacz mi tak do gardła. Widzę, że jesteś ciekawy. A może razem ze mną odwiedzisz pana Hallidaya? Postój taksówek jest na rogu.

Jazda taksówką, która zawiozła nas przed wspaniałą rezydencję przy Park Lane, wynajmowaną przez amerykańskiego magnata przemysłowego, zabrała tylko kilka minut. Wprowadzono nas do biblioteki, gdzie prawie natychmiast zjawił się wysoki, krzepki mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i agresywnej szczęce.

– Pan Poirot? – zaczął pan Halliday. – Nie muszę chyba wyjaśniać panu, po co jest mi pan potrzebny. Czyta pan gazety, a ja nie należę do tych, co zasypiają gruszki w popiele. Dowiedziałem się przypadkiem, że jest pan w Londynie, a pamiętam, jak dobrze sprawił się pan przy tych obligacjach. Ja nie zapominam nazwisk. Pracują dla mnie najlepsi detektywi ze Scotland Yardu, ale chcę mieć jeszcze swojego człowieka. Pieniądze nie grają roli. Cały mój majątek przeznaczony był dla mojej córeczki, a teraz, kiedy ona już nie żyje, wydam wszystko do ostatniego centa, żeby schwytać drania, który ją zabił! Rozumie pan? A pańską rzeczą jest dostarczyć towar.

Poirot skłonił się.

– Zgoda, tym chętniej, że widziałem kilkakrotnie pańską córkę w Paryżu. A teraz proszę o przedstawienie mi okoliczności jej podróży do Plymouth i wszelkich innych szczegółów, które, pana zdaniem, mają związek ze sprawą.

– A więc, po pierwsze, ona wcale nie jechała do Plymouth – odparł Halliday. – Miała być na przyjęciu w Avonmead Court, siedzibie księżnej Swansea. Wyjechała z Londynu o dwunastej czternaście z dworca Paddington i przybyła do Bristolu, gdzie miała przesiadkę o drugiej piętnaście. Główne ekspresy do Plymouth jadą naturalnie przez Westbury i z daleka omijają Bristol. Ten o dwunastej czternaście jedzie bezpośrednio do Bristolu, a potem staje w Weston, Taunton, Exeter i Newton Abbot. Córka podróżowała sama w przedziale, który był zarezerwowany aż do Bristolu, a jej służąca jechała w sąsiednim wagonie, trzecią klasą.

Poirot kiwnął głową i pan Halliday mówił dalej:

– Przyjęcie w Avonmead Court miało być bardzo wesołe, z kilkoma balami, w związku z czym córka zabrała prawie całą swoją biżuterię, wartą, w przybliżeniu, około stu tysięcy dolarów.

– Chwileczkę – przerwał Poirot. – Kto wiózł biżuterię? Pańska córka czy służąca?

– Córka miała ją zawsze przy sobie, trzymała ją w małej kasetce z niebieskiego marokinu.

– Proszę mówić dalej.

– W Bristolu służąca, Jane Mason, wzięła neseser i płaszcz swojej pani, które miała ze sobą, i przyszła pod drzwi przedziału Flossie. Ku jej wielkiemu zdumieniu, córka oznajmiła, że nie wysiądzie w Bristolu, i pojedzie dalej. Poleciła służącej wynieść bagaże i zostawić je w przechowalni. Powiedziała jej też, że może iść na herbatę, ale ma czekać na nią na stacji, bo wróci do Bristolu po południu jakimś pociągiem londyńskim. Służąca, mimo że ogromnie zdumiona, wykonała polecenia. Zostawiła bagaże w przechowalni i poszła na herbatę. Na dworzec wjeżdżał jeden pociąg z Londynu za drugim, ale córka się nie zjawiała. Kiedy odjechał ostatni pociąg, służąca zostawiła bagaż na dworcu i zanocowała w pobliskim hotelu. Dziś rano przeczytała w gazetach o tragedii i pierwszym pociągiem wróciła do Londynu.

– Nie ma nic, co tłumaczyłoby nagłą zmianę planów pańskiej córki?

– No... tylko to, że – według Jane Mason – w Bristolu Flossie nie była już w swoim przedziale sama. Był tam też jakiś mężczyzna, który stał w głębi przedziału wyglądając przez okno, więc nie widziała jego twarzy.

– To był wagon z korytarzem?

– Tak.

– Po której stronie był korytarz?

– Od peronu. Rozmawiając ze służącą, córka stała w korytarzu.

– I nie ma pan żadnej wątpliwości... przepraszam! – powiedział Poirot, wstał i starannie poprawił kałamarz, który się troszkę przekrzywił. – Przepraszam – powtórzył, siadając. – Drażni mnie wszystko, co krzywe lub wypaczone. Dziwne, prawda? Pytałem pana, czy nie ma pan żadnych wątpliwości, że to prawdopodobnie nieoczekiwane spotkanie spowodowało nagłą zmianę planów pańskiej córki?

– To chyba jedyne rozsądne przypuszczenie.

– Nie domyśla się pan, kim mógł być mężczyzna, o którym mowa?

Milioner zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

– Nie, nie mam pojęcia.

– Tak... a jak odnaleziono ciało?

– Znalazł je młody oficer marynarki, który natychmiast wszczął alarm. W pociągu był lekarz, który obejrzał zwłoki. Najpierw oszołomiono ją chloroformem, a potem pchnięto nożem. Lekarz powiedział też, że jego zdaniem śmierć nastąpiła mniej więcej przed czterema godzinami, a więc zbrodni dokonano niedługo po opuszczeniu Bristolu, prawdopodobnie pomiędzy Bristolem a Weston, ewentualnie pomiędzy Weston a Taunton.

– A kasetka z biżuterią?

– Kasetka z biżuterią zniknęła, panie Poirot.

– I jeszcze jedno. Kto dziedziczy majątek pańskiej córki po jej śmierci?

– Wkrótce po zawarciu małżeństwa Flossie zapisała wszystko w testamencie mężowi. – Halliday zawahał się, po czym mówił dalej: – Przy okazji powiem panu, że uważam mojego zięcia za pozbawionego skrupułów łobuza i że, za moją radą, córka miała wkrótce uwolnić się od niego, z czym nie było żadnych trudności. Jej pieniądze zastrzegłem dla niej w taki sposób, żeby nie mógł ich ruszyć za jej życia, ale mimo że od paru lat żyli w separacji, córka często dawała mu pieniądze, których żądał, wołąc to niż jawny skandal. Ja jednak postanowiłem położyć temu kres. W końcu Flossie się zgodziła i poleciłem moim pracownikom wszcząć kroki rozwodowe.

– A gdzie przebywa pan Carrington?

– W Londynie. Zdaje się, że wyjechał wczoraj z miasta, ale wrócił zeszłej nocy.

Poirot zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

– To już chyba wszystko.

– Czy chciałby pan porozmawiać ze służącą, Jane Mason?

– Tak, bardzo proszę.

Halliday zadzwonił po lokaja i wydał mu krótkie polecenie.

Po kilku minutach do pokoju weszła Jane Mason, szacowna kobieta o twardych rysach, nieporuszona w obliczu tragedii, tak, jak to bywa tylko z dobrymi służącymi.

– Pozwoli pani, że zadam kilka pytań? Czy wczoraj rano, przed wyjazdem, pani Carrington zachowywała się tak, jak zwykle? Nie była podniecona ani poruszona?

– O nie, proszę pana.

– Ale w Bristolu zachowywała się zupełnie inaczej?

– Tak, proszę pana, bardzo była przejęta, taka zdenerwowana, jakby nie wiedziała, co mówi.

– A co dokładnie powiedziała?

– O ile pamiętam, proszę pana, to powiedziała tak: „Musiałam zmienić plany. Zaszło coś... To znaczy, ja tu nie wysiadam. Muszę jechać dalej. Weź bagaże i oddaj je do przechowalni, a potem idź na herbatę i czekaj na mnie na stacji". „Mam czekać tutaj, proszę pani?", spytałam. „Tak, tak. Nie opuszczaj stacji. Wrócę późniejszym pociągiem. Nie wiem kiedy. Może dosyć późno." „Dobrze, proszę pani", powiedziałam. Nie wypadało pytać, ale wydało mi się to bardzo dziwne.

– Nie pasowało to do pani Carrington, czy tak?

– Zupełnie nie pasowało, proszę pana.

– Co pani sobie pomyślała?

– No, pomyślałam, że ma to jakiś związek z tym panem w przedziale. Nie odezwała się do niego, ale parę razy się obejrzała, jakby chciała spytać, czy dobrze robi.

– Ale nie widziała pani twarzy tego pana?

– Nie, proszę pana. Cały czas stał odwrócony do mnie tyłem.

– Czy mogłaby go pani opisać?

– Miał na sobie beżowy płaszcz i podróżną czapkę. Był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy.

– Nie był to ktoś znajomy?

– Ależ nie, skądże, proszę pana.

– Nie był to przypadkiem pan Carrington?

Służąca była wyraźnie zaskoczona.

– Ach nie, nie, myślę, że nie, proszę pana!

– Ale nie jest pani pewna?

– Był podobnie zbudowany jak nasz pan, ale nie przyszło mi do głowy, że to on. Tak rzadko go widywałyśmy... nie twierdzę, że to nie był on!

Poirot podniósł z dywanu szpilkę, spojrzał na nią marszcząc groźnie brwi i wznowił wypytywanie.

– Czy to możliwe, że człowiek ten wsiadł do pociągu w Bristolu, zanim dotarła pani do przedziału pani Carrington?

Służąca zastanowiła się.

– Tak, proszę pana, myślę, że tak. Mój przedział był bardzo zatłoczony i wysiadłam dopiero po kilku minutach, a na peronie też był wielki tłum, co również mnie opóźniło. Ale wtedy miałby tylko kilka minut na rozmowę z panią. Sądziłam, że na pewno przyszedł korytarzem.

– Tak, to z pewnością jest bardzo prawdopodobne.

Poirot, nie przestając marszczyć brwi, zamilkł.

– Czy wie pan, jak moja pani była ubrana?

– Gazety podają kilka szczegółów, ale chciałbym, żeby je pani potwierdziła.

– Miała toczek z białego lisa, z biało nakrapianą woalką, i niebieską garsonkę z grubego sukna, w takim odcieniu niebieskiego, jaki nazywają indygo.

– Hm, strój rzucający się w oczy.

– Tak – wtrącił pan Halliday. – Inspektor Japp ma nadzieję, że pomoże nam to ustalić miejsce zbrodni. Każdy, kto ją widział, będzie ją pamiętał.

– Ano właśnie! Dziękuję pani.

Służąca wyszła.

– No tak – powiedział Poirot, wstając energicznie. – Nie mam tu nic więcej do roboty, poza tym, że chciałbym prosić, żeby powiedział mi pan absolutnie wszystko!

– Już powiedziałem.

– Czy aby na pewno?

– Ależ tak.

– W takim razie nie ma o czym gadać. Odmawiam zajęcia się tą sprawą.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie był pan ze mną szczery.

– Zapewniam pana...

– Nie, pan coś ukrywa.

Po chwili milczenia Halliday wyciągnął z kieszeni kartkę i wręczył ją mojemu przyjacielowi.

– Zdaje się, że o to panu chodziło, panie Poirot, chociaż w głowie się nie mieści, skąd pan o tym wie!

Poirot uśmiechnął się i rozłożył kartkę. Był to list napisany wąskim, pochyłym charakterem pisma. Detektyw przeczytał go na głos:

Chère Madame!

Myśl o tym, że będę miał szczęście widzieć panią znowu, napełnia mnie nieopisaną radością. Po pani jakże uprzejmej odpowiedzi na mój list, z trudem pohamowuję swoją niecierpliwość. Nigdy nie zapomniałem tamtych dni w Paryżu. To okrutne, że jutro opuszcza pani Londyn. Jednakże już niedługo, może wcześniej niż pani myśli, znów spotka mnie szczęście oglądania pani, której obraz zawsze królował w moim sercu.

Proszę przyjąć, chère madame, zapewnienia o moim oddaniu i niezmiennych uczuciach.

Armand de la Rochefour

Poirot z ukłonem zwrócił list Hallidayowi.

– Zapewne nie wiedział pan, że córka zamierza odnowić znajomość z hrabią de la Rochefour?

– Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba! Znalazłem ten list w jej torebce. Wiadomo panu chyba, panie Poirot, że ten niby hrabia to awanturnik najgorszego gatunku.

Poirot potwierdził skinieniem głowy.

– Chciałbym jednak usłyszeć, skąd pan wiedział o istnieniu tego listu?

Mój przyjaciel uśmiechnął się.

– Wcale o nim nie wiedziałem. Ale tropienie śladów stóp i rozpoznawanie popiołu po papierosach nie wystarczy, żeby być detektywem. Detektyw musi być także dobrym psychologiem! Wiem, że nie lubi pan swego zięcia i nie ufa mu. Korzysta on na śmierci pańskiej córki, opisany przez służącą tajemniczy osobnik wystarczająco go przypomina, a mimo to pan go nie podejrzewa! Dlaczego? Z pewnością dlatego, że pańskie podejrzenia kierują się w inną stronę. A więc coś pan zataił.

– Ma pan rację, panie Poirot. Byłem pewien, że to Rupert jest winien aż do chwili, kiedy znalazłem ten list. Okropnie się zdenerwowałem.

– Tak. Hrabia pisze: „niedługo, może wcześniej niż pani myśli". Z pewnością nie chciał czekać, aż dowie się pan, że znów się pojawił. Czy to on wyjechał z Londynu pociągiem o dwunastej czternaście i przyszedł korytarzem do przedziału pańskiej córki? Hrabia de la Rochefour również jest, o ile sobie przypominam, wysokim brunetem!

Milioner skinął głową.

– Wobec tego teraz się z panem pożegnam. Scotland Yard ma, jak sądzę, spis zaginionej biżuterii?

– Tak. Jeżeli chce się pan zobaczyć z inspektorem Jappem, to zdaje się, że tu jest.

Japp był naszym starym znajomym i przywitał Poirota z mieszaniną sympatii i lekceważenia.

– Jak się pan ma, drogi panie? Chyba nie żywimy do siebie urazy, choć tak bardzo różnimy się w naszych metodach pracy. Jak tam pańskie „szare komóreczki", hm? W dobrym stanie?

Poirot uśmiechnął się promiennie.

– Działają, działają, drogi Jappie, zapewniam pana!

– No to świetnie. Podejrzewa pan Carringtona, czy też jakiegoś złoczyńcę? Naturalnie pilnujemy wszystkich miejsc. Jeżeli kamienie zostaną sprzedane, będziemy o tym wiedzieli, a przecież sprawca nie będzie ich trzymał, żeby podziwiać ich blask. Wykluczone! Próbuję ustalić, gdzie był wczoraj Rupert Carrington. Wygląda to trochę tajemniczo. Śledzi go jeden z moich ludzi.

– Bardzo przezornie, ale chyba o jeden dzień za późno – zauważył taktownie Poirot.

– Pana wciąż się trzymają żarty – rzekł inspektor. – No, jadę na dworzec Paddington. Bristol, Weston, Taunton, to moja trasa. Do zobaczenia.

– Wpadnie pan do mnie wieczorem i opowie, co pan odkrył?

– Naturalnie, jeśli wrócę.

– Nasz inspektor uznaje tylko materię w ruchu – mruknął Poirot po wyjściu naszego znajomego. – Jeździ, mierzy ślady stóp, zbiera błoto i popiół z papierosów. Jest niesłychanie zajęty! Nieopisanie gorliwy! A gdybym wspomniał mu o psychologii, to wiesz, przyjacielu, co by zrobił? Uśmiechnąłby się! Powiedziałby do siebie: „Biedny stary Poirot! Jak on się posunął! Jak się zestarzał!" Japp to

„młode pokolenie, co puka do drzwi". I słowo daję, tak są zajęci tym pukaniem, że nie dostrzegają, że drzwi są otwarte!

– A co ty teraz zrobisz?

– Ponieważ dano nam wolną rękę i nie musimy się liczyć z kosztami, wydam trzy pensy na telefon do hotelu Ritza, gdzie, jak pewnie zauważyłeś, zatrzymał się nasz hrabia. A potem, ponieważ mam przemoczone nogi i dwa razy kichnąłem, wrócę do domu i zaparzę sobie ziółka na maszynce!

Zobaczyłem Poirota dopiero nazajutrz rano. Kiedy przyszedłem, właśnie ze spokojem kończył śniadanie.

– No i? – spytałem niecierpliwie. – Co się wydarzyło?

– Nic.

– A Japp?

– Nie widziałem się z nim.

– Co z hrabią?

– Przedwczoraj opuścił hotel.

– W dniu morderstwa?

– Tak.

– A więc wszystko jasne! Rupert Carrington jest oczyszczony z podejrzeń.

– Dlatego, że hrabia de la Rochefour opuścił Ritza? Za szybki jesteś, mój drogi.

– Tak czy owak, trzeba go śledzić, aresztować! Tylko jaki mógł mieć motyw?

– Biżuteria warta sto tysięcy dolarów to świetny motyw dla każdego. Nie, dla mnie pytanie brzmi: po co miałby ją zabijać? Czemu po prostu nie ukradł klejnotów? Przecież by go nie oskarżyła.

– Dlaczego?

– Bo to kobieta, przyjacielu. Kiedyś kochała tego człowieka. Odżałowałaby w milczeniu swoją stratę. A hrabia, który jest wytrawnym psychologiem w sprawach kobiet – stąd jego powodzenie – świetnie by o tym wiedział! Gdyby zaś zabił ją Rupert Carrington, to po co brałby biżuterię, która by go fatalnie obciążyła?

– Dla zmylenia śladów.

– Może masz rację, przyjacielu. A, oto Japp! Poznaję go po pukaniu.

Inspektor promieniał świetnym humorem.

– Dzień dobry, Poirot. Dopiero co wróciłem. Odwaliłem kawał solidnej roboty! A pan?

– A ja uporządkowałem swoje myśli – odparł spokojnie Poirot.

Japp szczerze się roześmiał.

– Staruszek posuwa się w latach – szepnął do mnie, a głośno dodał: – Nam, młodym, to nie wystarcza. Chce pan posłuchać, co osiągnąłem?

– Pozwoli pan, że zgadnę? Odnalazł pan nóż, którym dokonano morderstwa, przy torach kolejowych między Weston a Taunton, a także przesłuchał pan gazeciarza, który rozmawiał z panią Carrington w Weston!

Japp ze zdumienia otworzył usta.

– A skąd, u licha, pan wie? Niech mi pan nie mówi, że to te pańskie wszechmocne „szare komóreczki"!

– Cieszę się, że choć raz przyznaje pan, że są wszechmocne. Niech mi pan powie, czy dała gazeciarzowi szylinga napiwku?

– Nie, pół korony! – odparł Japp, odzyskując dobry humor i uśmiechając się wesoło. – Ależ ci bogaci Amerykanie mają gest.

– I dlatego chłopak ją pamiętał?

– A jakże. Nie codziennie trafia mu się półkoronówka. Przywołała go i kupiła dwa magazyny ilustrowane. Na okładce jednego z nich była dziewczyna ubrana na niebiesko. Jak ją zobaczyła, powiedziała mu: „Będzie do mnie pasować". O tak, świetnie ją zapamiętał. To mi wystarczyło. Zdaniem lekarza, zbrodni dokonano na pewno przed Taunton! Domyśliłem się, że mordercy natychmiast wyrzucili nóż, poszedłem więc wzdłuż torów szukając go, no i znalazłem. Wypytałem się w Taunton o naszego przestępcę, ale to jest oczywiście duża stacja i szanse na to, żeby go ktoś zauważył, były niewielkie. Prawdopodobnie wrócił do Londynu późniejszym pociągiem.

Poirot skinął głową.

– Bardzo możliwe – przyznał.

– Ale po powrocie otrzymałem jeszcze jedną informację. Złodzieje upłynniają klejnoty! Ten duży szmaragd zastawił zeszłej nocy jeden z ferajny. Jak pan myśli, który?

– Wiem tylko tyle, że jest niski.

Japp wytrzeszczył oczy.

– Tak, co do tego ma pan rację. Jest niski. To Red Narky.

– Kto to jest? – spytałem.

– Wyjątkowo sprytny złodziej klejnotów. I to z tych, co nie cofną się przed morderstwem. Pracuje zwykle z kobietą, Gracie Kidd, ale tym razem ona raczej nie brała w tym udziału, chyba że uciekła z resztą łupu do Holandii.

– Aresztowaliście Narky'ego?

– Oczywiście. Ale proszę pamiętać, że szukamy tego drugiego mężczyzny, który jechał pociągiem z panią Carrington. To on zaplanował skok. Ale Narky nie wyda kolegi po fachu.

Zauważyłem, że oczy Poirota zrobiły się intensywnie zielone.

– Chyba odnajdę koleżkę Narky'ego – rzekł łagodnie.

– Znowu pan coś wymyślił, hm? – spytał Japp, spoglądając ostro na Poirota. – Zdumiewające, że w pańskim wieku udaje się panu czasem coś wytropić. Oczywiście, to tylko dlatego, że ma pan piekielne szczęście.

– Możliwe, możliwe – mruknął mój przyjaciel. – Hastings, podaj mi kapelusz. I szczotkę. Tak! I kalosze, jeżeli jeszcze pada. Nie wolno mi zmarnować dobrych skutków ziółek. Do zobaczenia, Japp!

– Życzę szczęścia, Poirot.

Poirot zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę i kazał jechać na Park Lane.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed domem Hallidaya, wyskoczył zręcznie z samochodu, zapłacił kierowcy i zadzwonił. Poprosił o coś szeptem lokaja, który nam otworzył drzwi, po czym natychmiast wprowadzono nas na górę. Weszliśmy na ostatnie piętro domu, gdzie pokazano nam mały schludny pokoik.

Błądzące po pokoju oczy Poirota spoczęły na małej, czarnej walizce. Poirot ukląkł przed nią, obejrzał dokładnie nalepki i wyjął z kieszeni kawałek skręconego drutu.

– Proszę spytać pana Hallidaya, czy byłby tak uprzejmy przyjść tu do mnie na górę – powiedział przez ramię do lokaja.

Lokaj odszedł, a Poirot delikatnie, wprawną ręką spróbował otworzyć zamek. Po chwili zamek puścił i Poirot podniósł wieko walizki. Przerzucił szybko znajdujące się w niej ubranie, wyjmując poszczególne sztuki odzieży na podłogę.

Na schodach rozległy się ciężkie kroki i do pokoju wszedł Halliday.

– A co pan tu robi? – zapytał wytrzeszczając oczy.

– Szukałem tego – rzekł Poirot i wyciągnął z walizki jaskrawoniebieską garsonkę z grubego sukna i mały toczek z białego lisa.

– Co pan robi z moją walizką?

Obróciłem się i zobaczyłem, że do pokoju weszła Jane Mason.

– Hastings, zechciej zamknąć drzwi. Dziękuję. Tak, i oprzyj się o nie plecami. A teraz, panie Halliday, pozwoli pan, że przedstawię panu Gracie Kidd, alias Jane Mason, która wkrótce dołączy do swego wspólnika, Reda Narky'ego, pod uprzejmą eskortą inspektora Jappa.

* * *

Poirot machnął lekceważąco ręką.

– To było bardzo proste!

Dołożył sobie kawioru.

– Przede wszystkim uderzył mnie nacisk, jaki kładła służąca na opis ubrania, które miała na sobie jej pani. Dlaczego tak bardzo starała się zwrócić na nie naszą uwagę? Pomyślałem sobie, że o

tajemniczym mężczyźnie w przedziale na stacji w Bristolu wiemy tylko na podstawie jej słów. Co do orzeczenia lekarza, to pani Carrington mogła równie dobrze zginąć przed Bristolem – a wobec tego służąca musiała być wspólniczką. Jeżeli zaś nią była, to chciała, żeby szczegół ten opierał się nie tylko na jej świadectwie. Ubranie pani Carrington bardzo rzucało się w oczy. Służące mają zwykle spory udział w doborze garderoby swoich pań. Dlatego też, jeżeli za Bristolem ktoś widział damę w jasnoniebieskiej garsonce i futrzanym toczku, to gotów przysiąc, że widział panią Carrington.

Rekonstruuję przebieg wydarzeń. Służąca zaopatrzyła się w identyczne ubranie. Wraz ze wspólnikiem oszołomiła i zamordowała panią Carrington między Londynem a Bristolem, prawdopodobnie wykorzystując na to jakiś tunel. Ciało wepchnięto pod ławkę, a służąca zajęła miejsce swojej pani. W Weston musiała zwrócić na siebie uwagę. Jak? Najprawdopodobniej wybrała do tego celu gazeciarza. Żeby ją zapamiętał, dała mu duży napiwek. Zwróciła również jego uwagę na kolor swojej sukni wzmianką o jednym z czasopism. Po odjeździe pociągu z Weston wyrzuciła nóż za okno, żeby oznaczyć miejsce, gdzie rzekomo popełniono morderstwo, i przebrała się albo włożyła na wierzch długi płaszcz. W Taunton wysiadła z pociągu i jak najszybciej wróciła do Bristolu, gdzie jej wspólnik posłusznie zostawił bagaż w przechowalni. Po wręczeniu jej kwitu bagażowego, wrócił do Londynu. Ona czekała na peronie, odgrywając swoją rolę, przenocowała w hotelu, a rano wróciła do Londynu, dokładnie tak, jak to opisała.

Kiedy Japp powrócił ze swojej wyprawy, potwierdził wszystko, co wydedukowałem. Powiedział mi również, że znany przestępca handluje skradzionymi klejnotami. Byłem pewien, że z wyglądu będzie on dokładnym przeciwieństwem mężczyzny, którego opisała Jane Mason. A kiedy usłyszałem, że to Red Narky, który zawsze pracował z Gracie Kidd, wiedziałem, gdzie ją znaleźć.

– A hrabia?

– Im więcej o tym myślałem, tym większego nabierałem przekonania, że nie ma on z tą sprawą nic wspólnego. Ten dżentelmen nazbyt dba o swoją skórę, żeby ryzykować morderstwo. To nie w jego charakterze.

– Cóż, panie Poirot – powiedział Halliday. – Mam u pana wielki dług. A czek, który wypiszę po obiedzie, wcale go nie zlikwiduje.

Poirot uśmiechnął się skromnie i mruknął:

– Naszemu Jappowi zapiszą tę sprawę oficjalnie na jego konto, ale chociaż on ma swoją Gracie Kidd, to zdaje się, że ja, jak mówią Amerykanie, w głowie mu się nie mieszczę.

Tłumaczyła *Małgorzata Grabowska.*



KAW wydaje płyty, kalendarze, gry logiczne, plakaty

Ludzie, rytmy

Niejednokrotnie już podkreślałam, że nie jest to z pożytkiem dla człowieka, gdy odcina się od reszty organizmów żywych, istniejących na naszej kuli ziemskiej i wydaje mu się, że nie podlega ogólnie rządzącym twardym prawom przyrody. Rośliny, owady, ryby i inne stworzenia mają określony często przez warunki zewnętrzne i klimatyczne (jak pory roku, zmiany temperatury, nasłonecznienie, nasilenie wiatrów) sposób zachowania i trybu życia. Niektóre z tych determinantów są dla nas często niezrozumiałe, jak np. wędrówki węgorzy przez pół niemal kuli ziemskiej do Morza Sargassowego, gdzie składają ikrę. I jeszcze bardziej zdumiewające wędrówki maleńkich węgorzyków z powrotem do mórz i jezior, z których wędrowali rodzice. Niewątpliwie jakiś mechanizm biologiczny pędzi je przez pół świata, choć mogłyby równie dobrze, jakby się zdawało, rozmnożyć się w wodach, które zamieszkują. Widocznie muszą. A dlaczego muszą, tego my jeszcze nie wiemy i trzeba uczciwie przyznać, że nauka współczesna bardzo wielu jeszcze takich mechanizmów i innych konieczności biologicznych nie wyjaśniła.

Ale wracajmy do naszego świata ludzi, zaczynając, oczywiście, od kobiety, która jest źródłem życia i jak uważam, pierwszoplanową istotą w zespole ludzkim.

Życie kobiety podporządkowane jest również różnym rytmom biologicznym. W dziedzinie moich zainteresowań leżą przede wszystkim rytmy związane z przemianami neurohormonalnymi.

Jednym z takich rytmów jest cykl miesiączkowy, związany ze zmianami faz księżycowych, stąd i nazwa od staropolskiej nazwy księżyca – miesiąc. Drugi natomiast – to długi cykl obejmujący całe życie kobiety.

Każdy z tych cyklów wywiera bardzo istotny wpływ na płodność, pobudliwość seksualną i dynamizm życiowy kobiety.

Cykl miesiączkowy dzieli się na dwie fazy, w których dominują hormony rujowe lub macierzyńskie. Pierwsza faza, zaczynając od miesiączki, idzie w parze ze wzrostem pobudliwości seksualnej, ponieważ estrogeny są hormonami kochanki. Przeciętnie w połowie cyklu miesiączkowego następuje jajeczkowanie, któremu towarzyszy najwyższy poziom hormonu „romansowego", po czym wykształca się w jajniku ciałko żółte, którego wydzielina hamuje zapały miłosne, powoduje wyciszenie inicjatywy seksualnej, uspokaja kurczliwość macicy (przeżyciom seksualnym towarzyszą bardzo intensywne skurcze macicy!) i nasyca jej błonę śluzową substancjami odżywczymi, sprzyjającymi zagnieżdżeniu się zapłodnionego jajeczka. Z chwilą gdy, jako niezapłodnione, umiera, znów estrogeny „przejmują pałeczkę", a zmianie tej towarzyszy wyrzucanie niepotrzebnej, bogato unaczynionej błony śluzowej, czyli miesiączka.

Tak to kiedyś wyglądało, gdy kobiety nie regulowały przyrostu naturalnego i zdarzało się nieraz, że kobieta mając dwanaścioro czy czternaścioro dzieci nie miesiączkowała wcale przez cały okres płodności, bo albo nosiła, albo rodziła, albo karmiła. W takich układach hormony estrogenne były zdominowane przez ciałko żółte, które nie tylko działa w drugiej połowie cyklu miesiączkowego, ale również jest wydzielane w ogromnych ilościach przez ciałko żółte ciążowe i łożysko płodu. Jaki wpływ wywierała przewaga ciałka żółtego na życie dawniejszych kobiet? Skracała do minimum okresy czynności estrogennej, a co za tym idzie pobudliwości seksualnej, co między innymi wpływało na uspokojenie i wyrównanie nastrojów psychicznych kobiet lat dawnych.

W dobie dzisiejszej kobieta mniej rodzi, a tym samym skraca okresy czynności ciałka żółtego w swoim życiu. Ponadto praca zawodowa, nauka, nadmiar obowiązków, stresujący tryb życia w miastach wpływają ujemnie na czynność ciałka żółtego. W związku z czym zostaje zachwiana

Dr Michalina Wisłocka

KALEJDOSKOP SEKSU

i biorytmy

równowaga między estrogenem a ciałkiem żółtym i hormon matki (ciałko żółte) zostaje zdominowany przez hormon kochanki. Warto tu zaznaczyć, że estrogen jest filogenetycznie bardzo starym hormonem, spotykanym już u pierwotnych organizmów, nie tylko u ludzi. W związku z czym jest on hormonem potężnym i nie poddającym się niekorzystnym wpływom świata, w którym żyjemy.

Badania czynności hormonalnej u kobiet współczesnych wykazują wyraźne zanikanie ciałka żółtego w mniejszym czy większym stopniu. Jakie skutki wynikają z tego zachwiania równowagi? Skracanie się drugiej fazy cyklu i wzrost estrogenów w okresie na wiele dni przed miesiączką (u zdrowej kobiety 2-3 dni) wpływa w sposób wyraźny na życie i zachowanie się kobiety. Psuje harmonię i równowagę zdrowego cyklu miesiączkowego i pojawiają się dolegliwości zwane zespołem przedmiesiączkowym. A ten „przedmiesiączkowy" w krańcowych przypadkach potrafi trwać dziesięć dni i więcej. Dominacja estrogenu powoduje w tym okresie zachwianie równowagi solnej w organizmie, a co za tym idzie – pojawienie się wielu przykrych dolegliwości. Bóle głowy, bolesne obrzęki piersi, kłótliwość, depresja, zaburzenia pamięci, szybkie męczenie się i inne tego rodzaju objawy, które dobrze znają kobiety w swoim zapracowanym życiu. I tak zostajemy oszukane przez hormon estrogenny, bo zamiast poprawiać nam temperament, powoduje szereg dolegliwości, piekielne zmiany charakteru i samopoczucia, które obrzydzają życie rodzinie i otoczeniu. Wielu mężczyzn skarży się na nierówność usposobienia swoich żon, na piekło w domu bez żadnej rozsądnej przyczyny. Wiele małżeństw ulega stopniowemu rozpadowi przez narastanie rodzących się w tym czasie konfliktów.

W toku mojej pracy nieraz trafiały do mnie skłócone małżeństwa, dla których znakomitym lekarstwem była rada, aby małżonek zapisywał w kalendarzyku przypuszczalne terminy miesiączek żony. I biorąc pod uwagę „okres ochronny" w ostatnim tygodniu przed miesiączką nie podejmował żadnych zasadniczych dyskusji ani sporów, tylko „położył uszy po sobie" i cichutko przeczekał. Moja złota rada: przeczekać – znowu znajduje zastosowanie. Nie można przecież brać na serio awantur biologicznych, najczęściej zupełnie oderwanych od rzeczywistości. Wracając do spraw seksu, istnieją również niewątpliwe powiązania hormonalno-seksualne. Zrobiłam kiedyś u trzystu zdrowych kobiet zestawienie okresów największej pobudliwości seksualnej w cyklu miesiączkowym. Okazało się, że u ponad 80 procent pobudliwość jest największa w okresie okołomiesiączkowym (przed i po), u wcale niemałej liczby również w czasie miesiączki i u prawie wszystkich w okresie jajeczkowania. Wynikałoby z tego, że również i popęd seksualny związany jest w jakimś sensie ze skracaniem okresu czynności ciałka żółtego. Warto jeszcze wspomnieć kilka słów o pobudliwości w czasie miesiączki, bowiem zdarzały się kobiety, które tylko w tym czasie odczuwały pełną satysfakcję seksualną.

Van de Velde w swojej książce pt. „Małżeństwo doskonałe" pisze, że nie wolno utrzymywać stosunków w czasie miesiączki, ponieważ w tym czasie szyjka maciczna przepuszcza do macicy i jajników bakterie chorobotwórcze, co może spowodować zapalenie błony śluzowej macicy i jajników. Z własnych obserwacji sądzę, że nie miał racji, ponieważ nieoczekiwanie wiele kobiet, jak się przekonałam, utrzymuje współżycie w czasie miesiączki i są całkowicie zdrowe, a ich narządy rodne pozostają również zupełnie zdrowe. W tradycji ludowej istnieje przekonanie o toksycznym wpływie krwi miesiączkowej, a nawet dotknięcia ręki czy potu kobiety w tym okresie. Uważa się, że rośliny sadzone przez nią w tym czasie marnieją, ciasto nie rośnie, mleko się psuje. Czy przypadkiem obserwacje te nie sugerują istnienia substancji toksycznych we krwi i wydzielinach organizmu kobiety miesiączkującej, w związku z czym można by przypuszczać, że te właśnie substancje działają również bakteriobójczo, chroniąc kobietę przed zakażeniem w czasie

miesiączki. Sądzę, że nie ma wyraźnych przeciwwskazań natury higienicznej. Natomiast nie zachęcam nikogo do tego typu eksperymentów ze względów raczej estetycznych, ale w przypadku gdy kobieta właśnie w tym czasie jest najbardziej pobudliwa lub w popędzie seksualnym obojga istnieje pewna przymieszka sadyzmu (podkreślam – nie zboczenia, tylko niewielka przymieszka, co zdarza się nierzadko), nie widzę żadnych przeciwwskazań do współżycia w tym okresie.



Drugim rodzajem biorytmu w życiu kobiety jest rytm seksualny, powiązany z poziomem hormonów estrogennych w przebiegu całego życia. I tu przyglądając się dokładniej można stwierdzić bardzo duże wahania. Od okresu dojrzewania do 20–25 roku życia poziom estrogenów w organizmie kobiety zamyka się w granicach niskich i średnich, w związku z czym pobudliwość i wrażliwość seksualna u dziewcząt są znacznie mniejsze niż u chłopców w tym samym wieku.

Może zakrzykniecie tutaj: ha! ha! ha! a skąd się biorą dziewczyny, które nieomalże gwałcą chłopców na kempingach? Nie jest to słowo zbyt mocne, bo w czasie wakacji widziałam towarzystwo złożone z kilku chłopców i nastoletniej dziewczyny. Namiot rozbrzmiewał radosnymi wrzaskami i podskakiwał do góry jak zwariowany żółw, a po jakimś czasie wyszła z niego śliczna młoda dziewczyna, ubrana wyłącznie odgórnie w sweterek i pomaszerowała do jeziora umyć się. Gdy chciała wrócić do namiotu, trzej chłopcy zaprotestowali: „zmiataj lalunia, bo nas wpędzisz w suchoty". Nie była zbytnio zmartwiona, ponieważ natychmiast z pobliskiego namiotu wyjrzał młody człowiek i z okrzykiem: „pójdź dziecię, ja cię uczyć każę" zabrał ją do siebie.

Ale, jak zwykle, widzimy demonstracyjne wyjątki, które przesłaniają większość spokojnych dziewcząt, bo sytuacje wyjątkowe po prostu rzucają się w oczy.

Wracając do naszych rytmów, popęd seksualny kobiety, jak również poziom estrogenów w jej organizmie zaczynają stopniowo wzrastać, by w wieku 35–45 lat osiągnąć poziom najwyższy. W tym okresie życia każda kobieta, nawet chłodna i mało pobudliwa w młodości, ma szansę osiągnąć pełnię przeżyć seksualnych, o czym warto pamiętać. Niejednokrotnie mąż o dużych wymaganiach w tej dziedzinie traci cierpliwość i rozchodzi się z żoną około trzydziestki i wtedy okazuje się, że rozkwita ona w pełni i staje się znakomitą partnerką, ale już nie dla niego.

Napięcie seksualne u kobiety, najwyższe około 45 roku życia, nierzadko bardzo wolno opada w późniejszych latach i tak jak dawniej kobieta po pięćdziesiątce uważana była za kobietę starą i nie brana pod uwagę jako partnerka seksualna, obecnie, gdy znacznie osłabły naciski opinii publicznej w tej dziedzinie, widzi się coraz więcej starszych par, nieraz i około siedemdziesiątki, siedzących na ławkach i czule objętych.

Jak widać z powyższych rozważań, na całym życiu kobiety, nie tylko na cyklach miesiączkowych, wyraźnie ważą biologiczne rytmy neurohormonalne. I warto wziąć to pod uwagę również we własnym życiu.

Poprzednio poruszałam zagadnienie biorytmów w życiu człowieka, zajmując się głównie kobietą. Poniższe rozważania poświęcę „panom stworzenia", choć nie tylko.

Życiowych rytmów i biorytmów nie można ograniczać wyłącznie do bodźców neurohormonalnych, istnieje bowiem znacznie więcej czynników wpływających na rytmiczne układy w życiu ludzkim. Interesujące byłoby wiedzieć, czy rytmy biologiczne ustroju ustaliły się pod wpływem działań kosmicznych, rytmów księżyca, zmienności pór roku czy dnia i nocy; czy też istniały jako specyficzne dla człowieka, niezależnie od jego środowiska, urządzenie wewnętrzne. Prof. Antoni Kępiński stwierdza w swej książce „Rytm życia", że: *„Środowisko przyrody ma swoje zasadnicze rytmy, którym też człowiek podlega. Jest rytm dnia i nocy – wysiłku życia i odpoczynku, ale też jasności i ciemności, rozumu i ślepych namiętności – ekstazy, nurt apolliński i dionizyjski w kulturze. Życie w środowisku sztucznym oddala człowieka od tego naturalnego rytmu. Odpoczynek staje się trudniejszy, często zdarza się bezsenność, szuka się sztucznej nocy w środkach nasennych, odurzających, podniecających.*

Rytm pór roku jest rytmem cyklu rozwojowego życia – narodzin, młodości, wieku dojrzałego, starości, śmierci, znów narodzin itd. Oderwanie od tego rytmu utrudnia znoszenie własnego wieku; chciałoby się zapanować nad przemijającym czasem, być zawsze młodym. Nasila się lęk przed starością i przed śmiercią, tak silnie trapiący ludzi dzisiejszych".

Prof. Dzierżykraj-Rogalski z kolei prowadził szereg badań antropologiczno-statystycznych, które próbowały uchwycić rytmiczność wielu zjawisk życiowych. Na przykład, ciekawe obserwacje o rytmice zawierania małżeństw. Wprawdzie nie jest to akt biologiczny, ale z biologią dość ściśle związany, szczególnie w skutkach, w postaci potomstwa. Autor cytuje wg J. Holtzera badania statystyczne częstotliwości zawierania związków małżeńskich w Polsce w latach 1950–56. Wynika z tego, że po pierwsze: rytm jest prawie identyczny w mieście i na wsi, a po drugie – największa częstotliwość pojawia się w okolicach kwietnia i grudnia, a najniższe wskaźniki w okresie letnim maj – wrzesień. Można by z tego wyciągnąć wnioski, że pory roku wpływają na częstotliwość zawierania małżeństw.

Mnie się jednak wydaje, że rytm ten akurat ma dość mało wspólnego z porami roku, natomiast uderzającą zbieżność ze świętami Wielkanocy i Bożego Narodzenia. Argument, który przytacza p. Holtzer, że niewiele z tych małżeństw było zawieranych według obrządku katolickiego, nie znaczy wcale, że nie zagrała tu wielowiekowa tradycja obyczajowa, która wiązała śluby z tymi dwoma świętami, która nawet niewierzącym pozostawiła zwyczaj świętowania Wielkanocy i Bożego Narodzenia.

Bardziej zastanawiająca może być współzależność urodzeń od faz księżyca, opracowana przez H. Heckerta w 1961 r. Okazuje się, że wyraźny wzrost liczby urodzeń występuje w pierwszej kwadrze i w czasie pełni księżyca, a najmniej przypada na ostatnią kwadrę. Kojarzy mi się to w jakiś sposób z wpływem księżyca na rytmy miesiączkowe w życiu kobiety. Jak widać, głęboko u podstaw cywilizacji człowieka leży zainteresowanie księżycem, zdradzane u zakochanych. I tu już wchodzimy pomału w problem powiązań spraw seksualnych, płodnościowych, z rytmem księżycowym i dobowym. W rytmie dobowym, na przykład, około godziny 4. w organizmie spada ciśnienie krwi, zwalnia się tętno, obniża temperatura ciała. Stan taki przypomina misia pogrążonego w śnie zimowym.

Ludzie trapieni przez kłopoty czy dramaty życiowe budzą się o tej porze i są najmniej odporni fizycznie i psychicznie, świt jest porą, kiedy przychodzi śmierć – jak śpiewał Ives Montand.

Natomiast uczeni w piśmie twierdzą, że godzina 8. rano jest najlepszą porą do miłości, ponieważ wtedy hormony płciowe męskie i damskie osiągają najwyższy dobowy poziom. Może to dlatego uczeni, artyści i pisarze bywają najlepszymi kochankami – ponieważ zwykle nie muszą wstawać na 8. rano do pracy.

Po godz. 17. – szczególnie zimą i jesienią, gdy wcześnie zapada zmrok, produkcja hormonów spada tak znacznie, że odczuwamy coś w rodzaju „uderzeń krwi do głowy" – jak kobieta w okresie klimakterium. W tych godzinach jest najwyższe dobowe ciśnienie krwi, najszybsze tętno i podwyższona nieco temperatura ciała.

Wszystkie te objawy wzmożonego ożywienia obniżają się zwolna do godziny 22. i w nocy równocześnie z hormonami płciowymi osiągają swój najniższy poziom.

Późnym wieczorem więc i w nocy mamy już tylko szansę na... spanie, co wynika niezbicie z biorytmów. Obserwując zwierzęta, ptaki, a nawet owady – wszystkie się kochają wczesnym rankiem w blasku słońca – jak daleko odeszliśmy od natury!...

Uczeni grożą, że bardzo niezdrowe jest lekceważenie „zegara biorytmów", ale cóż począć z tą miłością?... A może tu leży przyczyna częstej długowieczności uczonych i pisarzy?... Nie wojują z „zegarem"...

Jeszcze kilka obserwacji dotyczących wahań ciepłoty porannej u kobiety. Są one ściśle uzależnione od zmian napięcia układu nerwowego sympatycznego i parasympatycznego. Cały bowiem układ nerwowy składa się z dwóch zespołów, tzn. układu mózgowego, który steruje życiem świadomym człowieka i układu wegetatywnego, regulującego samoistny, niezależny od świadomości rytm pracy narządów wewnętrznych ciała ludzkiego. Układ wegetatywny dzielimy dalej na sympatyczny i parasympatyczny. Działanie tych dwóch wzajemnie przeciwstawnych układów wywiera zasadniczy wpływ na czynność układu krwionośnego, oddechowego, pokarmowego, reguluje ciśnienie krwi, temperaturę ciała i inne funkcje organizmu, niezależnie od naszej woli.

Rytm temperatury ciała sterowany przez układ wegetatywny wykazuje np. wyraźny spadek ciepłoty między godz. 21. a 8. rano, kiedy w okresie snu dominuje układ parasympatyczny, o czym wiemy studiując krzywe ciepłoty porannej w rytmie miesiączkowym kobiety; temperatura ciała zmienia się w ciągu miesiąca również pod wpływem napięcia układu sympatycznego czy parasympatycznego. I tu zaobserwowano już współzależność czynności hormonalnej jajnika z napięciem tych układów. Otóż hormony rujowe (estrogeny) zwiększają napięcie układu parasympatycznego, natomiast hormony matki (ciałko żółte) – układu sympatycznego. Układ parasympatyczny wpływa na obniżenie się temperatury ciała, sympatyczny – na wzrost, z czego wynika dwufazowość krzywej termicznej w życiu kobiety: niskie temperatury w pierwszej połowie cyklu miesiączkowego, podwyższone w drugiej połowie cyklu.

I tak obserwując biorytmy w życiu ludzkim, trafiliśmy przez pory roku, rytmy księżyca, dobowe znowu do układu wegetatywnego i hormonalnego człowieka.

Chociaż mężczyźnie nie dokuczają miesiączki i rytmiczne zmiany nastroju z tym związane, ale ma i on „za swoje" od układów hormonalnych, które aczkolwiek w innym rytmie, jednak ulegają wyraźnym zmianom w jego życiu. Krzywa czynności hormonalnej testosteronu (hormon męski) w czasie życia mężczyzny zmienia się podobnie, jak krzywa estrogenowa u kobiety. Podobnie, to nie znaczy tak samo.

U mężczyzny poziom hormonów płciowych osiąga najwyższe wskaźniki w – i po – okresie dojrzewania, tzn. w wieku 12–24 lat, po czym zaczyna powoli spadać, utrzymując się na





wartościach wysokich i średnich do 35–40 roku życia i obniżając się stopniowo dalej, aż do późnej starości. Analogicznie do krzywej wydzielania hormonów przebiega krzywa napięcia seksualnego w życiu mężczyzny, to znaczy razem z okresem dojrzewania pojawia się bardzo wysokie napięcie i krzywa tego napięcia przebiega analogicznie do krzywej wydzielania testosteronu. Porównując z krzywą napięcia seksualnego u kobiety, która się wyraźnie różni od krzywej męskiej, wykazując niskie i średnie napięcie w okresie dojrzewania, natomiast najwyższe około 40. roku życia i w okresie przedklimakterycznym, widzimy od razu potencjalne konflikty międzypłciowe w okresach największych rozbieżności, które nazwałam pierwszą i drugą fazą konfliktową.

Zastanawiające jest, dlaczego natura obdarzyła tak wysokimi potrzebami w dziedzinie seksu mężczyznę bardzo młodego, niedojrzałego jeszcze do roli opiekuna rodziny, a w naszych warunkach nie mającego żadnego statusu społecznego do tego rodzaju układów. W czym tu rzecz? Ano w tym, jak mi się zdaje, że biologiczny instynkt zachowania gatunku, u którego podstaw leży popęd seksualny, wcale nie musi iść w parze ze stworzonymi przez nas układami społecznymi. A w naturze, co już zaobserwowali hodowcy zwierząt rasowych, młody samiec jest najwartościowszym samcem i potomstwo jego jest zdrowe i odporne na szkodliwe wpływy świata zewnętrznego.

Oczywiście, nie znaczy to, że w społeczeństwie ludzkim byłoby znakomicie, gdyby tatusiowie mieli po 16, 17 lat, ale w sensie genetycznym i ze względu na dobro potomstwa, dzieci powinny rodzić się wcześnie, tzn. w naszych warunkach między 19. a 25. rokiem życia obojga. Występuje tu jeszcze w obecnej rzeczywistości dodatkowy, niesłychanie ważny argument przemawiający za posiadaniem dzieci możliwie wcześnie – zatrucie środowiska!

Każdy rok w życiu ludzkim działa na naszą niekorzyść, a ściślej mówiąc – na niekorzyść gonad (jajniki, jądra) i wątroby – organów najszybciej ulegającym toksycznym wpływom otaczającego środowiska. Gdy zjawił się u mnie pacjent z nieprawidłowym nasieniem, pracujący w wybitnie toksycznych warunkach, wiadomo było, że badania czynności wątroby wykażą równocześnie znaczne uszkodzenie tego narządu. Wydaje mi się, sądząc z praktyki życia codziennego, że plemniki wytwarzane w sposób ciągły w toku całego życia mężczyzny muszą być i są znacznie bardziej wrażliwe na toksyczne wpływy z otoczenia niż jajeczka, z którymi kobieta się rodzi. W związku z czym należy wziąć pod rozwagę sprawę decyzji na dziecko i zrezygnować z poglądu królującego w poprzednim pokoleniu, że pora na dziecko przychodzi w momencie pełnej stabilizacji, tzn. posiadania mieszkania, samochodu i dobrych warunków finansowych. Oczywiście, że warunki finansowe mają wpływ na odżywianie i dobrą kondycję dziecka, ale niewiele pomogą dziecku uszkodzonemu genetycznie już w komórkach plemnika czy jajeczka. Lepiej więc zaciągnąć pasa, ograniczyć swoje wymagania i mieć zdrowe, dorodne dzieci, które odpłacą rodzicom mniejszą ilością kłopotów w ich biologicznym rozwoju.



Następną porą katastrof w życiu mężczyzny jest wiek preklimateryczny, w którym zaczyna wyraźnie zauważać (oczywiście i tu bywają wyjątki) spadek swoich możliwości seksualnych. Niestety, tak jak w pierwszej fazie konfliktowej, młoda dziewczyna 15–17-letnia nie wykazuje nadmiernej skłonności do rozpoczęcia życia seksualnego, a tym bardziej rodzenia dzieci, i słusznie! tak po czterdziestce temperament kobiety, wręcz odwrotnie niż u mężczyzny, wyraźnie wzrasta. I pojawia się dysproporcja „podaży i popytu". A jeżeli jeszcze, na domiar złego, kobieta nie jest dostatecznie świadoma w dziedzinie fizjologii tego okresu i okazuje mężczyźnie wyraźnie chęci przewyższające jego możliwości, wówczas rani jego miłość własną w sposób bardzo dotkliwy. A skutkiem takiej błędnej polityki jest poszukiwanie innej partnerki. Łatwo bowiem poprawić swoje samopoczucie stwierdzając, że to wina żony, że spadek kondycji związany jest z obiektem, a nie subiektywnymi możliwościami. Instynkt prowadzi go wtedy do kobiet młodych, albo bardzo młodych, których potrzeby seksualne nie są duże i którym imponują subtelne techniki seksualne dojrzałego mężczyzny.

Istnieją dwie metody przejścia obronną ręką przez drugi okres konfliktowy, jaki proponuję małżeństwom. Pierwsza to – zanim pojawi się „ta trzecia" – hołubienie i zadbanie o dobre samopoczucie mężczyzny w tym ciężkim dla niego okresie, co zapobiega rodzeniu się poczucia małowartościowości i szukania innej kobiety dla poprawy samopoczucia.

Jeżeli jednak nie zorientujemy się w porę i życie nas uprzedzi, a ukochany, wierny dotąd mężczyzna zostaje opętany amokiem: „życie przemija i nic mnie już nie czeka" i znajdzie młodą przyjaciółkę, wtedy pora na drugą receptę: metodą Penelopy – przeczekać. Konflikt pojawiający się w tym wieku, jeżeli żona nie dąży do rozwodu, zwykle kończy się samoistnie powrotem małżonka na łono rodziny. Nie można przecież zapominać w momencie dramatu i rozsypywania się całej struktury miłości i małżeństwa na stare lata, że to właśnie biorytmy „pokazały rogi" i prowadzą nas na bagna katastrof małżeńskich, jak złośliwy diabeł Rokita mieszkający w starej wierzbie. I stąd mądre ludowe przysłowie, że „w starym piecu diabeł pali".

Zbigniew Pieciul

Robot

– Pokażę pani dzieże...
– Jakie dzieże?
– Olbrzymie mieszarki. W każdej mieszarce przygotowuje się jednorazowo materiał na tysiąc Robotów. Potem w osobnych kadziach wyrabia się wątroby, mózgi i tak dalej, i tak dalej. Wszystko to pani zobaczy. Następnie pokażę pani wytwórnię kości, a potem nasze przędzalnie...
– Przędzalnie?
– Przędzalnię nerwów, przędzalnię żył, przędzalnię, w której na specjalne wrzeciona nawija się całe kilometry jelit. Dalej mamy halę montażową, gdzie wszystko to łączymy w całość, no, wie pani, tak jak w fabryce samochodów.
(Przekład Andrzej Sieczkowski)

Oto dialog z utworu science-fiction starej daty. Dyrektor Harry Domin rozmawia z panną Heleną Glory, która chce zwiedzić tajemniczą fabrykę sztucznych ludzi. Autorem dramatu pt. *R.U.R.* jest wybitny czeski pisarz epoki międzywojennej – Karel Čapek. *R.U.R.* wystawiono po raz pierwszy w roku 1920. Mechaniczny stwór, zastępujący człowieka w jego codziennej, żmudnej pracy – robot. Słowo „robot" wymyślił właśnie Čapek. Okazuje się więc, że zanim zbudowano go naprawdę, przez lata funkcjonował w literaturze.

R.U.R. to skrót nazwy fabryki „Rossum – Uniwersalne Roboty". Dzięki robotom, wynalazkowi pewnego przemysłowca, produkowanym w firmie R.U.R., powstać ma nowy wspaniały świat. Świat bez głodu i nędzy. W tym świecie ludzie, uwolnieni od pracy fizycznej, mogą poświęcić się rozwojowi swych uzdolnień.

Autor jest pesymistą. Na pytanie, czy postęp cywilizacji przyczyni się do szczęścia człowieka i jego duchowego wzbogacenia, odpowiada przecząco. Niedopatrzenia w produkcji i eksperymenty z systemem nerwowym robotów sprawiają, że uzyskują one świadomość własnego istnienia i natychmiast buntują się przeciw swym eksploatatorom. Jako gatunek doskonalszy, roboty uważają za rzecz naturalną zniszczenie tych, którzy są słabsi – ludzi. Zresztą ludzie przestali pracować, są zatem zbyteczni, są pasożytami. Ludzkość ginie.

Minęło sześćdziesiąt parę lat od premiery sztuki Čapka. Słowo „robot" zadomowiło się w większości języków świata. Same zaś roboty, zrealizowane na miarę współczesnej techniki, nie przypominają istot wymyślonych przez czeskiego pisarza. Nie mają też wiele wspólnego z współczesnymi „androidami" z filmu *Gwiezdne wojny*. Roboty nie naśladują sylwetki człowieka. Dzisiejsze, realne roboty to zwykle sterowane komputerowo wieloprzegubowe ramiona, wysięgniki zakończone uchwytami do mocowania rozmaitych narzędzi lub chwytania przedmiotów.

Na świecie pracuje już ponad dwadzieścia pięć tysięcy programowanych robotów przemysłowych. Roboty wytwarza się i instaluje w większości uprzemysłowionych krajów świata. Czołówka to: USA, Francja, RFN, Szwecja. A przede wszystkim – Japonia, gdzie pracuje około sześćdziesiąt procent wszystkich robotów. Japończycy są też przodującymi ich producentami.

O tempie „robotyzacji" przemysłu decydują dwa podstawowe czynniki. Pierwszy to zaawansowanie techniczne tych maszyn, ich możliwości, precyzja działania, liczba stopni swobody wieloprzegubowych ramion. Ważne jest dla użytkownika, czy ma do czynienia z robotem uniwersalnym, którego można łatwo przeprogramować do zupełnie nowych zadań, czy też jest to automat specjalizowany do pewnej wąskiej grupy czynności. Jednym słowem, pierwszy decydujący czynnik to stwierdzenie, co robot potrafi zrobić.

Drugi element to cena robota. Decydują zsumowane koszty zakupu i oprogramowania robota, koszty eksploatacji oraz płace wysoko kwalifikowanego nadzoru. Trzeba te wydatki porównać z wydajnością produkcyjną.

Co robot potrafi?

Początek robotom dały stosunkowo prymitywne mechaniczne ramiona zdalnie sterowane przez człowieka. Z czasem poszczególne proste czynności udało się zakodować w maszynie, w sposób mechaniczny lub później w pamięci elektronicznej. Ramię robota zastąpić miało ludzką rękę. Bierze w swą stalową dłoń narzędzie lub detal, umieszcza go w jarzmie obrabiarki, gotowy produkt wyjmuje, wkręca z zadaną siłą śruby, montuje części, maluje, może służyć jako bezwzględny kontroler jakości.

Dzisiejszy robot – a są ich przecież setki odmian – kierowany jest przez minikomputer. Czasem sam posiada kilka procesorów, nadzorujących poszczególne funkcje. Gdy zostanie sprzężony z komputerową jednostką nadrzędną, można zestawić całe zespoły obrabiarek i obsługujących je robotów. Stąd krok do uruchomienia automatycznych fabryk.

„Fabryka przyszłości" już istnieje. Japońskie zakłady mechaniczne Yamazaki zafundowały sobie całkowicie automatyczną wytwórnię części do obrabiarek. Hala długa na sto kilkadziesiąt metrów. Jak okiem sięgnąć, same maszyny: zielone, niebieskie, żółte. Obrabiarki i współpracujące z nimi roboty oraz samoczynny transport obrabianych elementów. W tradycyjnej fabryce trzeba by zatrudnić dwustu piętnastu robotników. Tu potrzeba tylko dwunastu ludzi, po sześciu na dwie zmiany. Obsługują główny komputer, doglądają maszyn, zamiatają podłogę... Trzecia zmiana pra-

cuje zupełnie bez nadzoru człowieka. To tak zwana „zmiana duchów".

Automatyczny transport wewnętrzny, wymiana narzędzi, pomiary. Steruje tym wszystkim zespół komputerów, które w swej pamięci mają zakodowane informacje, jak wykonać ponad siedemdziesiąt różnych elementów obrabiarek. Komputery można w każdej chwili przeprogramować. Obrabiarki i roboty gotowe są do natychmiastowej zmiany produkcji. W tej fabryce można – wedle życzenia – zrobić tysiąc czterysta najróżniejszych części.

Czy to się opłaca?

Drugim elementem decydującym, czy roboty będą masowo wprowadzane do produkcji, jest ich cena. Amerykański kwartalnik „Economic Impact" opublikował wykres łącznych kosztów produkcji przy użyciu robotów i zastosowaniu tradycyjnej techniki opartej na pracy ludzkiej. Linia oznaczająca jednostkowe koszty produkcji z zastosowaniem robotów obniża się. Linia kosztów techniki tradycyjnej rośnie. Przecinają się mniej więcej w okolicach roku 1982. Od tego momentu stosowanie robotów przestaje być modą, polowaniem na nowinki, dziwactwem. Od tego momentu wprowadzanie robotów zaczęło się absolutnie opłacać. Instalacja robota, który kosztuje trzydzieści pięć tysięcy dolarów równa się dwuletnim zarobkom kwalifikowanego robotnika, który dostaje dziesięć dolarów za godzinę.

Ten sam „Economic Impact" przytacza liczby pokazujące, jak poszczególne gałęzie przemysłu amerykańskiego planują swe wydatki na zakup i instalację robotów. Porównywane są nakłady poniesione na ten cel w roku 1979 oraz przewidywane wydatki w roku 1985. Przemysł maszyn elektrycznych – szesnaście i sto sześćdziesiąt cztery miliony dolarów, przemysł samochodowy – wzrost od piętnastu do pięćdziesięciu czterech milionów dolarów. Stosunkowo najmniejszy postęp w przemyśle maszyn ciężkich – z dwunastu na trzynaście milionów. Największy skok: przemysł elektroniczny – od miliona sześciuset tysięcy do siedemdziesięciu milionów dolarów rocznie.

James A. Baker, wiceprezes koncernu General Electric, ujmuje to tak: *„Biznes amerykański ma trzy możliwości do wyboru na lata osiemdziesiąte: automatyzować się, emigrować – lub wyparować."* General Electric nie czeka. Przebudowuje między innymi swą starą fabrykę lokomotyw w Erie w Pensylwanii. W murach pamiętających rok 1910 powstaje jedna z najnowocześniejszych w świecie wytwórni. Instaluje się komputery i roboty. Najnowsze osiągnięcia technik wytwórczych dadzą kolosalne zwiększenie wydajności pracy. To co teraz sześćdziesięciu ośmiu doświadczonych operatorów jest w stanie zbudować w ciągu szesnastu dni, nowa fabryka wypuści w ciągu jednej doby i to praktycznie bez udziału ludzi.

Dodać tu trzeba, że bardzo często motywem do stosowania robotów są jakieś szczególnie trudne warunki pracy. Stąd, na przykład, powszechne używanie robotów do prac malarskich. Człowiek pracujący w malarni musi, ze względu na opary lakierów, korzystać z maski. Oświetlenie w takim dziale jest ograniczone. To wszystko nie sprzyja precyzji pracy ludzkiej. Odpowiednio przystosowany robot nie odczuwa trujących oparów, nie musi oglądać metalowych powierzchni. Podobnie ze spawaniem. Inny przykład to elektrownie atomowe. Niebezpieczeństwo napromieniowania nie odstraszy maszyny od pracy z materiałami radioaktywnymi.

W produkcji i instalacji robotów przoduje Japonia. Do końca roku 1980 firmy: Kawasaki, Fujitsu Fanuc, Hitachi i inne dostarczyły około siedemdziesiąt procent robotów pracujących w krajach kapitalistycznych. Oczekuje się, że japońską pozycję nr 1 umocnią lata osiemdziesiąte. Nadchodzi bowiem, właśnie w Japonii, nowa generacja robotów, robotów, które będą zdolne „widzieć", „słyszeć", mieć „czucie w palcach".

Oto prototyp zbudowany w firmie Sumitomo Electric. Konstruktorom zależało na tym, by robot nie tylko potrafił wykonać zadany program, ale by potrafił zmieniać ów program pod wpływem sytuacji. Do tego powinien posiadać jakiś ekwiwalent ludzkich oczu. Pożądane też było, by pracownik nadzorujący pracę robota mógł wydawać polecenia nie za pomocą rozkazów wypisanych na klawiaturze, lecz po prostu głosem.

Prototypowy „inteligentny" robot Sumitomo potrafi odszukać właściwy przedmiot spośród większej ilości elementów, podnosi go, umieszcza tam, gdzie trzeba. Gdy napotka nieprzewidziane trudności w wykonaniu programu, powiadamia o tym operatora – człowieka. Maszyna jest w stanie rozpoznać znaki graficzne. Może więc wybierać przedmioty z jakąś konkretną literą, liczbą czy rysunkiem. Sumitomo potrafi też ocenić odległość. Jego „oczy" to dwa światłowody, każdy składający się z trzydziestu tysięcy włókien szklanych. Sumitomo ma w swym wnętrzu czternaście mikrokomputerów do wstępnego przetwarzania danych i kontroli różnych podzespołów. Jeden minikomputer funkcjonuje jako „mózg", analizujący informacje z poszczególnych „narządów". Jeśli chodzi o zrozumienie tego, co mówi doń człowiek, to zrealizowano rzecz tak: w pamięci komputera zanotowane są uprzednio typowe rozkazy, polecenia i ostrzeżenia. Zakodowane są też – stosowne do różnych sytuacji – odpowiedzi. Komputerowe „ucho" jest w stanie rozpoznać, które ze znanych mu poleceń wypowiedział człowiek. Żeby było przyjemniej, swe odpowiedzi maszyna wygłasza melodyjnym, damskim głosem...

W artykułach prasowych, poświęconych nowym konstrukcjom robotów, dość często wspomina się, że powstaje cała grupa specjalistycznych robotów, które znajdą zatrudnienie w szpitalach. W różnym charakterze: będą wyręczać w niektórych czynnościach pielęgniarki, mogą też pomóc lekarzowi w diagnozie. Mówi się o precyzyjnych ramionach, które mogą obsługiwać obłożnie chorego, podawać mu lekarstwa, napoje, owoce lub gazetę. Rozkazy można wydawać zarówno za pomocą przycisków, jak też głosem, a nawet gwizdami czy sapnięciami (z myślą o pacjentach, którzy utracili zdolność mówienia).

Wśród robotów szpitalnych najbardziej oryginalnym będzie Melkong, który nieprzypadkowo nawiązuje nazwą do Kin-Konga. Melkong służyć ma do przenoszenia pacjentów z ich łóżek do łazienki, do wanny, i z powrotem. Czyni to bardzo delikatnie i cierpliwie, choć dysponuje siłą potwora.

Najbardziej wyrafinowanym robotem medycznym wydaje się być skonstruowany przez profesora Hiroyasu Funakubo detektor raka piersi. Aparat posiada dwadzieścia pięć „palców" o niezwykłej czułości, które zdolne są zarejestrować najmniejsze nawet stwardnienia piersi. Każdy taki czujnik połączony jest z wewnętrznym komputerem. Analiza sygnałów z czujników pozwala na precyzyjny rysunek ewentualnego guza. Badanie przy użyciu takiego robota ma między innymi tę zaletę, że ogranicza ilość koniecznych do diagnozy zdjęć rentgenowskich. A przecież promienie X same w sobie też niosą ryzyko nowotworu, więc korzyść jest podwójna.

Instalowanie robotów to nie tylko plusy. To masa zupełnie nowych problemów. To prawda, że roboty potrafią wykonać zadania niebezpieczne dla człowieka, to prawda, że będą w stanie pomóc w leczeniu. Lecz mają wielu wrogów, ponieważ zabierają ludziom pracę.

W Detroit, w centrum amerykańskiego przemysłu samochodowego niedawna recesja spowodowała utratę pracy przez tysiące ludzi. Wielu z nich sądziło, że jeśli uzbroją się w cierpliwość, to przy pomocy zasiłków dla bezrobotnych przeczekają kryzys i kiedyś wrócą na swoje miejsce pracy. Okazuje się, że nie wszyscy. Co najmniej trzydzieści do czterdziestu tysięcy miejsc pracy będzie skasowane. Na miejsce ludzi zainstaluje się różnego rodzaju automaty i roboty. W Ameryce robocizna była i jest bardzo droga, a pracownicy firm samochodowych uzyskali w przeszłości stawki bardzo wysokie. General Motors, Ford, Chrysler stoją wobec szalonej konkurencji samochodów japońskich. W chwili, gdy praca robota stała się tańsza od pracy ludzkiej, wybór mógł być tylko jeden.

Oczywiście, wraz z instalowaniem nowej techniki znikają jedne miejsca pracy, a powstają inne. Trzeba przecież projektować i budować owe roboty i sprzęt towarzyszący, trzeba roboty nadzorować, konserwować. Powstają też

całe nowe rodzaje usług, w których maszyna współpracować musi z człowiekiem. Tak, to prawda. Ale jest jasne, że te nowe miejsca pracy wymagają całkiem innych, znacznie wyższych kwalifikacji. jeśli więc montażysta czy spawacz od „Forda" chce wrócić do swej dawnej fabryki, musi zmienić zawód, dokształcić się. Na to zaś wielu nie ma ochoty. Prawdziwym problemem jest również kwestia, kto ma te kursy organizować i finansować.

Sięgnijmy znów do przykładów japońskich. Bezrobocie w Japonii jest najniższe w całym wysoko uprzemysłowionym świecie. Wynosiło w 1982 roku tylko dwa i pół procent. Z drugiej strony był to najwyższy poziom bezrobocia w Japonii od trzydziestu lat. Pod naciskiem związków zawodowych premier polecił szczegółowo przestudiować wpływ robotyzacji na rynek pracy. Japończycy utrzymują, że w ich kraju wprowadzenie robotów było motywowane inaczej niż w USA. Twierdzą, że obecną rewolucję technologiczną spowodowały wysokie koszty energii i rosnące ceny terenu. W Japonii jeśli roboty zastępują bezpośrednio robotnika, to jest on kierowany do innego działu tej samej firmy, do sekcji remontów, do usług lub do dystrybucji. O właściwe przeszkolenie troszczą się zarówno rząd, jak i firmy prywatne, które tradycyjnie gwarantowały swym pracownikom zatrudnienie aż do emerytury, czyli do ukończenia sześćdziesięciu lat. Nasuwa się pytanie, czy ten model ma przyszłość.

Przekwalifikowanie ludzi, przesuwanie ich do sektora usług to, bądź co bądź, zabieg doraźny. Chodzi o grupę ludzi, która jest teraz w wieku produkcyjnym oczywiście. Sądzić można, że następne pokolenie będzie już lepiej przygotowane do zachodzących zmian. Niemal każda amerykańska szkoła posiada komputer. Uczniowie bardzo wcześnie zapoznają się z logiką tej maszyny, jak i z wszelkimi możliwościami zastosowania. Można liczyć, że będzie to pokolenie łatwiej dające sobie radę ze zmianami na rynku pracy. Trzeba zdawać sobie sprawę, że będą one niebagatelne. Warto prześledzić zmiany w zatrudnieniu w Ameryce w ciągu ostatnich czterech dekad. W ciągu czterdziestu lat zatrudnienie w rolnictwie zmniejszyło się z dziewiętnastu i pół miliona do trzech milionów trzystu tysięcy ludzi. Prawie trzykrotny wzrost zanotowano zaś w budownictwie, finansach i zarządzaniu oraz administracji. Liczebność pracowników usług zwiększyła się o trzysta osiemdziesiąt osiem procent!

Niektórzy specjaliści sądzą, że zmiany jakie nas czekają są o wiele głębsze niż to, co stało się we wspaniałym okresie lat 1940-1980. Podkreśla się, że pojawienie się taniego robota i komputera zmieni oblicze wytwórczości. Mówiliśmy tu dotąd o wielkim przemyśle. Już dziś jednak w Japonii za kwotę raptem czterech tysięcy sześciuset dolarów można kupić mikrorobota „Move-Master II". Waży dwadzieścia siedem kilogramów, ma ramię z pięcioma przegubami, napęd elektryczny (lepszy od dawniej stosowanego hydraulicznego). Może współpracować z prawie każdym domowym mikrokomputerem, może też działać według stałego programu, zapisanego we własnym układzie pamięci. Rzecz idealna dla rzemiosła.

Można oczekiwać redukcji miejsc pracy w przemysłach samochodowym, stalowym i elektronicznym. Dziś roboty wkraczają do wszelkiej wytwórczości. Zapewne rychło zautomatyzują rolnictwo. Ale robotyzacja na tym się nie skończy. Następne dziedziny, w których takie czy inne automaty będą wypierać człowieka, to bankowość, ubezpieczenia, transport, łączność. Nowe technologie odmienić mogą całkowicie sektor usług, który – jak wspomniałem wyżej – w minionych latach najbardziej się rozrastał i wchłaniał najwięcej ludzi. Gotowe są już do upowszechnienia: elektroniczna poczta, sterowane głosem maszyny do pisania, zestawy do natychmiastowych analiz medycznych. Tempo i energia nadchodzących zmian wydają się wręcz niebezpieczne. Na przykład w Stanach Zjednoczonych w 1979 roku zainstalowanych było dwa tysiące robotów, do roku 1990 ma ich być co najmniej dwieście tysięcy. Podobnie jak to było w przypadku kieszonkowych kalkulatorów, cena robotów będzie gwałtownie spadała przy jednoczesnym wzroście możliwych zastosowań. To, o czym tu mowa, może być czubkiem góry lodowej. Czy potrafimy ją ominąć? Czy te zmiany nie wróżą katastrofy?

Warto sięgnąć do ostatniego „Raportu dla Klubu Rzymskiego" zatytułowanego: „Mikroelektronika a społeczeństwo: na dobre czy na złe?". We wstępie Alexander King pisze, że przewidywanie społecznych skutków rozwoju technologicznego jest dziś równie trudne, jak sto lat temu, gdy wydawało się, że głównym niebezpieczeństwem związanym z wprowadzeniem samochodu jest zagrożenie dla koni i świń, oraz że pędząc z przerażającą szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę ryzykuje się chorobę mózgu. Autor dochodzi do wniosku, że sednem sprawy będzie kwestia zatrudnienia. Pisze tak:

„(...) W przyszłości głównym przedmiotem zainteresowania jednostki może być w mniejszym stopniu zatrudnienie – w sensie, jaki przywiązujemy do tego pojęcia dzisiaj, w większym zaś, szerzej rozumiane zajęcie; zakres tego pojęcia będzie z pewnością obejmował czas poświęcony na wnoszenie wkładu w zaspokajanie potrzeb ekonomicznych społeczeństwa, który to czas będzie wynagradzany, będzie jednak również obejmował wybrane samodzielnie zajęcia dostarczające samospełnienia".

(Przekład Mariusz Kukliński)

Tak mówi niewątpliwy optymista. Trzeba zdać sobie sprawę, że gdyby nawet miało dojść do takiej sielanki, że człowiek będzie pracował więcej dla siebie, dla swych zainteresowań i samorealizacji, niż na potrzeby ogółu, to droga do takiego świata prowadzić będzie przez ciężkie konflikty. Można się spodziewać, że będą to konflikty poważniejsze od tych dziewiętnastowiecznych, kiedy w manufakturach kapitalista zaczął stosować maszynę parową, a rękodzielnicy myśleli, że uratują swe pozycje, niszcząc żelaznego konkurenta.

Ludzie kultury, humaniści, patrzą na postęp techniczny podejrzliwie. Karel Čapek, pisarz który sześćdziesiąt lat temu wymyślił roboty, zrobił to po to, by wykazać, że dla powszechnego szczęścia nie wystarczy zainstalować ileś-tam automatów. W powieści Čapka upowszechnienie się człekokształtnych robotów prowadzi do zagłady ludzkości.

Podobnie sądzi pisarz współczesny: „Nawet bardzo powierzchowna obserwacja współczesnego świata prowadzić musi do wniosku, że racjonalistyczny mit postępu nie spełnił swoich obietnic. Nasze doskonałe technologie nie tworzą automatycznie dobrobytu i bezpieczeństwa. Nasze nowoczesne formy rządów i administracji rodzą wciąż nowe konflikty. Nasze niezrównanie skuteczne bronie są tak skuteczne, że ich użycia nie usprawiedliwia już żadna sprawa, choćbyśmy uważali ją za najlepszą. Dusimy się i trujemy wyziewami przemysłu, który miał uczynić nasze życie łatwym i wygodnym. Sprawność naszych cudownych środków komunikacji maleje nieustannie w miarę wzrostu ich rozpowszechniania. Wielkie metropolie stają się piekłem nerwowego pośpiechu, zablokowanych połączeń, niewydolności służb publicznych, ogniskami napięć i niepokoi. Obumierają strefy naturalnej przyrody, jakość międzyludzkich stosunków poddanych nadmiernym ciśnieniom traci cechy organicznej spójni. Kultura współczesnych, zwłaszcza uprzemysłowionych społeczeństw daje niedwuznaczny wyraz rozczarowanej biurokracji".

(J. J. Szczepański)

Za rok w japońskiej miejscowości Tsukuba otworzy swe podwoje Wystawa Światowa EXPO-85. W październiku 1982 r. rozpoczęto tam prace budowlane. Podczas uroczystości lśniący czerwonym lakierem robot Mitsubishi majestatycznie zamaczał pędzel w naczyniu z tuszem i na białej planszy wymalował stary chiński znak „KOTOBUKI", co oznacza życzenia szczęścia, życzenia pomyślności.

Robot życzy ludziom szczęścia, bo tak został zaprogramowany. To, co przyniesie społeczeństwom nowa rewolucja technologiczna, też zależy od człowieka, od jego wiedzy i kultury. Programem do komputera dziejów jest system wartości, któremu będzie hołdował człowiek. To rozstrzygnie.

Feliks Kiryk

Żywoty królów

BOLESŁAW ŚMIAŁY

„Byłby on na pewno dorównał swymi czynami czynom przodków, gdyby nie kierował nim pewien nadmiar ambicji i próżności".

Z kroniki Galla Anonima

Kiedy Kazimierz Odnowiciel zamknął oczy na zawsze, jego pierworodny syn dobiegał 17 roku życia. O dzieciństwie i latach chłopięcych Bolesława nie dochowały się wiadomości. Domyślać możemy się jedynie, że wzrastał w atmosferze głośnych czynów swoich przodków, w tym szczególnie wielkiego pradziada i imiennika, Bolesława Chrobrego. Już we wczesnej młodości Bolesław przeznaczony został na władcę państwa, winien więc był dokonać czynów niepospolitych. Trawiony żądzą sławy rycerskiej i potrzebą dokonywania czynów bohaterskich, zapełnił czasy swego panowania nieprzerwanym pasmem ekspedycji wojennych oraz gorączkowym, nie zawsze przemyślanym do końca, rozwiązywaniem spraw wewnętrznych. Z charakteru i temperamentu stanowił typ władcy, którego osobowość i działalność zostały osadzone głęboko w realiach polskich.

Uznając wyższość spraw zagranicznych nad problemami wewnętrznymi, z wyraźną szkodą dla siły państwa, widział sens swoich rządów w nieustannej pogoni za rozwiązaniami spektakularnymi. Ogromna energia i umiejętność narzucania swojego zdania otoczeniu oraz niezwykły urok osobisty pomogły mu stać się wkrótce władcą nie znoszącym sprzeciwu, pochopnym, a niekiedy nawet lekkomyślnym w stawianiu sobie celów politycznych i dążeniu do ich osiągnięcia. Dodajmy jeszcze, że niemal do końca rządów nie opuszczało go szczęście wojenne, trafił też na czasy takiego układu sił w Europie, który sprzyjał powodzeniu jego planów politycznych. Linia sukcesów tego władcy wznosiła się ustawicznie, aby załamać się w 1079 r. gwałtownie. Najgorsze okazało się przy tym, że owa katastrofa Bolesława Śmiałego to nie konsekwencja biegu wydarzeń obiektywnych, lecz wynik ciężkich błędów króla w polityce wewnętrznej, na skutek niepohamowanej ambicji i niekontrolowanej gwałtowności usposobienia.

Data przyjścia na świat Bolesława, syna Kazimierza Odnowiciela i Dobroniegi Marii, i brata Władysława Hermana (oraz zmarłych przedwcześnie Mieszka i Ottona) – była przedmiotem sporu. Ustalono ją ostatecznie na 1041 r., przyjmując – zgodnie ze świadectwami źródłowymi – że był synem pierworodnym. Najstarsi kronikarze polscy (Gall Anonim i Mistrz Wincenty) nazywali Bolesława Szczodrym, źródła późniejsze opatrzyły jego imię przydomkami Śmiały, Waleczny, a nawet Zuchwały, nie przekazując równocześnie jakiejkolwiek wiadomości o wychowaniu i wykształceniu tego władcy.

Nie jest to, niestety, kres niedostatku informacji. W biografii Bolesława Śmiałego występuje niemało innych luk i spraw niejasnych. Uruchamiały one za to wyobraźnię annalistów i kronikarzy, którzy wyostrzyli już w średniowieczu kontrowersyjność postaci. Pozostała taką do dzisiaj, fascynując pokolenia nie tylko historyków polskiego średniowiecza, lecz także szerokie grono miłośników dziejów ojczystych.

Wracając do młodości księcia wypadnie podnieść, że posiadł on pierwociny wykształcenia umysłowego przynajmniej w zakresie pisania i czytania oraz języków obcych. Domysł ten znajduje oparcie w stosowanym od czasów Mieszka I kanonie kształcenia członków dynastii piastowskiej oraz w pobycie w szkołach klasztornych ojca Bolesława, Kazimierza, a także w umiejętności pisania po łacinie przez ciotkę Gertrudę. Owo wykształcenie umysłowe było z pewnością tylko uzupełnieniem o wiele szerszego programu wychowania rycerskiego, którego składniki – od jazdy konnej i obchodzenia się z bronią podczas łowów, turniejów i walk z wrogiem po obyczaj dworski i sztukę wojenną – były bliższe zamiłowaniom i osobowości Bolesława. Nie znani nam wychowawcy i nauczyciele zdołali mu nadto wpoić silne poczucie godności osobistej i świadomości spadkobiercy sławy po wielkich przodkach, także w linii żeńskiej, wśród których nie brakło potomków rodu cesarzy niemieckich i wielkich książąt ruskich, książąt czeskich i panów lotaryńskich.

Przejmując w 1058 r. władzę, dziedziczył państwo ogarniające główne dzielnice (małopolską, wielkopolską, śląską i mazowiecką oraz Pomorze Gdańskie), tyle że nad Śląskiem ciążył jeszcze coroczny trybut na rzecz Czech, zaś związek z Pomorzem był z pewnością bardzo luźny. Debiut polityczny Bolesława – według kroniki Galla Anonima – nie był zachęcający. *„Albowiem gdy na początku swego panowania władał zarówno nad Polakami, jak Pomorzanami i zgromadził ich niezmierne mnóstwo w celu oblężenia grodu Hradec, a to przez swój lekkomyślny upór nie tylko że nie zdobył grodu, lecz nadto zaledwie uszedł z zasadzek czeskich i w ten sposób utracił panowanie nad Pomorzem".* Kronikarz przekazał zatem wiadomość o dwu niepowodzeniach Bolesława i klęsce wyprawy na Czechy oraz powiązanym z nią wyrwaniu się Pomorzan spod wpływów polskich. Dodał jednakże od razu, jakby dla usprawiedliwienia młodego władcy, że *„nie ma się co dziwić, jeśli ktoś nieco zbłądzi z nieznajomości rzeczy, skoro zdoła potem mądrością naprawić to, co zaniedbał".*

Dzisiaj wiadomo na pewno, że gra szła o Węgry i owa wyprawa na czeski Hradec nie była wcale lekkomyślnością Bolesława, lecz z góry zaplanowaną demonstracją siły wobec Czech, w celu uniemożliwienia im udziału w cesar-

skiej wyprawie zbrojnej przeciw królestwu węgierskiemu. Dodać tu trzeba od razu, że młody władca polski opowiedział się za dążeniami do tronu węgierskiego ze strony księcia Beli, prowadzącego bratobójczą wojnę z Andrzejem, który zapewnił sobie poparcie dyplomatyczne i zbrojne cesarstwa. Pobyt Beli w Polsce na przełomie lat 1059 i 1060 doprowadził do uzgodnienia sposobów akcji zbrojnej, przy czym strona polska przekazała mu siły główne, pozostawiając dla zaszachowania wojsk czeskich i stworzenia pozorów wielkiej wyprawy, niezbyt liczny i nie najbardziej doborowy (skompletowany głównie z Pomorzan) zastęp zbrojnych. Prowadził go jednak Bolesław osobiście, nie biorąc udziału w kampanii głównej na Węgry, gdzie nie chciał się ujawnić oficjalnie jako przeciwnik cesarza. Plan został zrealizowany poprawnie. Atak Bolesława na Hradec wyeliminował z wojny po stronie Andrzeja węgierskiego siły czeskie oraz przysłane mu na pomoc wojska cesarskie, wskutek czego Bela osaczył armię przeciwnika i zdołał ją pobić na głowę, niszcząc niemiecką armię ekspedycyjną. Pozostali przy życiu jej najznamienitsi dowódcy dostali się do niewoli, zaś ciężko ranny Andrzej wyzionął ducha jeszcze podczas bitwy. Zwycięzca skierował się ku stolicy, gdzie 6 grudnia 1060 r. ukoronował się na króla Węgier. Strona polska zyskała w nim wiernego sojusznika, przestała też definitywnie płacić księciu czeskiemu trybut ze Śląska, straciła jednak swoje wpływy na Pomorzu Gdańskim.

Dalsze lata przyniosły sukcesy. Nastąpiła normalizacja stosunków z Czechami. Ich władca, książę Wratysław (wierny stale sprzymierzeniec czeski), ożenił się nawet (1062) ze Swatawą, siostrą Bolesława. Władca polski ruszył na Pomorze i odzyskał je prawdopodobnie już w 1063 r. Były to wydarzenia ważne, tłumaczące nie tylko absencję polską w wypadkach węgierskich z tego roku, które po niespodziewanej śmierci Beli oddały kraj znowu pod wpływy cesarskie i zmusiły jego syna Gejzę do opuszczenia ojczyzny, lecz także obecność w planach Bolesława horyzontu skandynawskiego, udokumentowanego tak interesująco przez zapewnienie królowi duńskiemu w 1069 r. pomocy polskiej w najeździe na Anglię.

Jednakże wypadki węgierskie obniżyły znaczenie sukcesu pomorskiego. Śmierć Beli i rozsypka jego wojsk naruszyły wyraźnie koncepcje polityczne Bolesława, zmierzającego systematycznie do osłabienia cesarstwa w celu wyrwania Polski spod niemieckich wpływów lennych. Było jasne, że o powodzeniu tej polityki mógł zdecydować tylko sojusz z Węgrami, których byt niepodległy był również zagrożony od strony Niemiec. Wygnany Gejza znalazł w Polsce oparcie, oddano mu do dyspozycji niemałe siły zbrojne, aby mógł ich użyć jak najrychlej do walki przeciw oddziałom stryjecznego brata Salomona, ożenionego z siostrą króla niemieckiego, Judytą, i liczącego na wsparcie zbrojne potężnego szwagra. Wkroczenie wojsk polskich spowodowało popłoch w obozie Salomona i odstępowanie odeń wojów, którzy przechodzili na stronę Gejzy. Zbliżająca się niechybnie całkowita klęska Salomona zmusiła go do podjęcia rokowań z Gejzą, które przeprowadzili w styczniu 1064 r. biskupi węgierscy. Rezultatem owych układów był tzw. pokój rabski, który pozostawiał Salomonowi koronę węgierską, zaś Gejzie przyznał oddzielne księstwo, odsuwając skutecznie od Węgier widmo interwencji niemieckiej. Porozumienie to okazało się trwałe, gdyż dopiero w 1074 r. zdecydował się Gejza razem z młodszymi braćmi Władysławem i Lambertem wystąpić zbrojnie przeciw niepopularnemu Salomonowi, nie bacząc na grożącą mu wskutek tego niemiecką wyprawę zbrojną. Istotnie Henryk IV wysłał natychmiast swoją armię na pomoc Salomonowi, nakazując równocześnie Wratysławowi czeskiemu, aby wkroczył na ziemie Polski południowej w celu zaryglowania pomocy dla Gejzy ze strony Bolesława Śmiałego. Mimo że lennik czeski wykonał polecenie Henryka IV i nie dopuścił do wyprawy polskiej na Węgry, interwencja niemiecka przeciwko Gejzie skończyła się klęską. Nie dopuścił on bowiem do walnej bitwy, a cofając się niszczył za sobą wszystko, z czego mogłoby skorzystać wojsko nieprzyjacielskie. Zaczęło odczuwać ono rychło niedostatek żywności i paszy, a następnie głód i epidemie, wskutek czego król niemiecki zarządził odwrót, zabierając Salomona z sobą do Niemiec. Gejza skupił w swoim ręku całość dzierżaw węgierskich i dostąpił upragnionej koronacji na króla Węgier. Niemała radość z powodu klęski Henryka IV zapanowała w Polsce, gdzie orientowano się dobrze, że prowęgierska polityka przyniosła pożądane wyniki również na polu stosunków polsko-niemieckich. Sojusz z Węgrami został umocniony jeszcze po rychłej śmierci Gejzy (1077), kiedy nie dopuszczono do tronu węgierskiego, przebywającego ciągle w Niemczech, króla Salomona, a koronę świętego Szczepana posiadł, dzięki pomocy polskiej, wychowany w Krakowie „prawie Polak", wspomniany już królewicz Władysław.

Jest zatem zastanawiające, że obdarzony gwałtownym charakterem Bolesław Śmiały potrafił znosić zwierzchnictwo niemieckie cierpliwie przez 14 lat swoich rządów, powstrzymując się od otwartej wojny z Henrykiem IV, mimo że głównym celem jego polityki było uwolnienie się spod wpływów cesarskich i odzyskanie utraconej przez dziada korony królewskiej. A jednak pozostanie faktem, że jeszcze jesienią 1071 r. zjawił się na zjeździe w Miśni jako lennik Henryka IV, aby wysłuchać jego niezadowolenia z powodu najazdu polskiego na przełomie lat 1070 i 1071 na dzierżawy czeskie. Obecności Bolesława w Miśni przypisuje się nie tylko lenny charakter. Polski władca spotkał w otoczeniu króla niemieckiego wielu ludzi z opozycji antykrólewskiej, do której zaliczał się zwłaszcza przychylny Bolesławowi biskup miśnieński Bennon, niebawem czołowy przeciwnik Henryka IV w jego walce z papieżem Grzegorzem VII. Tu odnowił kontakty z wrogo nastawionymi do króla niemieckiego panami saskimi. Zjazd miśnieński wykorzystał Bolesław zatem dla rozpoznania sił politycznych w Niemczech. Wypadło ono pomyślnie dla polskich interesów, ośmielając polskiego księcia do zerwania stosunku wasalnego względem Henryka IV.

Pierwszym krokiem ku temu był kolejny najazd Bolesława na księstwo czeskie, dokonany w niecały rok po spotkaniu miśnieńskim, do którego zachęciły stronę polską kłopoty wewnętrzne księcia Wratysława. Ale nie Czechy były głównym celem tej agresji. Bolesławowi zależało najwyraźniej na sprowokowaniu króla niemieckiego do podjęcia interwencji zbrojnej w obronie napadniętego wiernego lennika czeskiego. Nie były to założenia mylne. Już w maju 1073 r. Henryk IV zarządził wyprawę odwetową przeciwko Polsce. Tymczasem, ku zupełnemu zaskoczeniu, wybuchło w Niemczech powstanie saskie, przekreślając zamysł wielkiej kampanii zbrojnej przeciw Polsce. Jego wybuch poczytuje się za wielki sukces dyplomatyczny Bolesława, który pozostawał w ścisłym współdziałaniu ze sprzysiężeniem saskim, a również z posiłkującymi go Lutykami. Istnieje nawet pogląd, że sojusz sasko-lutycki był dziełem polskiego księcia.

Ofensywa dyplomatyczna Bolesława, obejmująca dotąd Węgry i Ruś oraz kraje niemieckie i królestwo duńskie, została niebawem poszerzona o kurię rzymską. W wojnie potęg uniwersalnych o panowanie nad światem, która rozgorzała z niezwykłą siłą pomiędzy papieżem Grzegorzem VII a królem niemieckim Henrykiem IV, Polska stanęła po stronie papieża, dostrzegając w nim znakomitego

sprzymierzeńca w dążeniach polskich do wyzwolenia się spod wpływów niemieckich i odzyskania korony królewskiej. Wartość papieskiego poparcia docenił Bolesław już w 1074 roku, kiedy Grzegorz VII wystąpił przeciw Salomonowi, poplecznikowi Henryka IV, i uznał pretensje Gejzy do tronu i korony królewskiej. Stosunki Bolesława Śmiałego z papiestwem ilustruje zaledwie jeden list, datowany 25 kwietnia 1075 r., ponieważ inne tego rodzaju zabytki źródłowe nie zachowały się. Świadczy on jednak, że kontakty polskiego władcy z Grzegorzem VII były istotnie zażyłe, gdyż wskazuje na to nie tylko użyta w stosunku do Bolesława tytulatura, lecz także przychylność i poparcie dla jego zamiarów politycznych. Dowiadujemy się z niego m.in. o przyjętych przez stolicę papieską od polskiego władcy darach i nadaniach, o złamaniu pychy jego nieprzyjaciół (niezawodnie mowa o Henryku IV), o wysłaniu do Polski legatów dla dopilnowania spraw kościelnych.

Czy owi wysłannicy papiescy przywieźli zgodę na koronację Bolesława, czy została ona wyrażona przez Grzegorza VII już po ich wyjeździe, tego nie da się ustalić. Jest faktem, że Bolesław dopiął najważniejszego celu w swoim życiu: w dzień Bożego Narodzenia 1076 r. ukoronował się na króla, wskrzeszając po z górą czterdziestoletniej przerwie królestwo polskie. Wielka rzesza dostojników kościelnych, wśród których nie zabrakło również legatów papieskich, podniosła rangę uroczystości koronacyjnych, nadając im wymiar międzynarodowy. Zgodnie z przewidywaniem, koronacja wywołała gwałtowne protesty w kołach niemieckich. Oznaczała bowiem zerwanie wszelkich zależności lennych od Niemiec i pełne usamodzielnienie się państwa polskiego.

Znaczenie podstawowe w polityce zagranicznej Bolesława miały również stosunki z Rusią. Godny przypomnienia jest przecież fakt, że z dworu kijowskiego pochodziła matka polskiego władcy, a i on przywiózł stamtąd żonę dla siebie. Nie była to jednak Ruś dawna, o autorytecie międzynarodowym, szczycąca się koligacjami dynastycznymi z Francją, Niemcami, Danią, Szwecją, Polską, Węgrami i Bizancjum. Po śmierci Jarosława Mądrego weszła w okres podziałów dzielnicowych i wojen domowych, będących zewnętrznym przejawem procesów feudalizacyjnych. Nie był w stanie utrzymać jedności państwowej pierworodny syn i następca wspomnianego Jarosława Mądrego, wielki książę kijowski Izjasław, którego zresztą (po klęsce w wojnie z Połowcami w 1068 r.) z Kijowa wypędzono. Jako krewniak Bolesława Śmiałego (przez ciotkę Dobroniegę Marię i żonę Gertrudę) schronił się do Polski, licząc na pomoc w odzyskaniu utraconego tronu wielkoksiążęcego. Nie wiadomo dzisiaj czy więzy rodzinne, czy raczej nadzieje na bogate łupy, skłoniły Bolesława do zbrojnej interwencji w interesie Izjasława. Wyprawa ruszyła wiosną 1069 r. i nie napotkała zbrojnego oporu, gdyż wyniesiony uprzednio na tron kijowski kniaź Wszesław (stryj Izjasława) zbiegł do rodzinnego Połocka. W dniu 2 maja oddziały polskie wkroczyły do Kijowa, przywracając Izjasławowi tron wielkoksiążęcy. W świetle przekazów źródłowych Bolesław odniósł się do niego lekceważąco, a zajęty kraj traktował jako zdobycz wojenną. Dziesięciomiesięczny pobyt wojów polskich w Kijowie i w grodach okolicznych dał się miejscowej ludności, na skutek rabunków i gwałtów, we znaki tak dalece, że zmusił ją do zbrojnego przeciwstawienia się najeźdźcom. Napady tubylców na pojedynczych wojów oraz na niewielkie oddziały polskie skłoniły Bolesława ostatecznie do powrotu. Zdobyczą terytorialną wyprawy było przyłączenie do Polski na kilkanaście lat Grodów Czerwieńskich.

Izjasław nie utrzymał się długo na tronie kijowskim. W 1073 r. wszedł w ostry konflikt z młodszymi braćmi (Świętosławem, Wsiewołodem, Igorem i Wiaczesławem), którzy pozbawili go władzy i wypędzili ze stolicy wielkoksiążęcej. Skierował się znowu do Krakowa, gdzie Bolesław udzielił mu gościny, ale wolał już nie popierać jego sprawy. Po pewnym czasie ułożył się nawet ze Świętosławem, nowym księciem kijowskim, i za cenę sojuszu zdecydował się na pokazanie Izjasławowi „drogi do siebie", odbierając mu jeszcze część przywiezionych z Kijowa kosztowności. Zawiedziony i rozgoryczony Izjasław udał się wówczas do Niemiec dla zjednania sobie Henryka IV, któremu przedstawił *„niezmierzone bogactwa w naczyniach złotych i srebrnych i drogocennych szatach"*. Tu również pomocy nie znalazł. Podążył zatem do papieża Grzegorza VII, którego zainteresowała możliwość objęcia ziem ruskich wpływami papieskimi i podporządkowania ich pod względem kościelnym kurii rzymskiej. W planach papieskich zakładano bowiem podporządkowanie kościołowi rzymskiemu całej Europy od Pirenejów po Dniepr oraz Skandynawii po Sycylię. Grzegorz VII poparł zatem skwapliwie dążenia Izjasława do powrotu na tron kijowski, zobowiązując Bolesława Śmiałego do udzielenia mu pomocy. Życzenie papieskie odebrano w Krakowie chłodno. Bolesław nie chciał dopuścić do zerwania pokojowych stosunków z księciem Świętosławem, przynoszących korzyści obu stronom. Nie sprzeniewierzył się więc temu sojuszowi, odwlekając przez dwa lata wymuszoną przez Grzegorza VII interwencję zbrojną w sprawie Izjasława. Granicę ruską przekroczył dopiero latem 1077 r., kiedy książę Świętosław już nie żył. Ponowne osadzenie Izjasława na tronie kijowskim nie napotkało większych przeszkód i odbyło się bez przelewu krwi. Trudności wystąpiły kilka miesięcy później, kiedy książę kijowski utracił poparcie poddanych i utrzymywał się przy władzy tylko dzięki wsparciu polskiemu. Pomoc ta, a może inne jeszcze względy, przedłużyły pobyt Bolesława na Rusi ponad miarę. Pozostawienie kraju bez władcy i rycerstwa przez co najmniej rok okazało się fatalne tak dalece, że wynikłych stąd klęsk nie były w stanie zrównoważyć nawet najbogatsze łupy. Tkwiły w tym przyczyny wygnania króla z kraju.

Do niedawna starano się przedstawiać katastrofę króla wyłącznie na podstawie (najbliższej wydarzeniu, ale bardzo w tym miejscu małomównej) kroniki Galla Anonima, który o ważnej tej sprawie zanotował: *„Jak zaś doszło do wypędzenia króla Bolesława z Polski długo byłoby o tym mówić, tyle wszakże można powiedzieć, że sam będąc pomazańcem (Bożym) nie powinien był (drugiego) pomazańca za żaden grzech karać cieleśnie. Wiele mu to bowiem zaszkodziło, gdy przeciw grzechowi grzech zastosował i za zdradę wydał biskupa na obcięcie członków. My zaś ani nie usprawiedliwiamy biskupa – zdrajcy, ani nie zalecamy króla, który tak szpetnie dochodził swych praw – lecz pozostawmy te sprawy, a opowiedzmy, jak przyjęto go na Węgrzech"*.

Kilka linijek tekstu Gallowego przekazało informacje sensacyjne. Oto król skazał biskupa krakowskiego za ciężkie przewinienie (które kronikarz nazwał zdradą) na obcięcie członków, ale wyrok ten nie uszedł mu bezkarnie. Śmierć biskupa przyczyniła się do wygnania z kraju Bolesława, który musiał szukać schronienia na przyjaznej ziemi węgierskiej. Niestety, kronikarz podał wiadomość tylko o skutkach konfliktu, przemilczając jego przyczyny.

Nie ułatwia to, rzecz jasna, zrozumienia problemu, który jeden z wybitnych badaczy wczesnego średniowiecza polskiego nazwał „strąceniem i zegnaniem Bolesława". Ale zestawienie stanowisk uczonych na ten temat równałoby się podjęciu kwestii zbyt obszernej, zbyt specjalistycznej, a nawet zbędnej z pozycji czytelnika nie zaznajomionego bliżej z dziejami kraju w XI stuleciu. Poprzestaniemy zatem na stwierdzeniu, że uznanie króla za głównego winowajcę śmierci biskupa krakowskiego Stanisława ze Szczepanowa doprowadziło do wielu sądów skrajnych.

Pisarze średniowieczni (a za nimi również późniejsi), dla

których zabójcą świętego mógł być tylko człowiek do gruntu zepsuty moralnie i fizycznie, eksponowali, jako źródło konfliktu, nieustanne przywoływanie króla przez biskupa do życia godnego, co nie przyniosło skutków pozytywnych, gdyż król rozdrażniony nieznośnym dla siebie karceniem, a później ekskomuniką, dokonał na biskupie mordu podczas nabożeństwa. Na tym tle powstał sąd, mający zwolenników również wśród historyków współczesnych, o silnym niezrównoważeniu psychicznym Bolesława, a nawet jego chorobie umysłowej, odziedziczonej rzekomo po swoich (przeważnie ruskich) przodkach. Inni natomiast widzieli w nim władcę twardej karzącej ręki, wyciągniętej przeciw zbuntowanym wielmożom, usiłującym przechwycić drogą powstania (podczas królewskiej wyprawy na Ruś) władzę w kraju i oddającym ster rządów bratu królewskiemu, uległemu Władysławowi Hermanowi.

Stanowiska te uznajemy dzisiaj za uproszczone i schematyczne, mimo że w każdym z nich tkwi z pewnością jakaś część prawdy. Odnotujmy tu, że Stanisław ze Szczepanowa wywodził się z małopolskiego rodu rycerskiego, rozsiadłego nad dolną Rabą (do dzisiaj istnieje tam wieś parafialna o nazwie Szczepanów) i karierę duchowną zawdzięczał nie tak urodzeniu czy majątkowi, jak pracy nad sobą. Jeden z trzynastowiecznych historiografów (Wincenty z Kielc) podał bowiem, że przyszły biskup krakowski był *„Człowiekiem wykształconym i oświeconym w sprawach Bożych"*, sugerując, iż odbył on studia zagraniczne w jakimś ważnym ośrodku naukowym. Nie należy jednak sądzić, że wykształcenie wyniosło go na stolicę biskupią w Krakowie. Mianowanie dostojników kościelnych spoczywało w tych czasach wyłącznie w rękach króla, a zatem nominacja Stanisława na biskupa krakowskiego, przypadająca na 1072 r., doszła do skutku z woli Bolesława i dotyczyła osoby, którą władca darzył zaufaniem i spodziewał się od niej pomocy w rządach krajem. Spotkać można nawet opinie o bliskich więzach przyjaźni między tymi ludźmi, zwłaszcza że urodzony ok. 1039 r. Stanisław był niewiele starszy od króla. Również analiza rządów Stanisława w diecezji krakowskiej zwraca uwagę na brak śladów konfliktu króla z biskupem w pierwszym sześcioleciu jego pasterzowania. Nie można sobie wreszcie wyobrazić braku udziału biskupa krakowskiego w polityce królewskiej wobec kurii rzymskiej i cesarstwa, która przyniosła wzmocnienie pozycji Polski w Europie, a Bolesławowi w 1076 r. koronę królewską, ani też w polityce króla wobec biskupstw polskich, które zakładał (jak np. biskupstwo płockie), uposażał i umacniał. Pogląd, jakoby Stanisław ze Szczepanowa starał się podnieść biskupstwo krakowskie, wbrew woli Bolesława, do godności arcybiskupstwa i tu zlokalizować metropolię kosztem Gniezna, należy również do konstrukcji nie popartych argumentami źródłowymi, gdyż odnowienie przez króla metropolii gnieźnieńskiej z podległymi jej sufraganiami następowało przy udziale Stanisława i stało się faktem jeszcze przed koronacją Bolesława.

Przyczyn tragicznego sporu między Stanisławem ze Szczepanowa a królem przychodzi więc szukać na innych polach działalności biskupa oraz w miesiącach, które następowały po powrocie Bolesława z ostatniej wyprawy kijowskiej.

Z pomocą przychodzi tu, odsądzane do niedawna od jakiejkolwiek wartości faktograficznej, dzieło Mistrza Wincentego, który – poza spreparowanymi zgrabnie dla potrzeb kroniki tekstami autorów antycznych – podał szereg wiadomości uzupełniających znany nam już przekaz Gallowy. Zaakcentował silnie niezadowolenie z polityki króla, który *„... z takim zapamiętaniem prowadził ... wojnę, iż rzadko przebywał w zamku, ciągle w obozie, rzadko w ojczyźnie, zawsze u przyjaciół. To zamiłowanie ile państwu przyniosło korzyści, tyle sprawiło kłopotu, ile dawało sposobności do uczciwej zaprawy, tyle zrodziło wstrętnej pychy. Gdy bowiem król długo przebywał już to u Rusinów, już to w okolicach ..., niewolni nakłaniają żony i córki panów do ulegania ich chuciom: jedne znużone oczekiwaniem mężów, inne doprowadzone do rozpaczy, niektóre przemocą dają się porwać w objęcia niewolników. Ci zajmują domostwa panów, obwarowują miasta, nie tylko zabraniają panom powrotu, lecz nawet wojnę po powrocie im wydają. Za tak niezwykłe zuchwalstwo panowie wytracili ich, wydawszy na niezwykłe męki. Również i niewiasty, które dobrowolnie uległy niewolnym, miały ponieść zupełnie słuszną karę, gdyż poważyły się na okropny, niesłychany występek, którego nie da się porównać z żadną zgoła zbrodnią"*.

Pozostaje faktem bezspornym, że absorbujące czas i siły fizyczne, a także kosztowne interwencyjne wyprawy zbrojne Bolesława, organizowane (od 1069 r.) systematycznie co roku, dawały się we znaki nie tylko rycerstwu, lecz także ludności wieśniaczej, zmuszanej do różnorodnych świadczeń w żywności i paszy, transporcie i posługach. Udało się ustalić, że doprowadziły one (tuż przed wygnaniem króla) do powstania ludu wiejskiego, zapewne nie tylko we włościach królewskich. Doszło również do samowolnego opuszczenia drużyny królewskiej przez rycerzy i wojów, zbyt długo oderwanych od kraju i rodzin. Wszystko to razem osłabiało blask zwycięstw i obniżało autorytet władcy, który przecież posiadał w kraju nie samych tylko zwolenników. Nie wszystkim podobała się bowiem koronacja Bolesława, nadająca jego władzy sankcję boską, a ograniczająca prawa dziedziczne nie koronowanych członków dynastii i obniżająca wpływy możnych, zmuszonych do uznania silnej władzy centralnej. Doszło do represji. Rycerstwo wyciągało konsekwencje w stosunku do chłopów, król karał ostro dezerterów i tych, którzy prowadzili krytykę jego rządów. Zaczęły się mnożyć skrytobójstwa i pozbywanie się ludzi niewygodnych. Mistrz Wincenty skomentował to następująco: *„Bolesław bowiem, poniechawszy oddania dla prawości, wojnę prowadzoną z nieprzyjaciółmi zwrócił przeciwko swoim. Z myślą, że oni (możni i rycerstwo) nie mszczą na ludzie swoich krzywd, lecz w osobie króla nastają na majestat ... Domagał się przeto głowy dostojników, a tych, których otwarcie dosięgnąć nie może, dosięga podstępnie. Nawet niewiasty, którym mężowie przebaczyli, z tak wielką prześladował potwornością, że nie wzdragał się od przystawienia do ich piersi szczeniąt po odtrąceniu niemowląt, nad którymi nawet wróg by się ulitował ... Gdy prześwięty biskup krakowian Stanisław nie mógł odwieść go od tego okrucieństwa, najpierw groził mu zagładą królestwa, wreszcie wyciągnął ku niemu miecz klątwy. Atoli on, jak był zwrócony w stronę nieprawości w dziksze popadł szaleństwo.... Rozkazał więc przy ołtarzu, w infule, nie okazując uszanowania ani dla stanu, ani dla miejsca, ani dla chwili – porwać biskupa! Ilekroć okrutni służalcy próbują się rzucić na niego, tylekroć skruszeni, tylekroć na ziemię powaleni, łagodnieją. Wszak tyran, łżąc z wielkim oburzeniem, sam podnosi świętokradzkie ręce, sam odrywa... pasterza od owczarni. Sam zabija..., biskupa niewinnego najokrutniejszy świętokradca rozszarpuje, poszczególne członki na najdrobniejsze szczątki rozsiekuje"*.

A więc momentem zwrotnym w kształtowaniu się nieprzychylnego, a następnie wrogiego stosunku króla do biskupa krakowskiego było publiczne napiętnowanie przezeń władcy za politykę krwawych represji na przeciwnikach, a kiedy nie przyniosło to wyników, rzucona nań ekskomunika (czy nawet klątwa), zwalniająca poddanych od przysięgi wierności wobec panującego i pozwalająca – w razie nieodbycia pokuty – na pozbawienie go tronu. Wywołała ona wybuch gwałtownego gniewu, który kierował Bolesława ślepo ku zemście na wiarołomnym współpracowniku, będącym, w opinii władcy, przywódcą zbuntowanej opozycji. Los Stanisława ze Szczepanowa był przesądzony. Dlatego sprawą drugorzędną jest okoliczność, czy okrutnego mordu w dniu 11 kwietnia 1079 r. na biskupie – jak to opisuje Kadłubek – dokonał król osobiście, czy uczynili to królewscy siepacze. Oględziny w 1963 r. przez specjalistów od medycyny sądowej czaszki Stanisława ze Szczepanowa

(dochowanej do naszych czasów w relikwiarzu z 1504 r., ufundowanym przez królową Elżbietę Rakuszankę) wykazały, że należała ona do mężczyzny liczącego około 40 lat i posiada silne wgniecenie urazowe na kości potylicznej, zadane tępokrawędzistym narzędziem oraz inne wgniecenia drobniejsze. W opinii biegłych urazy te mogły być przyczyną zgonu.

Śmierć biskupa stała się hasłem do wystąpienia przeciw królowi możnych i rycerstwa, przy czym na czele powstania stanął, jak można się domyślać, Sieciech z rodu małopolskich Starżów, później główna postać w życiu politycznym kraju. Bolesław udał się na Węgry z myślą zorganizowania pomocy i rychłego powrotu do opuszczonego królestwa. Ale plan ten się nie powiódł. W 1081 r., w okolicznościach bliżej nieznanych, nastąpiła śmierć króla, znajdującego się w sile wieku i z pewnością w pełni zdrowia; jest wysoce prawdopodobne, że dosięgła go ręka skrytobójcy, być może nawet nasłanego z kraju ojczystego.

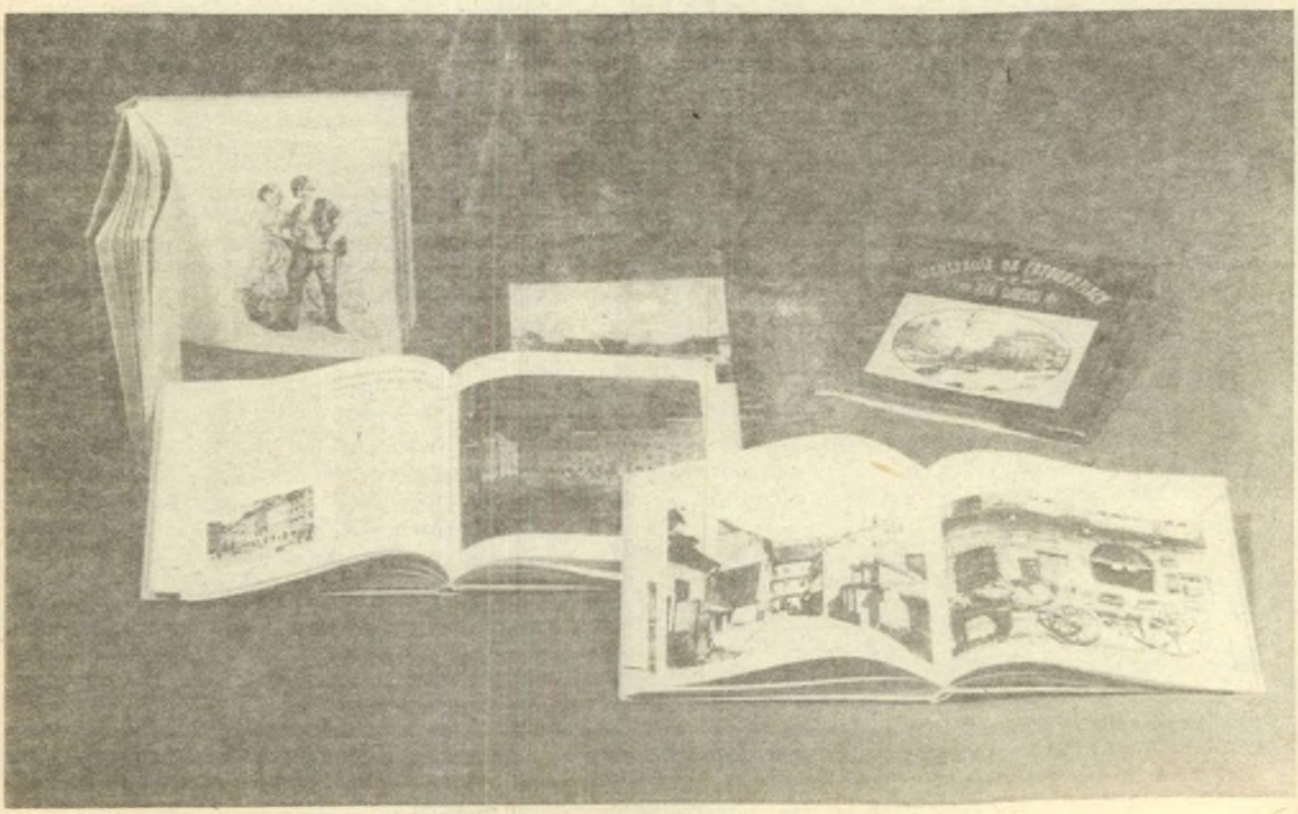
Finał panowania najwybitniejszego w XI stuleciu (po Chrobrym) Piastowicza był ogromnie niepomyślny. Brat i następca wypędzonego króla, Władysław Herman, otrzymał władzę w kraju z rąk buntowników, pragnących sojuszu z Niemcami i Czechami. Zaprzepaszczono w ten sposób na wieki całe koronę królestwa, a także tak ciężko wywalczoną suwerenność państwową, degradując kraj do uległego cesarstwu niemieckiemu ościennego księstwa. Klęska i śmierć Bolesława Śmiałego skomplikowała również sytuację papieża Grzegorza VII we Włoszech i przyczyniła się walnie do jego upadku. W stosunkach wewnętrznych Polski nastąpił spadek siły władzy centralnej i wzrost znaczenia możnowładztwa, czyli tzw. tendencji poliarchicznych.

Życie osobiste i rodzinne Bolesława pozostaje poza zasięgiem obserwacji historyka, gdyż skromny zasób źródeł nie dostarcza w tej mierze istotnych wiadomości. Nie znamy nawet imienia jego żony i dopiero Jan Długosz podał, że była nią Wiaczesława, córka któregoś z książąt ruskich, ale imię to nie jest pewne. Także data zaślubin z nią nie jest znana, wiadomo jedynie, że doszło doń przed 1069 r., gdyż w tym roku właśnie urodził się Bolesławowi syn Mieszko. Z żoną i synem udał się w 1079 r. na wygnanie, ale nie da się na tej podstawie orzekać o trwałości Bolesławowego małżeństwa. Wspomniany dopiero co Jan Długosz wprowadził w biografię króla wątek romansowy, zamieszczając opowiadanie o urodziwej Krystynie, żonie rycerza Mściwoja z Bużenina, którą Bolesław porwał i uczynił swoją nałożnicą. Zdaje się jednak, że i ta opowiastka została wymyślona później dla potrzeb hagiograficznych, gdyż żywoty świętego Stanisława informują zgodnie, że biskup odciągał króla od rozpusty.

W legendę obrósł również pobyt króla na Węgrzech. Oto w celach pokutniczych Bolesław miał wstąpić do klasztoru w Ossyaku (w Karyntii) w charakterze braciszka zakonnego. Wykazano jednak, że podanie to pochodzi dopiero z XV w. i jest wymysłem hagiografów krakowskich. Losy króla podczas tułaczki węgierskiej są nam po prostu nie znane.

Wiadomo jednak, że po śmierci Bolesława królewicz Mieszko wychowywał się na dworze Władysława, króla węgierskiego, który – według miarodajnej opinii Galla Anonima – *„kochał go miłością ojcowską, jakby syna. Sam zaś chłopiec istotnie przewyższał wszystkich, zarówno Węgrów, jak Polaków, szlachetnymi obyczajami i pięknością i zwracał na siebie uwagę wszystkich jawnymi dowodami, pozwalającymi wróżyć mu przyszłe panowanie. Stąd stryj jego, książę Władysław, postanowił wezwać chłopca – pod złą wróżbą – z powrotem do Polski i ożenić go – na próżno niestety – z ruską dziewczyną. Żonaty więc młodzieniaszek, gołowąsy a piękny, tak właściwie i rozumnie postępował, tak przestrzegał starego obyczaju przodków, że cały kraj upodobał go sobie. Lecz wrogi pomyślności śmiertelnych los w boleść zamienił wesele i w kwiecie wieku przeciął nadzieję (pokładaną) w jego zacności. Powiadają mianowicie, że jacyś wrogowie z obawy, by krzywdy ojca nie pomścił, trucizną zgładzili tak pięknie zapowiadającego się chłopca".*

Przypadające na 1089 r. otrucie Mieszka Bolesławowica przez te same siły polityczne, które pozbyły się jego ojca, stanowi epilog tragicznych wydarzeń, usuwających z areny politycznej i ze świata główną, królewską linię Piastów.



Michał Choromański

Opowiadanie BANALNE

Przyczyna i początek wszystkiego kryły się w zmiętym kołnierzyku męża i również na tym kołnierzyku skończyło się wszystko. Mąż przyszedł wieczorem zmachany i milczący jak zwykle. Włożył starą marynarkę i ponieważ kołnierzyk wydał mu się za ciasny, zdjął go i cisnął na stół.

– Dobry wieczór – powiedziała pani Anna, aby coś powiedzieć.

Lecz mąż nawet nie spojrzał na nią. Książkę o żelazobetonie położył na kolanie. Twarz miał ponurą i odpychającą.

– Mógłbyś zamienić ze mną choć parę słów – mówiła pani Anna. Zbladła nagle, i uparcie, jak zahipnotyzowana, patrzyła na jakiś przedmiot leżący na stole.

– Czy nie jestem z tobą miły i uprzejmy w nocy? – spytał i wyszczerzył zęby.

Przyzwyczaili się do tych rozmów. Co dzień podchodzili do psychicznej ściany, mąż z jednej strony, żona – z drugiej, dotykali jej ciałem i odchodzili z powrotem. Ale dziś pani Anna patrzyła na stół i wiedziała, że tym razem to już nastąpił koniec. Na stole bowiem leżał kołnierzyk. Zmięty krawat wydał się jej czymś nieprzyzwoitym, a plamy potu na stronie wewnętrznej przyprawiły ją o mdłości. Ten kołnierzyk mieścił w sobie wszystko: z jednej strony – niechlujstwo i brutalność męża, z drugiej – jej wstręt do potu i do złych manier. Patrząc na kołnierzyk, pani Anna myślała: „Nie kocham tego człowieka i żyć z nim nie będę". Wyraz twarzy miała niedobry. Tak. Wcześniej czy później to musiało się stać. I na to nie było rady.

W „Hotelu Karpackim" siedziała w salonie sam na sam z Arnoldem Bromburgiem i piła niesmaczne, ale mocne wino. Bromburg, człowiek nieszczęśliwy, chociaż dość mądry, siedział nieruchomo i słuchał uważnie.

– Wierzyłam zawsze, że są w życiu spotkania nieuniknione – mówiła. – To dziwne, że myśmy się spotkali.

Uśmiechnął się i podziękował.

– Będę panu prawiła komplementy, gdyż jestem pijana i szczera. Jest pan pierwszym człowiekiem, który mnie słucha i rozumie po przyjacielsku.

Wypowiedziała to z taką szczerością, tak ujmująco, że Bromburg, stary, biedny gruźlik Bromburg – wyprostował się nagle i twarz mu się zrobiła jak u małego chłopaka. „Mój Boże" – pomyślał i chciał rzec: „Bardzo pani dziękuję. Jest pani dla mnie bardzo dobra. Przeżywam tragedię: jutro przyjeżdża mój stary ojciec, nie chciałbym, żeby się domyślił, że umieram na suchoty... Co robić przyjacielu?..."

Anna spojrzała na niego roztargnionym, ślepym wzrokiem. Przerwała:

– Pan zrozumie, do jakiego stopnia jestem smutna. Wszyscy mężczyźni są ordynarni, a ja jestem bardzo nieszczęśliwa w pożyciu z mężem. Mówię z panem jak z księdzem. Opowiem nawet, jak razu pewnego popełniłam zdradę.

Bromburg znowu postarzał się i przestał myśleć o ojcu.

– Mąż mnie zdradza często, ale fizyczna zdrada to głupstwo. Najgorzej, że w życiu codziennym nie zwraca na mnie uwagi, nie mam z kim nawet rozmawiać. Zwykle przychodzi oschły, zły, pijany. Jest to wstrętne. Od dziesięciu lat nie powiedział mi ani jednego dobrego słowa. – Nagle zapłakała.

Bromburg patrzył na jej trzęsące się ramiona, westchnął i pochylił się ku niej.

– Niech pani nie płacze.

Uśmiechnęła się i wzięła go za rękę w taki sposób, że oboje drgnęli. Chciał ostrożnie usunąć się, lecz nie potrafił tego jakoś uczynić.

– Jestem wyrozumiała, ale nie można przecież traktować mnie jak pokojówkę, jak psa! Kiedyś było zupełnie inaczej. Kochaliśmy się. Całymi godzinami siedział przy mnie. Chodziliśmy razem na spacery... pewnego dnia spotkaliśmy w lesie jego przyjaciela i ja...

– Rozumiem – przytakiwał Bromburg i wyraz twarzy miał wyjątkowo dobrotliwy, chociaż w tej chwili myślał: „W czarnym garniturze wyglądam jeszcze szczuplej, włożę więc szary. Tak jest, szary..."

– Ten właśnie kolega męża pokochał mnie później. Był uczuciowy, ale także nie chciał zrozumieć mej duszy!

Bromburg ścisnął kurczowo szczęki. Chciał zapytać: „Cóż pani ma za duszę?", lecz Anna nagle krzyknęła i rozpłakała się. Zrobiło mu się smutno i żal. Pogłaskał ją po włosach i pomyślał: „kubita", właśnie tak, nie „kobieta" pomyślał, lecz „kubita". Jednocześnie był tak bezinteresowny i obiektywny, że marzył o tym, by wrócić czym prędzej do swego pokoju, zająć się czymś pożyteczniejszym, położyć się przynajmniej wcześniej spać, ażeby jutro lepiej wyglądać. „W szarym gar-

niturze udam, że jestem grubszy" – i znowu pomyślał o ojcu. Lecz w tejże chwili Anna podniosła głowę. Od łez wargi jej nabrzmiały i zatraciły wyraźne kontury. Wyglądały jak zmiażdżona morela – a kiedy Bromburg to zauważył, zrozumiał natychmiast jakimś niemęskim instynktem, że wypada ją pocałować.

W następnej chwili uczuł zawrót głowy i to, że jest obecnie całkiem innym człowiekiem. Zlizując z warg sok morelowy, zapomniał o dusznościach, pluciu krwią, o kłopotach przedśmiertnych i o swym największym zmartwieniu. Chrząknął:

– Istotnie, nasze spotkanie jest dziwne.

Nie widział, jak oczy jej zapaliły się, a potem zgasły. Oddychał z trudem, czuł, że ponosi go miłosna tęsknota.

– Tak – zgodziła się pani Anna bez wielkiego zresztą entuzjazmu. Znowu chciała mówić o swym nieudanym życiu. – Nie! Nie chcę więcej takiego męża. Dziś pan jest dla mnie najdroższym przyjacielem. – Bromburg drgnął. – Cóż z tego, że znamy się jeszcze tak mało...

Przyrządziła nalewkę, właśnie taką, jaką mąż lubi. Przez trzy miesiące krzątała się koło niej. Wypił i – nawet nie podziękował... Czemu się pan tak dziwnie uśmiecha? Przecież nie nudzę pana?

Zaprzeczył z całą stanowczością, chociaż chciał jak najprędzej uciec do swego pokoju. „Jakie morele mogą być tu w górach? Śmieszna rzecz!" Z trudem, lecz bardzo łagodnie, istotnie po przyjacielsku, rzekł:

– Nie trzeba się smucić. Przeżyliście razem dziesięć lat, przeżyjecie jeszcze pięćdziesiąt. Mąż panią kocha na pewno...

Nie wytrzymał, gdyż ogarnęła go nagle przeraźliwa pustka i poczucie samotności, że gotów był uwierzyć we wszystko, nawet w przyjaźń i miłość od pierwszego wejrzenia. „Nie można przecież być przez całe życie samotnym" – pomyślał, całkiem zresztą niesłusznie. Chodziło mu o usprawiedliwienie się przed samym sobą. Gdzieś w duszy czuł, że jest to słabość, lecz folgował jej z masochistyczną przyjemnością. „Zrozumiem tę kobietę" – myślał dalej – i ona mnie zrozumie na pewno. Oczywiście! Dlaczego by nie. Bywają w życiu wypadki irracjonalne".

– Pani jest mi tak bardzo droga. Mogę godzinami słuchać pani słów bez żadnego znużenia. – Nie było to tak bardzo grzeczne, ale tak właśnie powiedział. – Zrobiła pani ze mną cud, nie wyczuwam w sobie nawet pustki. Jutro przyjedzie mój ojciec i zobaczy, że jestem radosny i silny.

Przyłapał siebie na tym, że mówił głośno, aby dotrzeć do jej świadomości dźwiękiem przynajmniej, jeśli nie znaczeniem słów. Chciał zatrzymać na sobie jej uwagę. Jednocześnie domyślał się, że Anna słucha go tylko przez uprzejmość, w duchu zaś myśli o swej złamanej duszy. „Może rzeczywiście jej tragedia bardziej jest ważka od mej śmierci?" – pomyślał z nieszczerą wspaniałomyślnością. Chciał jednak przekonać się.

– Jestem poważnie chory, proszę pani, i szalenie mi ubywa na wadze. Wiem, że z tego nie wybrnę, ale najgorsze jest to, że nie mam prawa umrzeć: mam starego ojca, dla którego jestem wszystkim i którego tak mi żal, że na samą myśl, co się z nim stanie, gdy umrę, dostaję zawrotów głowy. Pani jako kobieta zrozumie cenę takiej miłości.

– Tak! – odpowiedziała Anna i przypomniała sobie, jak parę lat temu kazała swemu ojcu jadać osobno i gdy przyjmowała gości, nie wychodzić z pokoiku na piętrze. Prawdopodobnie nie przypomniałaby sobie tego wcale, gdyby nie alkohol. Przeciwnie, mówiłaby długo o tym, jaką była kochającą córką i jakich dobrych miała rodziców. Wino wywołało w niej mgliste uczucia, przypominające wyrzuty sumienia. – Nienawidziłam swego ojca – powiedziała szczerze – ojciec szpiegował mnie i męczył za to, że chodziłam na schadzki ze sztubakami.

Przerwał łagodnie:

– Nie trzeba tak mówić.

„Ten Bromburg ma chwilami świątobliwą twarz! Coś w nim jest z księdza" – ni stąd, ni zowąd przyszło jej do głowy. Ta myśl napełniła ją niezdrową czy też bardzo zdrową ciekawością.

– Nie trzeba tak mówić, gdyż na pewno pani go kochała. Co do mnie, kocham ojca do takiego stopnia, że miłość przeszkadza mi umrzeć. To męczarnia! Zna pani to uczucie, gdy człowiek nie spał przez kilka dni, wali się z nóg, lecz nie może zasnąć, ponieważ ma jeszcze pilne i ważne sprawy do załatwienia? Doznaję tego samego w stosunku do śmierci. Nie mam czym oddychać, wszystko mnie boli, czekam na śmierć jak na zbawienie i nie mogę poddać się fizycznemu odprężeniu i zaprzestać walki z powodu myśli o ojcu.

– W zupełności pana rozumiem.

Było coś takiego w jej oczach, że Bromburg drgnął i uwierzył. „To się widzi, że zrozumiała. Ale co?"

– Morele... – rzekł głucho; jednocześnie kaszlnął, nie dosłyszała więc i dlatego na szczęście nie zrozumiała tego pozbawionego sensu słowa. Ochłonął natychmiast, gdyż przypomniał sobie rzecz, która męczyła go najbardziej. – Przyjeżdża wczesnym pociągiem. Trzeba będzie zażyć kodeiny, by przy nim nie kaszleć...

Dla Bromburga była to bardzo poważna i rozpaczliwie smutna kwestia. Odwrócił głowę i ponuro patrzył w kąt, gdzie paliła się lampa. Po chwili, może od rażącego światła żarówki, stanęły mu w oczach łzy.

– Nie wiem – odrzekła pani Anna. – Pan przypomina mi z profilu Bustera Keatona...

Bromburg nie odpowiedział.

Potem po paru minutach milczenia, wśród uczuć wściekłości i pogardy, poczuł nagle pospolity pociąg zmysłowy.

W taki to sposób stosunek Bromburga do pani Anny przeszedł przez trzy fazy.

Z początku, znękany przez chorobę, samotność i miłość do ojca, uwierzył niespodziewanie w możliwość wzniosłej przyjaźni, graniczącej z nadludzką miłością.

Taką słabostkę można było wytłumaczyć stałą gorączką, wytwarzającą nienormalny patos w stosunku do rzeczy błahych. Optymistyczną zaś łatwowierność dałoby się przypisać euforii tuberkulicznej. Czuł zresztą sam potrzebę usprawiedliwienia się co do tej kwestii i rozumowanie jego było mniej więcej takie: „Jest na ziemi pewna ilość kobiet i mężczyzn, których wzajemne ustosunkowanie się stwarza pewną liczbę milionów kombinacyj. Czyż nie ma prawdopodobieństwa, że wśród tej olbrzymiej liczby możliwości znajdzie się jeden taki właśnie wypadek, w którym nagłe spotkanie dwojga ludzi o wzajemnym przyciąganiu wywoła absolutną przyjaźń miłosną?!"

Rozumując w ten sposób, Bromburg jednak w parę minut potem zdobył się na porównanie, że szukanie na ziemi rzeczy tego rodzaju przypomina stawianie pasjansów, gdy w talii brakuje jednej karty. Nic dziwnego, że taki pasjans nigdy nie wyjdzie!

Wówczas stosunek jego do Anny przybrał inny charakter. „Człowiek jest bezwzględnie samotny i nic nikogo nie obchodzą me zmartwienia. Szukajmy kompromisu. Bądźmy wyrozumiali i pomagajmy sobie wzajemnie. Słuchajmy wzajemnych spowiedzi, jeżeli możemy tym zrobić przysługę, powiedzmy, koleżeńską".

To była druga faza i ona także była pozbawiona wszelkiego sensu. Dos-

konale zdawał sobie sprawę z uczuciowego podkładu tych rozważań. Osłabiony przez pokusę (nadzieję, że przestanie być samotny), której w końcu jednak nie uległ, bał się wrócić do pustego, samotnego pokoju hotelowego. Poza tym zaś był bardzo dobry i pobłażliwy. „A nuż zrobię jej tym przykrość?"

„Po co przesadzać – powrócił do dawnych myśli – wielkie słowa: Przyjaźń, Miłość brzmią ładnie i przekonywająco tylko w ustach urzędnika poczty lub panny na wydaniu w miasteczku Nowy Radomsk, u każdego zaś innego brzmią jak komunał. Położenie trzeba uprościć. Zbliżyła się do mnie kobieta ze szczerym, serdecznym odruchem. Czemu bym nie miał opowiedzieć jej swych smutków, jeżeli może mi to sprawić ulgę?"

Było to, oczywiście, bardzo naciągnięte. Ale jakkolwiek było, Bromburg myślał właśnie w ten sposób i patrzył ze łzami w oczach na żarówkę. Mówił zaś o szarym ubraniu, które wydawało mu się jedynym ratunkiem. Wówczas to właśnie Anna porównała go do Keatona i porównanie to spowodowało w jego duszy rozpryśnięcie się i pęknięcie wszystkiego. Miał w głowie przyjemną pustkę, prawie zupełną, jeśli nie brać pod uwagę ostatniej rozsądnej myśli: „Tę kobietę trzeba zgwałcić", która była początkiem trzeciej fazy.

Lecz niestety, nie posiadał dostatecznych kwalifikacji donżuańskich i zbyt był przyzwyczajony do życia umysłowego, aby nie okazać się bezradnym w chaosie uczuć. I rzecz dziwna, z chwilą gdy owładnął nim popęd erotyczny, rozmowa ich, która biegła dotychczas równolegle, nie stykając się niby szyny kolejowe, teraz zlała się w całość, zbiegła się właśnie jak te szyny na stacji Wielkie Tęsknoty lub też Rozstajne Chucie.

Siedzieli obok siebie z zastygłymi sercami i białymi oczami. Pocałował ją znowu i nawet nie był ciekaw, czy słyszy, jak w oskrzelach jego coś gra i rzęzi. Zresztą w tej chwili weszło do salonu kilku starszych panów i zasiadło do brydża. Dwie chude blondynki patrzyły na Annę z tym nieuchwytnym uśmiechem, z jakim w pewnych momentach potrafi patrzeć jedna kobieta na drugą, i którego istnienia mężczyźni zwykle nie podejrzewają. Lecz w nieuchwytnej wzrokowej odpowiedzi Anny był odcień jakiejś wyższości, którą chude panny przypuszczalnie uczuły, gdyż spojrzały na ładną twarz Bromburga i pochyliły głowy.

Stojąc w drzwiach, pani Anna powiedziała Bromburgowi coś o duchach straszących po nocach, to coś wydało mu się niezrozumiałe, a jej samej – dziwne i niespodziewane.

– Czy pan się nie boi duchów?

Przestraszył się:

– Pani chyba nie ma na myśli śmierci?

– O nie, wręcz przeciwnie.

Chociaż nie zrozumieli się w tym wypadku, raptem jedną połową samych siebie wyczuli tajne znaczenie wymienionych zdań. Przypomniało to dialog dwóch syren, które splecione zielonymi, rybimi ogonami, lecz odwrócone od siebie twarzami, śpiewają różne piosenki o jednakowej melodii.

Uczuli pewne zakłopotanie. Wtedy Anna uśmiechnęła się pierwsza i wyszła na korytarz.

Po prawej i po lewej stronie były drzwi. Jakiś pan szedł naprzeciw i Anna z lekka dotknęła go ramieniem. Wewnętrznym wzrokiem – nie obiektywnie – widziała się młodą, ładną, wesołą. Widziała, jak pod suknią wygląda jej ciało i jak drżą piersi. Widziała także, choć nie odwracała się, że za nią idzie Bromburg i że teraz wchodzi do swego pokoju. Tak było w rzeczywistości.

Wszedł, przebrał się w piżamę i stanął koło okna. Nie widział ani swej piersi, ani ciała, w ogóle był ślepy jak wszyscy mężczyźni. Nawet patrząc przez okno, nie odróżnił kuli latarnianej od księżyca. Był tym tylko nieco zdziwiony – nic więcej.

Inna rzecz zdziwiła go bardziej. Był to fakt, że po raz pierwszy zapomniał o swej chorobie. Skupiony i nastawiony od lat wyłącznie na walkę ze śmiercią, czuł, że wytrącono mu ziemię spod nóg. Pomimo wstydu wobec swych uczuć synowskich myśl o dniu jutrzejszym wydała mu się drugorzędną. Gruźlicę zaś zaczął w ogóle bagatelizować.

„Tysiące przecież ludzi już wyzdrowiało, i to zupełnie – myślał beztrosko. – Całe moje dotychczasowe tragiczne nastawienie było zwyczajną słabością. Mniemanie, że tylko dzięki wysiłkom woli potrafiłbym przedłużyć życie, było oszukiwaniem siebie. Ze zdrowiem moim nie jest tak źle, dlatego nic mi się nie stało! Nie czas jeszcze prawdopodobnie umierać". Twarz go paliła, miał wypieki, lecz sprytnie odrzucił myśl o tym. „Nie ma nawet wątpliwości, że wyzdrowieję, trzeba tylko zacząć żyć normalnie. Wystarczyło przecież poczuć normalny pociąg do kobiety, aby mnie opuściła cała hipochondria!"

Sapiąc zapalił światło. Położył się i zasnął natychmiast, chociaż serce waliło jak młotem. Po kwadransie jednak obudził się i z niewiadomych powodów naperfumował sobie twarz i piżamę. Było mu bardzo gorąco, kaszlał, ale gorączki zmierzyć nie chciał. Nad ranem obudził się znowu, a to dlatego, że na łóżku jego usiadła kobieta.

„Zupełnie jak duch!" – pomyślał z przerażeniem, lecz przerażenie to nie trwało długo i było pozorne.

Ogarnęło go lekkie rozczarowanie. Podświadomie czekał przez całą noc, był znużony drażniącym oczekiwaniem. Ucieszyłby się znacznie bardziej, gdyby przyszła o parę godzin wcześniej.

– Widzę, że pan się wcale nie boi duchów – rzekła Anna głupio.

Prawdopodobnie nie była jeszcze całkiem trzeźwa. Usta jej w półmroku wydawały się czarne i niesamowicie wielkie.

Jak to często bywa u mężczyzn, śmieszna i głupia sytuacja jeszcze bardziej ochłodziła Bromburga. „Byłoby prościej i ładniej, gdyby zwyczajnie położyła się obok." Miał rację i nie mógł nie powstrzymać się od złego uśmiechu. Jako dobrze wychowany człowiek musiał jednak coś powiedzieć. Wymagała tego wrodzona delikatność.

– Jakże mogła mnie pani tak nastraszyć? Myślałem, że to widmo!

Czuł wstręt do siebie jak zawsze, gdy był zmuszony do mówienia głupstw. Wiedział jednocześnie, że zrobiło jej się przykro, odgadła zapewne jego myśli i pod lada pozorem gotowa była odejść. Po raz ostatni przesunął się przed nim cień ojca, ale odtrącił go w sposób brutalny, haniebny, chociaż tym samym porzucał ostatnią broń przeciw tragicznemu końcowi.

– Niech pani nie idzie! – przycisnął ją do siebie czując, że z każdą chwilą jej zbliżania się sytuacja zatraca swą śmieszność.

Rzeczywiście, wyglądało to wszystko mniej głupio. Zrozumieli nieskomplikowany sens wzajemnego postępowania i opuściły ich wszystkie refleksje. Po chwili syreny leżały splecione rybimi ogonami, a dusze Anny i Bromburga zharmonizowały się wreszcie. Pachniało morelami.

Byłoby to nadal bardzo piękne i ładne, gdyby nie to, że po trzech mniej więcej minutach Bromburg umarł.

– Jak mi dziwnie, jak dziwnie – szeptała Anna. Miała wrażenie, że jest rozlana po całym wszechświecie, że jest słodką kropelką wina, a jednocześnie potworną poduchą z anielskiej waty, czymś w rodzaju różowego obłoku.

Nagle uczuła, że Bromburg zrobił się ciężki nie do zniesienia i gniecie jej piersi jak kamień. Głowa jego niby kula kamienna spadła na jej szyję, tuż koło ramienia, i gwizdnęła cicho i przeciągle. Mogła to sobie wytłumaczyć bardzo pospolicie i tak też z pewnym niezadowoleniem tłumaczyła, lecz gwałtowny, przejmujący strach wstrząsnął nią ni stąd, ni zowąd, jak gdyby ktoś wyrżnął ją pięścią w plecy. Wytrzeźwiała od razu. Była mokra aż po piersi i nie mogła powstrzymać dzikiej fali dreszczy.

– Co panu jest? – syknęła. Oczy jej zrobiły się okrągłe i brzydkie. Ostrym, wulgarnym ruchem zrzuciła z siebie obce, w ciągu sekundy znienawidzone ciało. – Co panu jest?

Stała pośrodku pokoju w szlafroku i zmiętej krótkiej koszulce. Szary, pełen wyrzutów sumienia poranek zrobił z sypialni – kostnicę. Bromburg leżał na łóżku, głowę miał podgiętą pod pierś, a prawą rękę wyciągniętą przed siebie.

– Boże, co ja zrobiłam – powtarzała.

Wciąż usiłowała przykryć swe nagie kolana, chociaż szlafrok stanowczo był za krótki. Trzęsła się przy tym bardzo zabawnie. Potem, chwyciwszy się za głowę, wybiegła na korytarz. W ostatniej chwili tuż koło drzwi zauważyła wyraźnie biały guzik dzwonka. „Zadzwonić" – błysnęło w jej umyśle, lecz coś ją jakby powstrzymało.

Widziała długi korytarz. Nagle usłyszała, jak ktoś na dole upuścił talerz. Ten hałas przeraził ją najbardziej: przypuszczalnie wstawała służba. Wówczas prędko i tragicznie, z piersią falującą jak u bohaterki filmowej, weszła z powrotem do pokoju Bromburga.

Leżał w tej samej pozycji na czworakach, co przedtem.

Starając się nie dotykać trupa, przykryła go kołdrą i wytarła plamy na prześcieradle. Nos jej wydłużył się, oczy zaś zrobiły się okrągłe jak u sowy. Dziwnym prawom podlega uroda kobieca.

Wzuła pantofle, obejrzała się i chyłkiem wróciła do swego pokoju. Po drodze myślała: „Gruźlica jest zaraźliwa!..."

Ale gdy znalazła się w swoim hotelowym pokoju, uspokoiła się nieco, ponieważ przekonała się, że mąż jej śpi nadal snem niewinnego pijaka.



Zjawił się późno w nocy, zły, nieprzytomny, chciał ją całować, potem zwalił się na kanapę i zasnął. Wówczas to poszła do Bromburga. Teraz gdy wróciła rozdygotana, nie tylko nie czuła dawnej nienawiści do męża, lecz na odwrót – rozrzewnienie i ciepłą litość dla tego śpiącego jak dziecko, pachnącego wódką człowieka. Z początku nie wiedziała, co ma robić. Zimne dreszcze nie ustawały. Podbiegła do okna, aby spuścić rolety, pośliznęła się i o mało nie upadła. Jęknęła cichutko, chciała rozpłakać się i nie zdołała wycisnąć ani jednej łzy. „Mój Boże, mój Boże, mój Boże!" – powtarzała w kółko. Otworzyła jednak okno, by wywietrzyć zaduch i zapach wina. Za oknem usłyszała przeraźliwy gwizd lokomotywy. Chwyciła się za serce niepomna siebie, gdyż wydało się jej, że to ktoś krzyknął. Lecz wszystko było spokojne. Tylko na dole pod jej oknem zatrzymała się dorożka, z której wysiadł jakiś pan. Nigdy w życiu nie widziała śmieszniejszej postaci! W oczach miała jeszcze obraz ohydnego trupa, leżącego na czworakach, pomimo to nie miała siły powstrzymać się od uśmiechu. Śmieszna to potwornie była postać, nie człowiek, ale karykatura człowieka! Starszy, zgarbiony, chudy jak szkielet pan złaził z dorożki. Na karku miał zmięty melonik, na szyi pstrokaty szal, w ręku – na wpół otwarty parasol. Spieszył się widać bardzo. Miał moc jakichś pakunków i paczek owiniętych w biały papier, które wciąż gubił, zapomniał zapłacić dorożkarzowi, kalosze zaczął zdejmować jeszcze na ulicy.

– Panie!! – krzyczał do portiera – czy to „Hotel Karpacki"?!

Szal furkotał na powietrzu jak wściekły latawiec! Parasolem wymachiwał jak strzelbą! Czarny melonik podskakiwał na głowie niby żywe stworzenie!

– Panie!! – krzyczał staruszek, pokazując dwa żółte zęby. Pakunki na prawo, paczki na lewo. Pośpiech wprost niesamowity. – Panie!! – krzyczał – gdzie tu u was mieszka Bromburg? Mój syn Bromburg? Pan go na pewno zna! Mój syn to niezwykły człowiek! Niezwykły człowiek, powiadam panu, niezwykły!

Pani Anna zamknęła okno i na palcach zbliżyła się do kanapy. Mąż chrapał. Spokojnie położyła się obok niego. Powoli oczy jej zrobiły się znowu podłużne, a nos – krótszy.

W pewnej chwili spojrzała na krzesło stojące obok. Leżało tam zanieczyszczone ubranie męża. Zauważyła brudny, wymięty kołnierzyk, wzięła go do rąk i pocałowała.

Rafał Brzeski

Wojna nie kończy się za drutami

Po przegranej kampanii wrześniowej dziesiątki tysięcy oficerów i żołnierzy polskich znalazło się w obozach jenieckich. Dla większości z nich wojna się jednak nie skończyła. Wiedzieli, że we Francji odrodził się polski rząd i polska armia, a oni sami, choć odgrodzeni drutami kolczastymi, nie przestali być żołnierzami tej armii. Rozumieli, że obowiązkiem każdego oficera i żołnierza jest uciec przy najbliższej nadarzającej się okazji i przedostać się do walczących oddziałów polskich.

Pierwsze ucieczki z obozów jenieckich, nie licząc tych z transportów, odnotowano już w listopadzie i grudniu 1939 roku. Można nawet przyjąć, że uciekano zanim jeszcze udało się Niemcom zamknąć za Polakami bramy obozu. Nie sposób dzisiaj ustalić, kto uciekał pierwszy i komu pierwszemu się udało. Był to okres wielkiego chaosu, któremu nie mogła sprostać nawet, niezrównana ponoć, niemiecka organizacja.

Wyjątkowo ostra zima 1939–1940 nie sprzyjała ucieczkom, ale wykorzystano ją skutecznie w obozach na organizację życia za drutami i budowę zrębów organizacji konspiracyjnych. Komendantami obozów jenieckich – oficerskich oflagów i żołnierskich stalagów – byli przeważnie emerytowani oficerowie, w przypadku oflagów zwykle w randze generała lub pułkownika. Podlegały im sztaby złożone z kilku oficerów, tłumaczy i cenzorów kontrolujących korespondencję i paczki. „Osobistością" obozową był też oficer kontrwywiadu, popularnie zwany „Abwehrem", którego zadaniem było tropienie konspiracji i ludzi zainteresowanych ucieczkami. Niemieckie władze obozowe, na szczęście, nie składały się zwykle z rzutkiego, inteligentnego i energicznego korpusu oficerskiego. Wykorzystując lenistwo, braki organizacyjne i niekiedy głupotę władz, jeńcom udawało się zwykle „opanować teren", czyli wprowadzić ludzi należących do organizacji konspiracyjnej na pomocnicze stanowiska w biurach niemieckiej komendantury obozu. Głównym celem tych zabiegów była zwykle obozowa poczta, przez którą musiały, od czasu do czasu, „przechodzić bokiem" przesyłki do kraju i z kraju. Wiosna 1940 roku była bowiem okresem nawiązywania łączności między poszczególnymi obozami jenieckimi a Komendą Główną Związku Walki Zbrojnej. W okupowanym kraju, jak również w Sztabie Naczelnego Wodza w Londynie rodziły się wówczas koncepcje wykorzystania w dalszej walce tysięcy żołnierzy i oficerów, którzy znaleźli się w obozach jenieckich.

Wstępne założenia przewidywały, że jeńcy – jak również ludzie wywiezieni do Rzeszy na roboty – będą mogli być wykorzystani w odpowiednim momencie jako dywersanci na bezpośrednim zapleczu frontu, o ile front wschodni przesunie się do Niemiec, albo też, gdy na Zachodzie siły francuskie i brytyjskie wkroczą na terytorium III Rzeszy, jeńcy, po wyrwaniu się z obozów, będą mogli zasilić uczestniczące już w powstaniu na terytorium Polski oddziały armii podziemnej.

Upadek Francji latem 1940 roku pokrzyżował te plany. Na krótko posiał też ducha zwątpienia wewnątrz obozów, nie hamując jednak zbytnio rozpoczętych już przygotowań do ucieczek. Dokładnie następnego dnia po kapitulacji Francji, dwudziestego szóstego czerwca 1940 roku około godziny dziewiątej wieczorem uciekli z oflagu w Woldenbergu kapitan Jan Mickunas i podporucznik Jerzy Fularski. Wykorzystali oni świeżo ułożone rury kanalizacyjne i wyszli za druty. Zauważono ich i strażnicy otworzyli ogień do zbiegów, na szczęście chybiając. Obaj uciekinierzy dotarli w ciągu miesiąca do Warszawy, gdzie kapitan Mickunas zdecydował się podjąć działalność konspiracyjną, a podporucznik Fularski postanowił przedostać się przez Bliski Wschód do polskich oddziałów w Wielkiej Brytanii. Został złapany we Francji i wydany Niemcom. Po roku znów znalazł się w Woldenbergu.

Powodzenie pierwszej ucieczki ośmieliło i zachęciło jeńców. W niecały miesiąc po Mickunasie i Fularskim znalazł się na wolności podporucznik Jan Gajkowski, który bezczelnie, w przebraniu murarza, z kielnią w ręku przeszedł przez główną bramę obozu i tyle go widziano. Siedemnastego sierpnia 1940 roku usiłowali uciec z Woldenbergu porucznik Pacak i podporucznik Głuszek. Przeczołgali się oni przez wyciętą w drucie dziurę i umknęli do pobliskiego lasu. Głuszek przedostał się szczęśliwie do kraju, ale Pacak został ujęty i odstawiony do obozu.

Szczęśliwy koniec bitwy o Wielką Brytanię – nawet przed jeńcami nie udało się ukryć Niemcom faktu odwołania inwazji Wysp Brytyjskich – oraz powodzenie ucieczek poprawiło wydatnie morale jeńców. Organizacje konspiracyjne wewnątrz obozów zaczęły krzepnąć, a równocześnie poprawiła się łączność z krajem. Odpowiednie komórki Komendy Głównej ZWZ, a później AK, rozpoczęły nawiązywanie kontaktów, wysyłając listy do wytypowanych, zaufanych jeńców. Ta pierwsza wymiana informacji nie była łatwa. Przygotowywano dopiero łączność szyfrową, a cenzura niemiecka w roku 1940 była wyjątkowo ostra, wprowadzono ograniczenia korespondencji, a ponadto krewni ewentualnych adresatów nie byli jeszcze przygotowani psychicznie do pośredniczenia w poufnej wymianie korespondencji i obawiali się ewentualnych represji. W 1940 roku społeczeństwo nie było jeszcze w swej masie gotowe do aktywnego oporu, tak jak to miało miejsce w następnych latach. Stosunkowo szybko udało się zorganizować łączność korespondencyjną z obozami oficerskimi, gdzie jeńcom łatwiej było „opanować" niemieckie komendantury. W stalagach główną przeszkodą był organizacyjny

podział na wydzielone ośrodki pracy – Arbeitskomanda, co powodowało rozproszenie jeńców na stosunkowo dużym obszarze. Tym większą rolę odgrywali więc swoi ludzie w obozowych pocztach. Przez te poczty przechodziły początkowo tylko szyfrowane listy, zawierające instrukcje dowódcy AK, a następnie pieniądze, części radiowe, literatura podziemna, w tym specjalnie dla obozów przeznaczone pismo „Głos Ojczyzny", a nawet broń i amunicja. Odbiór takich trefnych przesyłek połączony był z dużym ryzykiem, nawet jeśli nie przechodziły one przez niemiecką kontrolę „wymanewrowane" rękami konspiratorów. Rozdzielanie przesyłek odbywało się zwykle w wyznaczonych punktach obozu. Tam, wcześniej uprzedzeni o nadejściu „trefnej" przesyłki, adresaci zjawiali się przygotowani, z „obstawą" kolegów i workiem na paczkę pod połą płaszcza. Do tego worka wrzucał paczkę wtajemniczony „pocztowiec" korzystając z nieuwagi kontrolującego rozdawnictwo przesyłek Niemca. Doskonała znajomość psychiki Niemców, brawura i olbrzymia wprawa sprawiały, że rzadko zdarzało się, aby „trefne" przesyłki wpadały podczas przemycania ich przez obozową pocztę.

Utrzymywaniem listowej łączności z krajem zajmowali się tzw. korespondenci. Analizowali oni i opracowywali możliwości i sposoby przekazywania w bezpieczny sposób paczek, szyfrowali i odczytywali listy, przekazywali informacje dla konspiracyjnego dowództwa w obozie i Komendy Głównej w okupowanym kraju. Tą drogą dotarły też do obozów „Instrukcje" nr 1 i 2 nakazujące obozom przejść na system pracy konspiracyjnej: *„Dla obozów jeńców – na ustalone hasło powrócić do kraju zwartymi oddziałami i po określonych trasach, łączyć się po drodze z innymi oddziałami, meldować się w kraju w oznaczonych punktach stawiennictwa"*. Po upadku Francji porzucono koncepcję użycia jeńców do akcji dywersyjnych na tyłach ewentualnego frontu niemiecko-alianckiego, natomiast w dalszym ciągu postanowiono użyć ich jako kadry i uzupełnienia sił walczących w kraju. Wytyczne te, choć mogą wydawać się fantastyczne, były całkiem zgodne z ogólną koncepcją aliancką, która w 1941 roku przewidywała zorganizowanie czegoś w rodzaju ogólnoeuropejskiego powstania narodów okupowanych w chwili brytyjskiej inwazji kontynentu. Trzeba przyznać, że plany dowództwa konspiracji w kraju, której Naczelny Wódz przekazał nadzór nad obozami, były bardziej realistyczne niż koncepcje alianckie. Przekazane obozom wytyczne obowiązywały wówczas, gdy skupiska jeńców miały szanse podjęcia próby przebicia się do kraju, w warunkach „załamywania się Rzeszy". Miały one natomiast wygasać, gdyby Niemcy w rozmowach o kapitulacji zgodzili się sami otworzyć bramy obozów i zorganizować powrót jeńców do kraju. Zadania stojące przed przebywającymi za drutami oficerami i żołnierzami dowódca AK ujął w „Instrukcji nr 3": *„w chwili, kiedy Siły Zbrojne w kraju podejmą walkę z okupantem, zajdzie potrzeba zasilenia tej walki jak najlepszym elementem, a przede wszystkim kadrą dowódczą, której w kraju jest wielki brak. Zadaniem więc żołnierzy naszych ... będzie ... uwolnić się i powrócić do kraju, aby wziąć udział ... w walce albo też w odtwarzaniu Sił Zbrojnych, niezbędnych do przewidywanych dalszych walk o suwerenność i należyty przyszły stan posiadania Rzeczypospolitej"*. Uwolnienie się i powrót do kraju miały nastąpić na hasło Naczelnego Wodza lub dowódcy AK. Do tego zaś czasu konspiracyjne organizacje obozowe winny dbać przede wszystkim o polepszenie łączności z krajem, utrzymywanie w dalszym ciągu ducha bojowego jeńców, szkolenie młodszych oficerów do czekających ich w przyszłości zadań.

Wielu z młodych oficerów nie chciało jednak czekać na hasło. Informacja o braku kadry w armii podziemnej oraz wiadome dowody istnienia ruchu oporu w kraju pobudziły do działania „komitety ucieczkowe". Obok Anglii pojawił się nowy, może nawet bardziej „atrakcyjny" kierunek ucieczek. W Woldenbergu wiosną 1941 roku rozpoczęto budowę podkopu. Prace posuwały się szybko, ale zostały brutalnie wstrzymane przez Niemców, którym tajemnicę podkopu zdradził były oficer WP, porucznik Seeman działający w obozie jako niemiecki agent. Zdemaskowany przez współjeńców został skazany na śmierć. Czterej wykonawcy wyroku mieli go uderzyć, każdy jeden raz, łomem w głowę. Niestety, Seeman spóźnił się na miejsce zamachu i zdołano go uderzyć tylko raz, gdy do „walki" wtrącił się nie wtajemniczony oficer. Przechodząc obok myślał, że jest świadkiem samosądu, a ponieważ odznaczał się olbrzymią siłą fizyczną, rozpędził wykonawców wyroku obozowej konspiracji. Nieprzytomnego Seemana odratowali Niemcy i przenieśli go na Śląsk, gdzie jako agent nr 0835 wrocławskiego gestapo wydał w ręce Niemców setki mieszkańców okolic Katowic i Częstochowy.

Prace nad kolejnym podkopem rozpoczęto w Woldenbergu na przełomie lat 1941–1942. Tunel rozpoczynał się w baraku nr 17, a właz do niego był tak doskonale zamaskowany, że gdy „robota" wpadła całkiem przypadkowo, Niemcy przez pół dnia szukali wejścia do podkopu. Przypadkowo też wykryto tunel gigant, który sześćdziesięciu jeńców budowało w 1942 roku w celu przygotowania drogi ewakuacyjnej, gdy nadejdzie hasło do opuszczenia obozu i udania się do kraju, bądź gdy nastąpi desant aliancki. Drążono go na głębokości dwóch i pół metra, a jego wymiary wynosiły 70 × 70 centymetrów, bowiem takiej długości były deski obozowych prycz, którymi szalowano ściany wykopu. Tunel miał już około sześćdziesięciu metrów długości, gdy Niemcy „wypukali" właz znajdujący się w ścianie baraku 24 b. „Robota" wpadła. Powiodła się natomiast kolejna ucieczka porucznika Pacaka, zorganizowana wraz z czterema kolegami. Główną rolę grał w niej podporucznik Zygmunt Siekierski, władający płynnie językiem niemieckim. Przebrany za strażnika z karabinem mauser wystruganym pieczołowicie z drewna, przeprowadził on czwórkę jeńców przez bramę, a następnie „eskortował" szczęśliwie aż do Sochaczewa, gdzie uciekinierzy rozstali się. Spotkali się później w jednym oddziale sabotażowym „Osa".

Pecha miał natomiast podporucznik Mikołaj Surmanowicz, którego nie mogły powstrzymać żadne druty czy mury. Uciekł ze stalagu XIII A koło Norymbergi, ale po przemaszerowaniu przeszło stu kilometrów złapano go w Alpach w pobliżu granicy Szwajcarii. Przeniesiony do oflagu VII C – Laufen zbiegł z dwoma kolegami. Znów wpadka i przeniesienie do specjalnego obozu karnego dla niepoprawnych „turystów", oflag VIII B – Silberberg, w Srebrnej Górze koło Kłodzka. Ten stary, wilgotny fort uważany był przez Niemców za znakomite miejsce dla reedukacji polskich patriotów, ale cała seria ucieczek z tego „sonderlagru" przesądziła o likwidacji obozu. Mikołaj Surmanowicz nie zdążył uciec z Silberbergu. Wraz z grupą około stu polskich oficerów został przeniesiony do karnego obozu Colditz, oflag IV C, gdzie zgrupowano najbardziej niebezpiecznych jeńców wszystkich armii alianckich. W tym towarzystwie wyjadaczy, weteranów wielu ucieczek i podkopów Mikołaj Surmanowicz wyrobił sobie rychło miano mistrza wytrycha. W wielu książkach napisanych po wojnie wymieniany jest jako człowiek, któremu nie zdołają oprzeć się żadne drzwi, zamki czy kłódki. Majsterkowicz z zamiłowania, inżynier z wykształcenia, artylerzysta z przydziału wojskowego, a silny duchem z natury – potrafił nocą,

w starym saskim zamku, przerobionym dawno już na więzienie, dokonać rajdu „na przełaj" przez oddzielone od siebie kwatery różnych narodowości, a także przez część „niemiecką" zamku, by odwiedzić znajomych na drugim końcu budowli lub nawiązać kontakt z grupą świeżo przybyłych jeńców. W tymże Colditz, uważanym przez Niemców za miejsce wyjątkowo bezpieczne, gdyż podczas I wojny światowej nie uciekł z zamku żaden jeniec, podporucznik Mikołaj Surmanowicz postanowił uciec przez obozowy... areszt. Opracował sobie taką nieprawdopodobną drogę ucieczki i kiedy wraz z kolegą podporucznikiem pilotem Mieczysławem Chmielem został nakryty na przygotowywaniu ucieczki, postanowił wykorzystać okazję, dostać się do aresztu i stamtąd zbiec. Stojąc przed frontem obozowych kompanii oficerów polskich, francuskich i angielskich, besztany przez komendanta obozu, porozumiał się ukradkiem z kolegą *„po czem zwracam się do rotmistrza Ładosia, pełniącego funkcję tłumacza obozowego i proszę go, by powiedział generałowi, że polski oficer jak zechce, to nawet z aresztu ucieknie"*. Tak jawna bezczelność zdumiała nawet przywykłego do możliwości Surmanowicza obozowego tłumacza. *„Nie wygłupiaj się, ty diable"* – usiłował zmitygować kolegę, ale Surmanowicz nalegał. Rad nierad rotmistrz Ładoś przetłumaczył „wyzwanie", a komendant obozu, zwany „Indorem", aż zaniemówił z wrażenia, by po dłuższym gulgocie – stąd przezwisko – ryknąć: *„Jesteście całkowicie zwariowani! Odmaszerować do aresztu!"*. O to tylko chodziło. Podporucznik Chmiel powędrował do jednej celi, podporucznik Surmanowicz do innej. Ten ostatni zdążył tylko rzucić na pożegnanie *„Śpij do godziny dwudziestej trzeciej"*. Dalej wypadki potoczyły się zgodnie z planem: *„rozglądam się po celi. Są prycza i stołek wykonane z twardego bukowego drewna. Poszczególne ich części skręcone są na dwu i półcalowe śruby. Po rozśrubowaniu posłużą mi do wykonania dźwigni, którą podważę drzwi celi"*. Po opracowaniu metody wydostania się z celi aresztant zawiadomił nadzorującego ucieczki podpułkownika saperów Eugeniusza Schuberta, że zamierza uciekać z aresztu najbliższej nocy i prosi, by na znak dany chusteczką z zamkowego dziedzińca, o wpół do dwunastej w nocy spuszczono mu z okien polskiej kwatery linę z prześcieradeł, po której zamierza wciągnąć się na trzecie piętro. List do podpułkownika Schuberta „przesłany" został z okienka aresztu za pomocą wystrzelonego z gumki papierka, tak jak w szkole robią to mali chłopcy podczas co nudniejszych lekcji. W trakcie obiadu wtajemniczony przez komitet ucieczkowy strzelec przyniósł uciekinierom do aresztu razem z menażkami cywilne ubranie, plecak i podręczny zestaw narzędzi Surmanowicza – uniwersalny klucz do zamków, śrubokręt, pęk wytrychów. Do kolacji drzwi celi zostały już przygotowane do wyważenia, a po kolacji: *„odkręcam dłuższą deskę i poprzeczkę od pryczy, a później odśrubowuję nogi od stołka. Przykręcenie poprzeczki do przygotowanych już otworów w drzwiach celi trwa krótko... Wiem, że zamknięte są na wielki, starodawny zamek oraz dwie kute sztaby i dwie kłódki. Drzwi zawieszone są na pięknych kutych zawiasach, jeśli zdołam je podnieść do góry, to zsuną się z nich i powstanie szpara, przez którą wydostanę się na korytarz. Z deski pryczy, dwóch nóg stołka i trzech wkrętów robię dźwignię... naciskam nogami i milimetr po milimetrze drzwi podnoszą się do góry. Po dwóch godzinach pracy płyta wydostaje się z zawiasów i delikatnie, bezszmerowo opuszcza się na próg celi... Zabieram plecak i posuwam się do drzwi Mietka"*.

Otworzenie drzwi celi kolegi trwało kilka chwil. Surmanowicz pracował błyskawicznie i bezszmerowo. Tak cicho, że musiał budzić kolegę! Następnie obaj zatarli szybko ślady otwarcia obu drzwi, zmontowali pryczę i stołek w celi Surmanowicza, „jak duchy" przesunęli się pod drzwiami wartowni, by po otwarciu wytrychem jeszcze dwóch drzwi, znaleźć się na dziedzińcu zamku Colditz. Stamtąd podporucznik Surmanowicz, zgodnie z umową, dał sygnał chusteczką. Była punktualnie dwudziesta trzecia trzydzieści. Z górnego okna na trzecim piętrze, w polskiej kwaterze wysunął się sznur z czterdziestu dwóch prześcieradeł, po którym uciekinier wciągnął się na parapet. Tam oddał swe narzędzia, a odebrał pieniądze, kompas i adresy punktów kontaktowych w kraju. Jeszcze uścisk dłoni i słowa otuchy, a po chwili rozpoczyna się akrobatyczna wędrówka po gzymsie na dach zamku. Ten fragment ucieczki z zapartym tchem obserwuje kilku wtajemniczonych i zaprzyjaźnionych oficerów angielskich, którzy później, po wojnie napiszą dokładne relacje z tej niewiarygodnej ucieczki pełni zachwytu dla... „sportowego ducha Nicky Surmanowicza" i jego wyzwania rzuconego niemieckiemu komendantowi obozu.

Z dachu zamku Surmanowicz spuścił linę leżącą na dachu aresztu koledze. Wciągnął po niej plecaki, a następnie wszedł po niej na strych zamku drugi uciekinier. Jeszcze tylko cichy przemarsz na drugą stronę strychu, wychodzącą na zewnątrz obozu, zabarykadowanie po drodze śpiącego magazyniera i ostatnia faza ucieczki. Zjazd po linie do zamkowej fosy. Surmanowiczowi udaje się wykonać zjazd bezszelestnie. Ma buty na gumowych podeszwach, ale Chmiel ma podkute. Szurnęły po murze, akurat gdy mijał oświetlone okna centrali telefonicznej. Drzemiący telefonista poderwał się i zauważył za oknem „ducha". Alarm, strzały – na szczęście niecelne – i obu uciekinierów złapano o kilometr od zamku. Psy gończe wyczuły ukrytych ludzi. Powrót do zamku odbywa się w eskorcie, a wewnątrz koledzy z uznaniem witają pechowców. „Indor" podobno miał tylko siłę bulgotać i pałał ciekawością dowiedzenia się, kto z niemieckiej obsługi pomógł uciekinierom wydostać się z aresztu, a potem uciec z zamku. Nie mieściło mu się w głowie, że polski oficer, rzeczywiście, jak zechce to i z aresztu ucieknie. Specjalna komisja pragnęła zbadać szczegóły. Surmanowicz zgodził się ujawnić kilka swoich sztuczek, ale pod warunkiem, że „komendant obozu da słowo honoru, że spełni nasze niewielkie życzenia". Komisję aż zatkało na taką bezczelność, ale żądza dowiedzenia się szczegółów była w „Indorze" silniejsza. Targ rozpoczął się. Stanęło na tym, że obaj uciekinierzy odbywać będą karę aresztu ścisłego – czterotygodniowego – w komfortowych warunkach: jedzenie obozowe, sienniki i po dwa koce – strona niemiecka wytargowała, że bez prześcieradeł. Ponadto codziennie godzinny spacer, książki do czytania, światło w celi, a dla Surmanowicza jeszcze akordeon wypożyczony od jednego z polskich oficerów. Słowem, warunki były zaprzeczeniem regulaminu aresztu ścisłego. Ciekawość była jednak silniejsza. Komendant obozu zgodził się i wysoka komisja pomaszerowała do celi, z której wydostał się Surmanowicz. Tam „mistrz wytrycha" pokazał, jak zbudował dźwignię, wyważył drzwi, wyszedł na zewnątrz i nim Niemcy spostrzegli się, zamknął wysoką komisję w celi z propozycją: *„A teraz spróbujcie zrobić to, co ja wykonałem w nocy"*. Z kluczami do celi wrócił przed oblicze dowództwa obozu, gdzie kładąc pęk kluczy od aresztu na stole powiedział: *„opowiedziałem wszystko bardzo dokładnie"*. Dopiero po dłuższej chwili zastępca komendanta obozu zorientował się, dlaczego Surmanowicz wrócił z aresztu sam z kluczami. Wysoka komisja oberwała co się zowie, a obaj aresztanci spędzili cztery tygodnie ścisłego aresztu w komfortowych warunkach. „Indor" dotrzymał słowa.

Surmanowicz nie poprzestał na tej niefortunnej ucieczce. Uciekał, skąd się dało. Nawet z więzienia w Waldheim, gdzie sąd wojskowy umieścił go za „zamach" na przedstawiciela niemieckiej władzy obozowej. Został wtedy dodatkowo zakuty w kajdany, gdyż uznano, że jest on w stanie wydostać się z każdej celi.

Podporucznik Mikołaj Surmanowicz był pechowym mistrzem, ale wielu mniej znających się na technice ucieczkowej miało znacznie więcej szczęścia. Uciekano różnymi sposobami. Podkopy, bezczelne wychodzenie w przebraniu przez bramę lub wręcz wyjeżdżanie niemieckimi samochodami w niemieckich mundurach. Uciekano do kraju i do Anglii korzystając nieraz ze specjalnie zorganizowanych „kanałów ucieczkowych", zwanych popularnie „szczurzymi ścieżkami".

Z takiego „kanału" skorzystali między innymi Zygmunt Roniarski, Jan Góralik i Jan Kaldowski, którzy trzeciego września 1942 roku zbiegli z obozu pracy w Florabruecke pod Monachium, na lewym brzegu Renu. Po czterech dniach, siódmego września, dotarli do przekazanego im w obozie adresu kontaktowego – mieszkania członka belgijskiego ruchu oporu, kościelnego miasteczka Salvaster. Tam mogli się wreszcie porządnie umyć, ogolić i otrzymali cywilne ubrania. Po kilku godzinach odpoczynku weszli na „szczurzą ścieżkę". Najpierw dwie belgijskie dziewczyny przeprowadziły ich do miasta Sart. Tam w zamaskowanym pokoiku nad warsztatem samochodowym pana Bivort spędzili noc, by rankiem ósmego września raz jeszcze zmienić ubranie. Następnie pod opieką gospodarza przyjechali koleją do Verviers, gdzie uczynny garażysta kupił im bilety na pospieszny pociąg Kolonia-Paryż, którym trójka uciekinierów dotarła do granicznej stacji Erkelinnes. Tam po wymianie haseł – podanych przez pana Bivort – z belgijskim celnikiem, ten ostatni przeprowadził Polaków na stronę francuską i podał następny punkt kontaktowy – sklep z wyrobami metalowymi. Właściciel sklepu wsadził ich do pociągu towarowego, którym po dwunastu godzinach jazdy dotarli do stacji Paris Le Bourget. Paryscy kolejarze przerzucili zbiegów na dworzec Paris Villeneuve au Saint George i ukryli pod skrzynkami z pustymi butelkami po winie w wagonie skierowanym do Lyonu znajdującego się już na terytorium nieokupowanej przez Niemców części Francji.

W Lyonie „szczurza ścieżka" kończyła się, ale trójka zbiegów, po krótkim odpoczynku, udała się jedenastego listopada w dalszą drogę przez Pireneje, by po wielu jeszcze perypetiach dotrzeć przez Hiszpanię, Portugalię i Gibraltar do Glasgow w Szkocji.

Tymczasem Podziemie w kraju tworzyło coraz silniejszą organizację pomocy obozom jenieckim. Pierwszego stycznia 1941 roku powołano specjalną komórkę I Oddziału Komendy Głównej ZWZ „IKO" kierowaną przez Halinę Nieniewską. Prowadzona głównie przez kobiety, zajmowała się ona utrzymywaniem łączności z obozami jenieckimi i skupiskami Polaków wywiezionych na roboty oraz zaopatrywaniem ich w sprzęt radiowy i pieniądze. Plan łączności radiowej regulowała „Instrukcja nr 5" dowódcy AK. Przewidywała ona łączność jednostronną, „kraj – obóz", przy wykorzystaniu pracującej na falach krótkich rozgłośni BBC. Za jej pośrednictwem przekazywano do obozów rozkazy Komendy Głównej AK w postaci umówionych zdań lub szyfru cyfrowego. Dla przykładu hasłem wywoławczym oflagu Woldenberg był popularny „Walc Francois". Po jego nadaniu, w polskim programie BBC, przekazywano szyfrem cyfrowym wiadomości dla konspiracji obozowej. Ponadto rozkazy mogły być przekazywane drogą telegraficzną przez krótkofalową stację nadawczą Naczelnego Wodza „Mewa", znajdującą się na południu Europy. W roku 1944 zorganizowano również w bazie przerzutowej „Jutrzenka" w Mesagne koło Brindisi krótkofalową stację foniczną, przeznaczoną między innymi do kontaktowania się z obozami. W planach Komendy Głównej AK przewidziano też uruchomienie, w chwili powstania powszechnego, krótkofalowej stacji „Kalina", która miałaby utrzymywać łączność z obozami na równi z długofalowym nadajnikiem rozgłośni „Warszawa I". Planowano też wyposażyć obozy w nadajniki do utrzymywania łączności dwustronnej. Było to stałe żądanie konspiracyjnych komend obozowych, na którego spełnienie Komenda Główna AK długo nie chciała przystać. Obawiano się represji w przypadku namierzenia nadajnika przez niemieckie służby goniometryczne. Koniec końców wiele obozów otrzymało nadajniki, ale z rozkazem zezwalającym na użycie ich tylko w chwili próby fizycznej likwidacji obozu i wymordowania jeńców.

Zanim jednak zorganizowano sprawnie działającą sieć łączności radiowej – lata 1942–1943 – wraz z ekipami nasłuchu radiowego w obozach i szyfrantami trzeba było dotrzeć do obozów i skupisk wywiezionych na roboty, przy pomocy kurierów – organizatorów życia podziemnego. Takim kurierem, ale całkiem specjalnego rodzaju, był rotmistrz Witold Pilecki, który na ochotnika zgodził się dostać do Oświęcimia, by tam utworzyć konspiracyjną organizację bojową. Otrzymał on papiery oficera rezerwy Tomasza Serafińskiego, który, zamiast stawić się na wezwanie Niemców, przeszedł do podziemia. Fakt ten wystarczył, by w razie schwytania Tomasz Serafiński trafił do obozu koncentracyjnego. Z takimi papierami Witold Pilecki dziewiętnastego września 1940 roku dał się wziąć w łapance na Żoliborzu u zbiegu ulic Wojska Polskiego i Felińskiego. Miał „szczęście", dwa dni później tatuowano mu w Oświęcimiu numer 4859. Dwa miesiące później przekazał do Warszawy pierwszy meldunek, potwierdzenie, że Oświęcim jest obozem zagłady, a nie „zwykłym" obozem koncentracyjnym. Pod koniec 1940 roku Pilecki zmontował pięć pierwszych komórek konspiracyjnych, a po kilku miesiącach dalsze dwie. Między innymi w obozowym szpitalu zorganizowano stały nasłuch radiowy i ustnie rozpowszechniano informacje przeczące niemieckiej propagandzie. Praca konspiracyjna procentowała między innymi ucieczkami.

Dwudziestego czerwca 1942 roku, po południu, czwórka więźniów: Eugeniusz Bender, Stanisław Gustaw Jaster, Józef Lempart i Kazimierz Piechocki podkradła się pod drzwi magazynu mundurowego. Otwarcie zamków przygotowanymi wcześniej wytrychami zajęło kilkanaście sekund, a po kilku minutach magazyn opuściła czwórka SS-manów. Dwóch oficerów, dwóch podoficerów, zapiętych na ostatni guzik, w hełmach. Jeszcze równie krótka wizyta w magazynie broni, po karabiny, pistolety i amunicję, i do szlabanu odgradzającego obóz od wolnego, choć okupacyjnego świata podjechał wolno osobowy samochód marki Steyr 200. Pełniący służbę przy bramie SS-man widząc oficerskie dystynkcje siedzących z tyłu i podoficerskie kierowcy oraz siedzącego obok, poniechał sprawdzania dokumentów, podniósł szlaban i wyrzuciwszy ramię w powietrze ryknął *Heil Hitler*, gdy mijał go samochód. Z wnętrza odmachnięto mu na pożegnanie i Steyr szybko oddalił się w stronę Oświęcimia.

Czwórka uciekinierów bez najmniejszych kłopotów przejechała miasto i przekroczyła most na Sole kierując się na północ. Wóz dwukrotnie mijał grupy pracujących więźniów i pilnujących ich SS-manów, kilkakrotnie zawracał, gdyż kierowca zmylił drogę, zanim dotarł w okolice Starego

Sącza, gdzie zbiegowie porzucili samochód i mundury kontynuując ucieczkę w cywilnych ubraniach.

Tymczasem w obozie centralnym dopiero podczas wieczornego apelu stwierdzono brak czterech więźniów i samochodu SS-Hauptsturmfuehrera Kreuzmana, któremu podlegały garaże i warsztaty samochodowe. Lagerfuehrer Hans Aumeier, który nadjechał w trakcie apelu konno z Buny, pluł sobie w brodę i klął, że minął na drodze Steyra i że odsalutował jadącym w nim oficerom. Zarządzono pościg, przesłuchano wartownika, który wypuścił samochód bez sprawdzania dokumentów, zaalarmowano posterunki policji i żandarmerii. Bezskutecznie.

Brawurowa ucieczka niebywale podbudowała morale więźniów. Wieść o niej podawano sobie z ust do ust pomnażając przy okazji liczbę uciekinierów i ilość skradzionej broni. Tylko bardzo nieliczna grupka zaprzysiężonych wiedziała ponadto, że jeden z uciekinierów, podporucznik Stanisław Gustaw Jaster był kurierem Pileckiego i dlatego pod Starym Sączem odłączył się od współtowarzyszy i samotnie pośpieszył do Warszawy.

Niemcom nie udało się złapać zbiegów. Brak komunikatu o ich ujęciu pobudził ucieczkowego ducha. Kolejne ucieczki nie zawsze były tak szczęśliwe, ale wielu więźniom udało się zbiec z „przedsionka piekieł".

Również Pilecki uciekł z Oświęcimia zagrożony dekonspiracją i możliwością denuncjacji przez człowieka podejrzanego o zdradę i współpracę z Niemcami, za cenę uratowania się od śmierci. Wiosną 1943 roku Pilecki przekazał swe obowiązki następcom, przygotował cywilne ubranie oraz dokumenty i z trójką towarzyszy został przerzucony przez podziemną organizację do piekarni mieszczącej się poza terenem obozu. Tam wykorzystując każdy moment nieuwagi pilnujących strażników odkręcono kluczem – ukrytym uprzednio w węglu – śruby przytrzymujące sztabę zamykającą drzwi wejściowe oraz przecięto kable linii telefonicznej i systemu alarmowego. Wreszcie cała trójka, wykorzystując brak uwagi SS-manów, znalazła się przy drzwiach i naparła na nie. Drzwi skrzypnęły i ustąpiły. Zbiegowie znaleźli się na zewnątrz piekarni. Szybko zabarykadowali w niej kolegów i strażników, porzucili pasiaki, przeprawili się wpław przez Sołę i przedostali się do Generalnej Guberni. Drugiego maja 1943 roku, tydzień po ucieczce, Witold Pilecki zameldował się w punkcie kontaktowym w Bochni, a następnie zgłosił się do dowódcy lokalnego oddziału AK, którym okazał się... Tomasz Serafiński, człowiek za którego podawał się w Oświęcimiu.

Spryt i ofiarność pozwoliły objąć łącznością niemal wszystkich Polaków przebywających za drutami. W sprawozdaniu półrocznym z 1942 roku meldowano o nawiązaniu łączności ze wszystkimi oflagami oraz z jedną trzecią stalagów. Utrzymywano również stały kontakt z pięćdziesięcioma korespondentami działającymi w siedemnastu ośrodkach wywiezionych na roboty. Z końcem 1943 roku już tylko osiem stalagów nie miało łączności z Warszawą. W większości obozów działały odbiorniki radiowe i służby nasłuchu, do konspiracyjnych komend docierały z kraju instrukcje i rozkazy ukryte w paczkach żywnościowych, docierała fotografowana na mikrofilmach prasa konspiracyjna, którą wykorzystywano do podtrzymania morale, docierały pieniądze, broń, sprzęt radiowy.

Praca komórek „radio" należała w obozach jenieckich do najniebezpieczniejszych. Niemcy znakomicie zdawali sobie sprawę z faktu, że jeńcy mają odbiornik, nie udawało się bowiem ukryć, że obóz posiada informacje, których nie mógł zdobyć z niemieckich gazet, czy obozowego radiowęzła nadającego propagandowe programy. Wiedzieli, jak ważne są te informacje dla morale jeńców, które starali się złamać. Poszukiwali więc odbiorników szczególnie starannie, bardziej nawet niż podkopów czy innych dróg ucieczki. Barierą dla komórek „radio", zdawałoby się nie do przebycia, były też względy techniczne. Skąd wziąć odbiornik? Starano się kupić od strażników, przemycić z zewnątrz, zbudować wewnątrz obozu. W Woldenbergu zbudowano w warunkach obozowych odbiornik trzyzakresowy, do którego jedną z lamp zdobyto w niesłychany sposób. Przemycił ją chory na raka podpułkownik Konstanty Zaborowski. Skierowany do szpitala poza obręb obozu dowiedział się, po otwarciu jamy brzusznej, że lekarze nie są już w stanie nic dla niego uczynić. Wiedząc o potrzebach plutonu łączności radiowej poprosił polskich lekarzy szpitalnych, by zdobyli niezbędną lampę radiową i zaszyli mu ją w ciało. Lekarze zgodzili się, a później, w obozie, lampę wydobyto ukradkiem podczas codziennej zmiany opatrunku. Podpułkownik Zaborowski zmarł w Woldenbergu wycieńczony chorobą, ale świadom jak wielką przysługę oddał współjeńcom. Inny odbiornik kupiono od Niemców, a najlepszy, pięciolampowy, trzyzakresowy nadszedł pocztą w 1943 r. z kraju. Był to aparat skonstruowany w V Oddziale Komendy Głównej AK specjalnie dla pracy konspiracyjnej.

Nasłuch programów radiowych wiązał się z bezpieczeństwem odbierających i notujących wiadomości lub tajną korespondencję. W Woldenbergu początkowo słuchano radia w kantynie, gdzie odbiornik wmurowano w ścianę i zamaskowano jako wieszak na płaszcze, którego kołki połączono z gałkami radia. Słuchających alarmowała o niebezpieczeństwie czerwona lampka zapalana plecami przez naciśnięcie gwoździa w ścianie przez „obstawiającego". Później w 1943 roku wybudowano specjalny schron radiowy z włazem umieszczonym pod odsuwanym na bok, a czynnym piecem. W schronie tym wentylowanym wiatrakiem zrobionym z patefonu spokojnie notowano wiadomości przekazywane przez BBC, Moskwę i inne rozgłośnie alianckie, by później rozpowszechnić je „szeptanką" wśród jeńców. Inny punkt nasłuchu – w świetlicy – miał odbiornik zamaskowany w belce stropowej. Słuchający radia musiał, niestety, stać na odpowiednim rusztowaniu, ale obstawa punktu była tak znakomicie przeszkolona, że w ciągu dwudziestu pięciu sekund była w stanie schować radio, zamaskować skrytkę kurzem – tuż obok leżała specjalnie przygotowana kupka kurzu – rozebrać rusztowanie i zasiąść do partii szachów.

Rozwój działań wojennych oraz porzucenie koncepcji ogólnoeuropejskiego powstania antynazistowskiego zmniejszyły ewentualne „bojowe" znaczenie obozów jenieckich. Przez dłuższy czas obawiano się, że zgodnie z projektem Himmlera jeńcy wojenni mogą zostać przeniesieni do obozów koncentracyjnych i zmuszeni do pracy niewolniczej. Licząc się z taką możliwością przygotowano plany tak zwanych ucieczek masowych, likwidacji strażników, rozerwania drutów i desperackiej próby przeniknięcia do kraju. Dlatego też zaopatrywano organizacje konspiracyjne w broń. Na szczęście, po klęsce pod Stalingradem, wstrzymano realizację planów Himmlera w obawie przed represjami wobec setek tysięcy żołnierzy Wehrmachtu, którzy dostali się do radzieckiej niewoli. W ostatniej fazie wojny, już po Powstaniu Warszawskim, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w Londynie rzuciło projekt utworzenia dywersyjnych bojówek na zapleczu frontu zachodniego, ale plany te zostały stanowczo odrzucone przez Delegata Rządu z uzasadnieniem *„dla nas doświadczenia pomocy dla Warszawy są wystarczające. Nie będziemy bez końca ofiarnymi sługami aliantów"*. Postanowiono wstrzymać plany ucieczek z obozów i czekać na uwolnienie ich przez szybko posuwające się fronty.

Zygmunt Broniarek

GDY de Gaulle załamał się ...

W pobliżu Orleanu, miasta, które Joanna d'Arc wyzwoliła od Anglików w 1429 roku, w odległości około 120 kilometrów na południe od Paryża, położony jest zamek la Martilliére. W lipcu 1962 roku przybył do tego zamku, w charakterze ściśle prywatnym, prezydent Republiki Francuskiej generał Charles de Gaulle, by asystować przy ślubie swojej siostrzenicy. W tym samym czasie na de Gaulle'a przygotowany był zamach przez grupę ludzi, którzy uważali, że generał, zgadzając się na niepodległość Algierii, zdradził Francję. Do zamachu wówczas nie doszło – nie wiadomo, z jakich przyczyn. Ale kontakty spiskowców musiały sięgać daleko, jeżeli mieli oni w ręku jedno zaproszenie na ślub *in blanco*, przekazane przez członka rodziny albo panny młodej, albo pana młodego.

Wkrótce potem, 22 sierpnia – wciąż 1962 roku – w Pałacu Elizejskim odbywa się posiedzenie rady ministrów. Przewodniczy de Gaulle. Jednym z punktów porządku obrad jest wypowiedź ministra spraw wewnętrznych, Rogera Freya, który domaga się kategorycznie wzmocnienia sił policyjnych i radykalnego ograniczenia prawa posiadania broni. Stwierdza: „Wszystkie informacje, jakie mam, wszystkie wskazówki, wszystkie raporty są jednoznaczne: celem numer 1 jest dokonanie zamachu na szefa państwa, i to jak najszybciej."

Tego samego dnia po południu z podwórca Pałacu Elizejskiego wyruszają dwie limuzyny. W pierwszej znajduje się kierowca Marroux; obok niego, na przednim siedzeniu – zięć generała de Gaulle'a, pułkownik de Boissieu. Na tylnym siedzeniu: de Gaulle z lewej strony, jego żona Yvonne – z prawej. W limuzynie drugiej zajmują miejsca członkowie służby bezpieczeństwa, goryl de Gaulle'a, Djouder, do którego generał ma nieograniczone zaufanie, mimo że Djouder jest Algierczykiem, i lekarz wojskowy. Za limuzyną jedzie dwóch metardów, czyli policjantów na motocyklach.

De Gaulle udaje się na lotnisko wojskowe Villacoublay pod Paryżem, skąd ma odlecieć samolotem do swej prywatnej rezydencji, „La Boisserie" w Colombey-les-deux-Eglises, położonej mniej więcej w połowie drogi między Paryżem a Strassbourgiem.

Droga na lotnisko wojskowe prowadzi szosą 306 przez dzielnicę miasta Clamart, zwaną Le Petit Clamart, czyli „mały Clamart". Jest to miejscowość położona na południowy zachód od Paryża. Tu, w różnych punktach, zajmuje stanowiska pięć samochodów: dwie kamionetki i trzy samochody osobowe, w których znajdują się zamachowcy. W pierwszym – żółtym renault – siedzi trzech Węgrów – antykomunistów: Laszlo Varga, Lajos Marton i Gyulia Sari, którzy brali udział w kontrrewolucji na Węgrzech w 1956 roku, oraz dwóch Francuzów: Serge Dernier, zwany także Bernardem lub Muratem, który walczył w Korei, i Gerard Busine, „czarna noga" (le pied-noir), jak nazywali się popularnie Francuzi urodzeni lub długo mieszkający w Algierii.

Kierowca, którym jest Varga, uzbrojony jest w karabin amerykański. Sari, który walczył w Indochinach i został ranny w bitwie pod Dien-Bien-Phu, gdzie w 1954 roku nastąpiła klęska wojsk francuskich, ma lekki karabin maszynowy jak Gerard Buisine. Pozostali – tj. Serge Bernier i Marton uzbrojeni są w pistolety automatyczne. W walizce znajduje się zapas amunicji, granaty, kilogram materiału wybuchowego i lont oraz dwa ognie bengalskie z fosforu.

W drugim samochodzie, kamionetce peugeot, przywiezionej z Algierii, znajdują się trzy osoby. Dwie z nich – Henri Magade i Pascal Bertin – są nie tylko „czarnymi nogami" ale i członkami nielegalnego ugrupowania terrorystycznego, Organizacji Tajnej Armii (po francusku OAS). Trzecim jest Luis de Condé, mieszkaniec Francji metropolitalnej, liczący sobie zaledwie 23 lata, ale będący szefem ekipy znajdującej się w kamionetce. Wszyscy trzej uzbrojeni są w pistolety automatyczne kalibru 9 i 7,65 mm.

Citroen ID 19, skradziony poprzedniej nocy w Paryżu, ma w swym wnętrzu także trzy osoby. Są to: oficer, który zdezerterował z armii francuskiej, nazwiskiem Alain Bougrenet de la Tocnaye oraz Georges Watin i Jacques Prevost – także „czarne nogi". Watin był właścicielem jednej z największych winnic w Algierii i od ośmiu lat spiskuje przeciwko tym, którzy chcą „zdradzić Algierię francuską". W samochodzie prawdziwy arsenał: 3 pistolety automatyczne, granaty typu MK2, „koktajle Mołotowa" (specjalnie przygotowane butelki z benzyną), materiał wybuchowy, granaty dymne i bomby z fosforu.

W dwóch pozostałych samochodach – tylko po jednej osobie. W citroenie „Dux Cheveaus" („dwa konie", popula-

rny samochód francuski) Jean Pierre Naudin, student francuski z Algierii, patroluje okolice. W simce 1000 – szef całej tej operacji, Jean Maria Bastien-Thiry, absolwent niezmiernie we Francji prestiżowej Szkoły Politycznej (ukończył ją m.in. b. prezydent Francji, Giscard d'Estaing), pracownik departamentu technicznego w Ministerstwie Lotnictwa. Nienawidzi de Gaulle'a za Algier, ale ma i swe własne rodzinne tradycje faszystowskie: jest zięciem byłego sekretarza stanu do spraw młodzieży w rządzie Petaina w Vichy.

Skąd Bastien-Thiry wie, że de Gaulle będzie jechał właśnie tą trasą, właśnie w tym dniu i właśnie o tej godzinie? Ma informatorów na lotnisku wojskowym, na lotnisku docelowym, a nawet w Pałacu Elizejskim. O godzinie 19.45 wchodzi do miejscowej kafejki, gdzie odbiera telefon jako monsieur Perrin. Otrzymuje potwierdzenie, że de Gaulle opuścił Pałac Elizejski.

Scenariusz jest następujący. Gdy Bastien-Thiry spostrzeże limuzynę, rozłoży gazetę, którą trzyma w ręku. Będzie to znak dla jego wspólnika, Serge Berniera, który obserwuje szefa spisku przez lornetkę z odległości 250 metrów. Gdy znak zostanie dany, samochód Berniera zablokuje drogę limuzynie prezydenckiej, a spiskowcy otworzą ogień.

Plany te krzyżuje częściowo przypadek. Gdy Bastien-Thiry rozkłada gazetę, gestu tego nie dostrzega wspólnik. Bastien-Thiry orientuje się, powtarza gest, ale pięć czy sześć najcenniejszych sekund umyka. Przed limuzynę już wjechać nie można, wobec czego spiskowcy strzelają z boku. Drugi samochód zamachowców próbuje zablokować drogę nieco dalej, ale zostaje sam zablokowany przez wielki wóz meblowy, który akurat tamtędy przejeżdża.

De Gaulle, jego żona i ich zięć rzucają się na siedzenia i tylko szofer Marroux jest widoczny, schylony nad kierownicą. Trzy opony zostają przebite, przez samochód przechodzą cztery kule. Wystarczyło kilka centymetrów czy może nawet milimetrów różnicy, by de Gaulle lub ktoś z jego współpasażerów został zabity lub ranny. Najwięcej zimnej krwi wykazuje kierowca – bo pędzi, byle naprzód, byle naprzód.

Gdy samochód przyjeżdża na lotnisko, de Gaulle pyta, czy ktoś nie został ranny. Nie. Wobec czego mówi z ulgą, ale i z pogardą: „Patałachy, nawet strzelać nie umieją".

Większość spiskowców zostaje aresztowana i skazana na różne kary. Bastien-Thiry zostaje stracony. Jego ojciec, były oficer, kombatant wyrzeka się go. Ale serce ojcowskie przemawia. Pisze on list do de Gaulle'a z prośbą o łaskę. List nadchodzi do Pałacu Elizejskiego o 11 rano 11 marca 1963 roku. Za późno. Trzy godziny wcześniej egzekucja została wykonana.

Z zamachu korzyść ma tylko właściciel kafejki „Trianon", położonej obok miejsca nieudanego morderstwa. Właściciel zmienia nazwę kafejki na „Café Trianon pod strzelaniną".

Zamach na de Gaulle'a, sam przez się słynny, staje się impulsem do książki i filmu, które robią kolosalną furorę. „Dzień Szakala" Fredericka Forsytha – to opis fikcyjnego zamachu na de Gaulle'a w dniu 23 sierpnia 1963 roku, przygotowany przez tych, którym się zamach w Le Petit Clamart nie udał, a którzy zdołali zbiec.

Przytomność umysłu, zimna krew, opanowanie i odwaga, jaką wykazał się de Gaulle w czasie i po zamachu, jeszcze bardziej wzbogaciły legendę wokół jego osoby. Dlatego tym bardziej musi zastanawiać to, co stało się największą tajemnicą jego życia, tajemnicą, która dotychczas całkowicie wyjaśniona nie została. Ale zanim do niej dotrzemy, musimy przypomnieć kilka faktów z kariery politycznej de Gaulle'a, które wyjaśnią, dlaczego jego energia, choć kolosalna, osłabła, dlaczego jego charyzma, choć fantastyczna, zanikła.

W 1944 roku de Gaulle wrócił do Francji jako triumfator, jako wyzwoliciel. Został premierem, ale wkrótce przyszło rozczarowanie. De Gaulle stał się tak zdegustowany grą politykierów, że w 1946 roku odszedł. Odszedł z głębokim wewnętrznym przekonaniem, że naród francuski wezwie go ponownie, i to szybko, by zrobił porządek.

Ale naród francuski nie wezwał go szybko. Musiał czekać aż 12 lat, by to nastąpiło.

A nastąpiło to w okolicznościach dramatycznych.

Jest początek maja 1958 roku. Od 1 listopada 1954 roku trwa wojna w Algierii, którą generałowie francuscy stacjonujący w tym kraju chcą skończyć całkowitym zdławieniem rebelii. Ale zadanie to jest niełatwe. Prezydent Francji, Renè Coty, właściciel zakładów perfumeryjnych, człowiek elegancki, dobrze wychowany, ale nie będący w stanie poradzić sobie z wojną, musi bez przerwy przyjmować rezygnacje poszczególnych gabinetów i powierzać coraz to nowemu politykowi tworzenie kolejnego rządu. 6 maja 1958 roku rozmawia z wielokrotnym byłym ministrem, liberałem, Renè Plevenem i powierza mu taką misję. Ale równocześnie mówi: „Pan jest moją jedyną nadzieją. Jeżeli się panu nie uda, pozostanie mi tylko jedno wyjście: wezwać generała de Gaulle'a".

Pleven tworzy rząd 8 maja o 3 nad ranem, a 13 maja musi zrezygnować. Coty powierza misję sformowania nowego gabinetu Pierre Pflimlinowi, innemu politykowi burżuazyjnemu, także byłemu wielokrotnemu ministrowi. Generał Raoul Salan, naczelny dowódca wojsk francuskich w Algierii i inni generałowie wołają: „Pflimlin? Przecież on chce rokować z rebeliantami algierskimi. To oznacza kapitulację. To jest diabeł!"

Coty się asekuruje. 5 maja, w ścisłej tajemnicy, wysyła swego „wojskowego sekretarza militarnego", generała Jeana Ganevala, do mieszkania Jacquesa Foccarta, człowieka związanego z de Gaulle'em i z... wywiadem francuskim. U Foccarta generał spotyka pułkownika Gastona de Bonnevala, który jest zaufanym de Gaulle'a i mieszka z nim w jego rezydencji „Boisserie", oraz działacza gaullistowskiego, Oliviera Guicharda. Rokowania toczą się z przerwami 3 dni, po czym.... nic z nich nie wynika. De Gaulle uważa, że jeszcze za wcześnie ujawniać swoje warunki, Coty, że za wcześnie wysuwać oficjalnie nazwisko de Gaulle'a.

Tymczasem generałowie w Algierii organizują prawdziwy spisek, mający na celu przywołanie de Gaulle'a do władzy. Depesze między nimi są w części szyfrowane, a bohaterowie tej historii – z różnych obozów – otrzymują pseudonimy: „Durand" – to Coty, „Błękitny" – to szef sztabu generalnego, Paul Ely, „Królik" – to generał Jacques Massu z Algierii (który odegra później wielką rolę w czasie zamieszek we Francji w maju 1968 roku). „Archanioł" – to zwolennik de Gaulle'a, Michel Debré (pseudonim zostaje wybrany ironicznie, ponieważ Debré jest bardzo niski), „Słonecznik" – to wspaniały Guichard, „Szczurek" albo „Szop" – to Francois Mitterrand, późniejszy prezydent republiki.

A de Gaulle? De Gaulle jest „Gołębiem" ale nie dlatego, że jest człowiekiem gołębiego serca, tylko dlatego, że słowo to brzmi po francusku „colombe" i podobne jest do nazwy miejscowości Colombey-les-deux-Eglises, w której de Gaulle przebywa na wygnaniu.

Gaulliści organizują kampanię na rzecz powrotu de Gaulle'a do władzy. W kampanii tej rybacy z wyspy Sein odgrywają rolę szczególną.

Wyspa Sein położona jest naprzeciwko Bretanii i do niej należy. 18 czerwca 1940 roku, kiedy Francja już skapitulowała i kiedy ogromna większość Francuzów uważa marszałka Philippe'a Petaina za swego wybawcę, bo – wprawdzie kapitulacją – ale zakończył wojnę z Trzecią Rzeszą, z Londynu, na falach BBC, rozlega się głos nikomu wówczas nieznanego generała, który wzywa do dalszej walki. Jest nim de Gaulle, którego „legalne" władze Francji – tj. Petain – ogłaszają „rebeliantem", nieomalże „zdrajcą". Praktycznie nikt go nie słucha. Słuchają go tylko rybacy z wyspy Sein. Oni natychmiast, nie namyślając się, wiedzeni patriotyzmem, bretońskim przywiązaniem do niepodległości i uporem, wypływają w nocy do Londynu, i oddają się na służbę „zbuntowanego" generała.

Teraz, ów „zbuntowany" generał czeka. 13 maja, Pierre Pflimlin zostaje zatwierdzony przez francuskie Zgromadzenie Narodowe, a równocześnie w Algierii wybucha powstanie przeciwko polityce „kapitulacji", którą Pflimlin ma reprezentować. On sam twierdzi, że nie, ale powstanie, a właściwie rebelia w Algierze trwa. Tworzy się tam Komitet Ocalenia Narodowego – nazwa wzięta z Rewolucji Francuskiej – na którego czele staje generał Massu, który wzywa generała de Gaulle'a, żeby przerwał milczenie. Ale on milczy wciąż. Rząd w Paryżu chce wysłać do Algierii Roberta Lacoste'a, który, notabene, kilka dni wcześniej stamtąd przyjechał, i wówczas pada odpowiedź „historyczna": „Wrócić do Algierii? Pocałujcie mnie w d...".

Sytuacja jest tak napięta, że de Gaulle czuje, że dłużej czekać nie może. 15 maja o godz. 18.00 wydaje oświadczenie rozpoczynające się od słów: „Jestem gotów przejąć władzę w republice..."

W dzień później, 16 maja, Zgromadzenie Narodowe, 462 głosami przeciwko 112, wprowadza stan wyjątkowy we Francji. Ale upływa 12 dni, aż premier Pflimlin złoży swą dymisję na ręce prezydenta Coty, który ją przyjmuje.

Atmosfera jest tak naładowana poczuciem istnienia spisków, że de Gaulle, by się porozumieć z przewodniczącymi Zgromadzenia Narodowego i Senatu w sprawie przejęcia władzy, spotyka się z nimi potajemnie, o północy z 28 na 29 maja (wciąż 1958 roku) nie w Paryżu, lecz w podparyskiej miejscowości Saint Cloud. 29 maja, przed południem, prezydent Coty wydaje oświadczenie, że zwrócił się do „najbardziej dostojnego Francuza" o ratunek dla ojczyzny, a o 19,30 – przyjmuje de Gaulle'a w Pałacu Elizejskim. De Gaulle oświadcza, że zgadza się utworzyć nowy rząd. Otrzymuje pełnię władzy na sześć miesięcy i uprawnienia konstytucyjne dla opracowania nowej ustawy zasadniczej. 1 czerwca 1958 roku de Gaulle otrzymuje inwestyturę, czyli zgodę parlamentu na utworzenie rządu, 329 głosami przeciwko 244. Po 12 latach, de Gaulle znowu kieruje losami Francji.

W 4 dni później następuje wydarzenie, które jest kluczem do zamachu na de Gaulle'a w cztery lata później, w Petit Clamart.

4 czerwca de Gaulle jedzie do Algieru. Tam na Forum – głównym placu – oczekuje go ogromny tłum Francuzów, którzy chcą od niego tylko jednego jedynego zapewnienia: że Algieria będzie zawsze francuska. De Gaulle sam wie dobrze, że jest to niemożliwe, że ruch narodowowyzwoleńczy w Algierii reprezentuje taką siłę, że nic nie zdoła mu się przeciwstawić, że „czarne nogi" łudzą się, jeżeli myślą, iż broń, tortura i masakra zwyciężą. Ale de Gaulle wie równie dobrze, iż nie może im tego powiedzieć. Pada więc z jego ust zdanie, które przejdzie do podręczników historii. Zdanie to brzmi:

„Zrozumiałem Was".

Owacja jest frenetyczna. Ale nikt nie zastanawia się, co to zdanie znaczy. „Zrozumiałem was" może przecież być interpretowane jako wyraz poparcia dla żądań „czarnych nóg" albo jako czyste stwierdzenie faktu, że wprawdzie on, de Gaulle, ich zrozumiał, ale że nie może im dać tego, czego chcą.

Następują nowe tajemnice. Gdy 6 czerwca, u stóp pomnika poległych (Francuzów, oczywiście) w Algierze, tłum wiwatuje na cześć de Gaulle'a, myśląc, że jest po ich stronie, on nachyla się do swego ministra do spraw Sahary, Maxa Lejeune'a i mówi z pogardą: „Jak oni mnie denerwują, te ch...".

Ale w dzień później, w Mostagenem położonym na zachód od Algieru, nad Morzem Śródziemnym, de Gaulle woła jednak: „Niech żyje Algieria francuska!".

Co się stało? Wyjaśnień jest wiele. Że de Gaulle był zmęczony. Że tłum po prostu „wyrwał" mu to powiedzenie z gardła. Że on sam, w gruncie rzeczy, powiedzieć tego nie chciał.

I chyba wyjaśnienia te są słuszne. Bowiem de Gaulle zdania tego nie powtórzył już nigdy! A kiedy później pytano, jak się to mogło stać, że z jego ust padły słowa: „Niech żyje Algieria francuska", odpowiedział, nie chcąc przyznać się do winy: „Przecież mówi się potocznie: Kanada francuska, Szwajcaria francuska". Jasne jednak, że to coś zupełnie innego: tam się myśli o Szwajcarii czy Kanadzie francuskojęzycznej; tu, w Algierii, zdanie de Gaulle'a mogło mieć znaczenie tylko jedno.

Od tamtego momentu rozpoczyna się coś, co będzie narastało, bo narastać musi: działania de Gaulle'a, by doprowadzić do niepodległości Algierii, i nienawiść „czarnych nóg" za to, że ich zdradza.

29 kwietnia 1959 roku de Gaulle spotyka się z Pierrem Laffontem, redaktorem naczelnym pisma „czarnych nóg" w Algierii, „L'Echo d'Oran", któremu mówi: „Algieria starego papy umarła". „Algieria starego papy" to właśnie Algieria francuska. Jak gdyby w odpowiedzi na to, 24 stycznia 1960 roku, w Algierii wybucha nowe powstanie. De Gaulle nazywa je „podłym ciosem, wymierzonym we Francję" i zdusza je. 10 czerwca 1960 roku de Gaulle idzie dalej: przyjmuje potajemnie szefa IV okręgu wojskowego partyzantów algierskich, Si Salaha, i jego współpracowników. 5 września tego samego roku, mówi publicznie: „Algieria algierska nadchodzi". 11 kwietnia 1961 roku, określa już Algierię przyszłości jako „państwo suwerenne". Po dwóch referendach we Francji w sprawie samostanowienia Algierii, które de Gaulle wygrywa przytłaczającą większością głosów, 3 lipca 1962 roku następuje proklamowanie niepodległości tego państwa.

22 sierpnia tego samego roku de Gaulle staje się obiektem zamachu w Le Petit Clamart. Na szczęście, strzelają do niego „patałachy".

* * *

Ale, o ile sprawa algierska wyjaśnia zamach w Le Petit Clamart, o tyle nie wyjaśnia ona tej wielkiej tajemnicy w życiu de Gaulle'a, jaka nastąpiła w maju 1968 roku. Nie odpowiada ona na pytanie: dlaczego de Gaulle załamał się? Nie daje ona wskazówki co do powstania rysy w jego charakterze.

Odpowiedź na to pytanie składa się z pojęcia i nazwiska. Pojęcie brzmi: atom. Nazwisko brzmi: Lecanuet.

* * *

W czerwcu 1944 roku, a więc jeszcze przed zakończeniem wojny, kiedy mogło się wydawać, że de Gaulle jest bezapelacyjnie przywódcą Wolnej Francji i że to on obejmie ster

rządów w swym wyzwolonym kraju, Churchill powiedział mu: „Chciałbym, żeby pan to dobrze wiedział: jeżeli kiedykolwiek będziemy musieli wybierać między Europą a otwartym morzem, zawsze wybierzemy otwarte morze. Jeśli będę miał wybierać między Rooseveltem a panem, zawsze wybiorę Roosevelta".

Było to dostatecznie gorzkie a nawet uwłaczające. Ale de Gaulle'owi nic nie miało być oszczędzone. Harold Macmillan, brytyjski minister-rezydent w Północnej Afryce i przedstawiciel dyplomatyczny Wielkiej Brytanii przy Komitecie Wyzwolenia Narodowego Francji, a więc – u de Gaulle'a, stwierdził dodatkowo: „Jeżeli generał de Gaulle odrzuci rękę wyciągniętą do niego, niech wie, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone opuszczą go całkowicie – a wówczas będzie niczym". Słowa te szybko dotarły do generała.

De Gaulle był człowiekiem dumnym; więcej – uważał, że to on uosabia „wieczną Francję", że jest jej ucieleśnieniem. Takich słów nie zapomina nikt, a już na pewno ten, który uważa, że w jego osobie zostało obrażone jego państwo.

De Gaulle nie zapomniał. Gdy po raz drugi obejmował władzę we Francji, Churchilla – jako polityka – już nie było. Ale jak gdyby los chciał mu dać możliwość zemszczenia się, i to zemszczenia się osobiście, stanowisko premiera Wielkiej Brytanii zajmował Harold Macmillan. Ten sam, który chciał z de Gaulle'a zrobić nicość.

De Gaulle rozpoczyna swą wielką grę.

24 października 1958 roku, a więc w niespełna pięć miesięcy po objęciu stanowiska premiera Francji, w dzienniku zachodnioniemieckim „Der Mittag" ukazuje się dość enigmatyczna wiadomość: de Gaulle miał wystosować do szefów krajów NATO memorandum w sprawie reorganizacji tego ugrupowania. Wiadomość początkowo nie wzbudza większej uwagi; wiadomo, że rządy krajów NATO przesyłają sobie nawzajem różnego rodzaju noty i memoranda, i większość czytelników – i polityków – myśli, że właśnie o takie memorandum chodzi. Ale powoli tajemnica się wyjaśnia i wreszcie wiadomo, że to sensacja pierwszej wody, że to prawdziwa bomba.

Czego ona dotyczy? Okazuje się, że 24 września 1958 roku generał de Gaulle wystosował nie memorandum, ale list osobisty, i nie do wszystkich rządów krajów NATO, ale tylko do Eisenhowera i Macmillana. W liście tym domaga się on ni mniej ni więcej tylko triumwiratu trzech krajów – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji – dla rządzenia całym światem zachodnim.

Jest to, według Eisenhowera i Macmillana, żądanie aroganckie. Obaj mężowie stanu nie wiedzą nawet, co odpowiedzieć – i nie odpowiadają. Francja, która jak kulę u nogi, ma Algierię, Francja, wstrząsana zaburzeniami wewnętrznymi, Francja, która kilka miesięcy wcześniej stała na krawędzi wojny domowej, Francja, która nie posiada – jeszcze! – bomby atomowej, chce stanąć obok dwóch uznanych potęg – już nie tylko atomowych, ale i wodorowych? Toż to prawdziwe bluźnierstwo! Czy de Gaulle postradał zmysły?

Bynajmniej!

De Gaulle wie, że ma przed sobą alternatywę niezmiernie prostą: albo jego list zostanie przyjęty, albo nie. Jeżeli zostanie przyjęty, de Gaulle będzie mógł zasiąść wśród najmożniejszych świata zachodniego. Jeżeli nie... wówczas świat ten zobaczy, co naprawdę znaczy Francja i de Gaulle. Powie on później swoim zaufanym: „List z 1958 roku nie był niczym innym, jak tylko instrumentem presji dyplomatycznej. Starałem się znaleźć sposób wyjścia z sojuszu atlantyckiego i przywrócić Francji wolność, którą straciła, gdy IV Republika podpisywała traktat o NATO. Dlatego też sięgałem po księżyc. Wiedziałem, że go nie dostanę. Nie można było nawet na to liczyć: Anglosasi zawsze odmówiliby mi go. Bo przecież oni chcieli używać siły według własnego widzimisię i Francja do tego nie była im potrzebna. Oni pragną tylko nad nami panować.

Ale ponieważ nie odpowiedzieli na mój list, pozwolili mi na podjęcie kroków w kierunku wystąpienia z sojuszu atlantyckiego. Nie mógłbym tego zrobić, gdybym wcześniej nie spróbował uzyskać tej odmowy".

W swej grze przeciwko Anglosasom de Gaulle ma trzy karty.

Pierwsza nazywa się: Konrad Adenauer.

De Gaulle wie, że Adenauer, kanclerz państwa, które zaledwie trzynaście lat wcześniej nie istniało, pomny straszliwej spuścizny Trzeciej Rzeszy, potrzebuje jak powietrza uznania międzynarodowego w zachodnim świecie. A któż może mu takie uznanie lepiej zapewnić niż bohater Ruchu Oporu, jedna z największych postaci Europy i świata, legendarny już prawie de Gaulle? RFN jest potęgą ekonomiczną, to prawda, ale i Francji, pod tym względem, niewiele brakuje. Ale w sensie moralnym Francja góruje nad Niemcami Zachodnimi.

W dwa dni po wysłaniu listu do Eisenhowera i Macmillana de Gaulle spotyka się z Adenauerem w Bad Kreuznach w RFN. Już wówczas obaj mężowie stanu kładą podwaliny pod układ Francja-RFN, który stanie się punktem zwrotnym w stosunkach między obu krajami. Układ ten zostanie podpisany 22 stycznia 1963 roku.

Druga karta nazywa się: bomba atomowa.

Wróćmy do Algierii. Dlaczego de Gaulle zgodził się na niepodległość tego kraju, a tym samym naraził na zamach w Le Petit Clamart? Że działało tutaj przekonanie, iż Francja Algierii nie utrzyma, wątpliwości nie ma. Ale istnieje i inny czynnik, o którym nie mówiło się wówczas wiele, i o którym nawet i teraz niewiele się mówi. Tym czynnikiem była zgoda Algierczyków, by Francuzi, nawet po uzyskaniu przez Algierię niepodległości, mogli korzystać z bazy doświadczalnej Reggane, na Saharze.

Nie była to zwykła baza doświadczalna. Francja, jeszcze przed dojściem de Gaulle'a do władzy, w listopadzie 1956 roku rozpoczęła prace nad skonstruowaniem i wyprodukowaniem własnej bomby atomowej. Prowadziła je sama, ponieważ Stany Zjednoczone postawiły weto wobec współdziałania Wielkiej Brytanii z Francją na tym polu. Gdy de Gaulle doszedł do władzy, nie zapomniał tego.

Ale bomba atomowa była niczym, jeżeli nie można było jej wypróbować. W ówczesnych warunkach mogło się to stać tylko w bazie Reggane.

13 lutego 1960 roku Francja dokonuje pierwszego doświadczalnego wybuchu bomby atomowej. Próba udaje się. Francja, bez zgody Anglosasów, wchodzi do klubu atomowego.

Ale de Gaulle czeka, czy będzie mógł rzucić na stół również swą trzecią kartę: stosunki ze Wschodem. Dla wypróbowania tej karty podejmuje ryzyko niemałe.

Składają się na to dwa posunięcia. Pierwsze – to zaproszenie przywódcy radzieckiego, Nikity Siergiejewicza Chruszczowa do Francji. Ale przedtem, 12 i 13 marca 1960 r., następuje spotkanie między de Gaulle'em a Macmillanem w Rambouillet pod Paryżem. Jest to już po wybuchu w Reggane i de Gaulle czeka, jaka będzie reakcja Macmillana: czy zechce on wrócić do listu de Gaulle'a z 24 września 1958 roku, czy – innymi słowy – wyrazi on zgodę na sugestie zawarte w liście, by stworzyć triumwirat. Odpowiedź jest niezadowalająca. Umacnia to tylko de Gaulle'a w przekonaniu, że musi iść własną drogą.

23 marca do Francji przyjeżdża Chruszczow. Jego pobyt trwa do 2 kwietnia.



Rozmowy przebiegają dobrze, choć w niektórych sprawach dochodzi do ostrych sprzeczności. Mimo to, de Gaulle podejmuje drugą część ryzyka: w czasie pobytu Chruszczowa we Francji każe dokonać w Reggane drugiej próby z bombą atomową. De Gaulle czeka na reakcję swego gościa: co on powie na rozszerzenie klubu atomowego? Czy wyrazi protest przeciwko rozprzestrzenianiu się broni atomowej, czy też uzna, że Francja ma dostateczne powody, by posiadać własną taką broń?

Chruszczow odpowiada: „Francja może mieć i sto bomb atomowych – to nas nie niepokoi. Ale gdyby Niemcy miały chociażby jedną, choćby małą bombę atomową, zmieniłoby to całą sytuację światową".

Tu więc leży pies pogrzebany: według opinii Związku Radzieckiego Francja może mieć własną broń atomową, ale musi czuwać nad tym, by RFN takiej broni nie miała.

Swoją drogą ryzyko, jakie podjął de Gaulle, nakazując przeprowadzenie drugiej próby z bombą atomową w czasie pobytu Chruszczowa, było nieco złagodzone krokiem, który przywódca francuski zrobił rok wcześniej: 25 marca 1959 roku, jako pierwszy zachodni mąż stanu uznał oficjalnie granicę na Odrze i Nysie.

Własną drogę de Gaulle'a zaczynają wyznaczać konkretne czyny. W kwietniu 1959 roku Francja odmawia zgody na budowę wyrzutni pocisków atomowych i na składowanie amerykańskiej broni atomowej na swym terytorium. Nie zgadza się ona również na zintegrowanie systemu obrony przeciwlotniczej z systemem NATO. Ponieważ amerykańskie myśliwce bombardujące rozmieszczone w trzech bazach francuskich: Toul, Etain i Chaumout (północno-wschodnia Francja, w pobliżu granicy z RFN) mają sens tylko o tyle, o ile mogą przenosić broń atomową, Stany Zjednoczone wycofują je. W siedem miesięcy później, 3 listopada 1959 roku, de Gaulle wygłasza w Wyższej Szkole Wojskowej przemówienie, w którym wypowiada się zdecydowanie przeciwko integracji atlantyckiej, czyli podporządkowaniu Francji dowództwu wojskowemu NATO.

8 listopada 1960 roku John F. Kennedy zostaje wybrany prezydentem USA. Stanowisko gospodarza Białego Domu obejmuje 20 stycznia 1961 roku. A w rok później na horyzoncie pojawia się tajemnicza sprawa, nie rozstrzygnięta dotychczas. Jej kryptonim brzmi „Topaz".

Osobiście, między Kennedym a de Gaulle'em nie było żadnych sprzeczności. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych wraz ze swą małżonką, Jacqueline, przybył 31 maja 1961 roku do Paryża, pozornie wszystko wyglądało dobrze, nawet wspaniale. W czasie uroczystego obiadu Jacqueline Kennedy siedziała obok de Gaulle'a i konwersowała z nim doskonałą francuszczyzną. Wypytywała go tak precyzyjnie o szczegóły historii Francji – o Ludwika XVI, o księcia d'Angouleme (syna Karola X, który dowodził ekspedycją francuską przeciwko Hiszpanii w 1823 roku) i o skomplikowane powiązania dynastyczne Burbonów, że de Gaulle, zachwycony powiedział Kennedy'emu, iż jego żona wie więcej o historii Francji niż większość Francuzek.

Jacqueline w ogóle królowała. Sam Kennedy otwierając konferencję prasową stwierdził: „Ja jestem tylko tym, który towarzyszył Jacqueline Kennedy w podróży do Paryża. Bardzo mi to odpowiadało".

Jednakże, gdy między Kennedym a de Gaulle'em doszło do rozmów w sprawie NATO, nastąpiły komplikacje. De Gaulle powiedział Kennedy'emu, że istnieją dwie oddzielne sprawy. Jedna – to sojusz atlantycki, druga – to jego organizacja wojskowa. Francja zamierza pozostać w sojuszu, ale on, de Gaulle, zastanawia się, czy powinna ona być również częścią organizacji wojskowej. Było to pierwsze oficjalne, choć prywatne, stwierdzenie de Gaulle'a, że Francja może się z tej organizacji wycofać.

Na reakcje nie trzeba było długo czekać. Wybucha

sprawa „Topaza". Na początku 1961 roku zaczynają pojawiać się po obu stronach Atlantyku pogłoski, według których w najbliższym otoczeniu de Gaulle'a znajduje się radziecki agent. Agent ma fałszywie informować de Gaulle'a, podpowiadać mu różne „awanturnicze" posunięcia, siać nieufność między nim a Amerykanami. Według niektórych pogłosek, Kennedy interweniuje. Pisze osobisty list do de Gaulle'a, oferując mu informacje, znajdujące się w posiadaniu amerykańskiego wywiadu.

Sprawa ta staje się w kilka lat później przedmiotem niezwykłego pojedynku. Pisarz amerykański, Leon Uris („Exodus", „Miła 16" – o powstaniu w getcie) rzuca na rynek, przy fantastycznej reklamie, książkę pt. „Topaz". Jest to zbeletryzowana opowieść o prezydencie Stanów Zjednoczonych (bez nazwiska, ale wiadomo, że chodzi o Kennedy'ego), który ostrzega prezydenta Francji, Pierre La Croix (de Gaulle) o tym właśnie agencie. Odpowiedni list fikcyjnego prezydenta USA do La Croix, datowany: 20 października 1962 roku, zawiera m.in. następujące zdania:

„Źródła informacyjne, które uważamy za całkowicie wiarygodne, uświadomiły nas o istnieniu sytuacji tak niezmiernie poważnej, że podejmuję niezwykły krok. Piszę do Pana ten list w jednym egzemplarzu i wysyłam go przez mojego specjalnego asystenta...

Poinformowano nas o istnieniu szerokiej sieci szpiegowskiej obywateli francuskich, zatrudnionych jako agenci Związku Radzieckiego. Sieć ta działa pod nazwą-kodem „Topaz". Wydaje się, że udało im się infiltrować skutecznie i głęboko wszystkie wydziały rządu, a zwłaszcza służby specjalne...

Te same źródła poinformowały nas, że członek, lub członkowie sieci „Topaz" znajdują się w najbliższym otoczeniu Pana..."

Książka Urisa ukazuje się w 1967 roku, a więc – jeszcze wówczas, gdy de Gaulle znajduje się u władzy. Amerykanie przerabiają ją na film. Film jest wyświetlany na całym Zachodzie; we Francji nosi tytuł „L'Etau" („Imadło").

W 1970 roku na powieść Urisa odpowiada pisarz francuski, Pierre Nord, również powieścią, pt. „13. samobójca". Nord jest ciekawą postacią literatury francuskiej. Pracował przez wiele lat w wywiadzie francuskim i napisał 8 książek dokumentalnych na ten temat, m.in. trzytomowe dzieło o wywiadzie w czasie wojny pt. „Moi towarzysze nie żyją". Nord oddał też w ręce czytelników francuskich 6 powieści kryminalnych. Ale jego prawdziwym tytułem do sławy jest 48 powieści szpiegowskich pod ogólnym tytułem: „Kronika wojny wywrotowej".

Nord jest antykomunistą i w swych książkach snuje wątki antyradzieckie. Tym bardziej przekonująca jest wspomniana powieść, która przedstawia tezę Urisa jako bzdurę, a Amerykanów – jako ludzi niezwykle naiwnych.

Tymczasem nadchodzi grudzień 1962 roku, a z nim – prawdziwy przełom w stosunkach między gaullistowską Francją a Anglosasami.

9 sierpnia 1961 roku Wielka Brytania składa podanie o przyjęcie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. De Gaulle, pamiętając powiedzenie Churchilla, że Anglia zawsze wybierze „otwarte morze", wypowiada się przeciw, ale odbywają się rozmowy de Gaulle-Macmillan. 7 sierpnia następuje odroczenie rokowań w sprawie przystąpienia Wielkiej Brytanii do EWG.

W połowie grudnia 1962 roku Macmillan przyjeżdża do de Gaulle'a, do uroczej i historycznej miejscowości Rambouillet. Jest to ostatnia próba prezydenta Francji wysondowania prawdziwych poglądów Macmillana. De Gaulle proponuje Macmillanowi zbudowanie wspólnej rakiety z głowicą atomową, jako podstawy wspólnej anglo-francuskiej siły atomowej, która z kolei byłaby podstawą wspólnej zachodnioeuropejskiej siły atomowej, niezależnej od USA. Macmillan jest w kropce. Nie chce odmówić wprost, ale wie, że jeżeli nie zgodzi się na propozycję de Gaulle'a, o przystąpieniu Anglii do EWG mowy być nie może. Z drugiej strony, ze względu na politykę wewnętrzną, pragnie on przynajmniej zachować pozory, iż rokowania w sprawie EWG nie zostały zerwane, że trwają. De Gaulle uznaje, że Macmillan jest zdecydowany pozostać z Amerykanami, że Anglia w EWG nie będzie niczym innym, jak tylko „koniem trojańskim USA".

Gdy Macmillan opuszcza Rambouillet, de Gaulle mówi do swoich zaufanych: „Ten człowiek, któremu nie mogłem dać niczego, wyglądał tak smutno, był tak przygnębiony, że miałem ochotę położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć, jak Edith Piaf w swej piosence: „Nie płaczcie już, Milord!".

Bezpośrednio z Rambouillet, Macmillan jedzie do Nassau, na Bahamach. Ma się tam spotkać z prezydentem USA, Kennedym.

Jest to spotkanie niezmiernie ważne. Macmillan domaga się od Kennedy'ego pocisków nuklearnych „Skybolt", odpalanych z samolotów. Ale na krótko przed spotkaniem w Nassau, Kennedy dochodzi do wniosku, że broń ta jest zbyt kosztowna i zbyt niepewna: próby wypadają źle. Wówczas następuje zamiana: zamiast „Skyboltów", Anglicy otrzymują pociski „Polaris" odpalane z atomowych łodzi podwodnych. Anglicy mają takie łodzie. Mają także głowice atomowe (i produkują nawet bomby wodorowe). Jest to więc rozwiązanie idealne.

Powstaje jedynie pytanie, pod czyją kontrolą znajdować się będą „Polarisy". Wielka Brytania pragnie być „niezależnym mocarstwem atomowym", podczas gdy Amerykanie prą ku temu, by również i angielskie „Polarisy" były zintegrowane w NATO, to znaczy, by znajdowały się praktycznie pod kontrolą USA. Zostaje wypracowany kompromis następujący: „Polarisy" będą używane „dla celów międzynarodowej obrony sojuszu zachodniego" (to znaczy znajdować się będą pod kontrolą NATO czyli USA). Jednakże Macmillan zastrzega sobie również, że „jeżeli rząd brytyjski uzna, iż w grę wchodzą najwyższe interesy państwowe" będzie on mógł wycofać „Polarisy" spod amerykańskiej kontroli. Ta ostatnia klauzula nie ma praktycznie większej wartości, bowiem trudno sobie wyobrazić, żeby Wielka Brytania mogła użyć broni nuklearnej na własną rękę, poza ramami ewentualnej światowej wojny nuklearnej.

Kennedy i Macmillan zdają sobie oczywiście sprawę, że de Gaulle uzna porozumienie z Nassau za ostateczny dowód, iż Wielka Brytania wybrała Amerykę, że poza jego plecami został zawarty separatystyczny pakt. Wobec czego oferują de Gaulle'owi podobne warunki. Sam de Gaulle chwilowo nie reaguje. Jego minister stwierdza tylko, że Francja nie posiada ani łodzi podwodnych, potrzebnych dla „Polarisów", ani głowic. Kennedy, znając dumę de Gaulle'a i jego poczucie wielkości Francji, czuje, że reakcje mogą być wybuchowe. Zaprasza więc do Palm Beach na Florydzie, gdzie spędza święta Bożego Narodzenia, ambasadora Francji, Hervé Alphanda, i informuje go szczegółowo o porozumieniu w Nassau. Wzywa także z Paryża ambasadora amerykańskiego we Francji, Charlesa Bohlena, by poinformować go, co ma powiedzieć bezpośrednio de Gaulle'owi. 5 stycznia 1963 roku de Gaulle przyjmuje Bohlena. Słucha go spokojnie. Nie wykazuje wprawdzie entuzjazmu dla porozumienia w Nassau, ale też nie ujawnia zacietrzewienia. Bohlen wychodzi uspokojony.

Grom z jasnego nieba pada 14 stycznia 1963 roku. Jest to chyba najsłynniejsza konferencja prasowa prezydenta de Gaulle'a.

Najpierw Wielka Brytania i EWG. Przyjęcie Wielkiej Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, mówi de Gaulle, zmieniłoby charakter tej organizacji. „Wyglądałaby ona ostatecznie jak kolosalna wspólnota atlantycka pod dominacją i kierownictwem amerykańskim".

Obrona Francji: „Francja zamierza utrzymać swoją własną obronę... W obecnych warunkach integracja jest absolutnie nie do przyjęcia".

Francuska atomowa „siła uderzeniowa": „Jest całkowicie zrozumiałe, że to francuskie przedsięwzięcie nie wygląda bardzo zadowalająco w oczach ludzi z niektórych kół amerykańskich. W polityce i strategii, podobnie jak w ekonomice, monopol wydaje się najlepszym rozwiązaniem dla tego, kto go posiada".

A więc – zerwanie z przeklętymi Anglosasami! Nie chcą de Gaulle'a jako równoprawnego partnera, mogą go nie mieć wcale! Nie powinno to zresztą być dla nikogo niespodzianką ani tajemnicą. W tomie swych pamiętników pt. „Salut" („Ocalenie"), wydanym w 1959 roku, de Gaulle pisał przecież: „chcą nas relegować na drugie miejsce wśród narodów, odpowiedzialnych za budowę pokoju. Nie mam zamiaru pozwolić na to... Mam zamiar zapewnić Francji pierwszeństwo w Europie Zachodniej".

W 9 dni później, 23 stycznia 1963 roku, francuski minister obrony, Pierre Messmer, ogłasza: Francja rozpoczyna seryjną produkcję bomb atomowych.

Wydarzenia rozwijają się szybko. W czerwcu 1963 roku, de Gaulle wycofuje flotę francuską na Atlantyku z organizacji wojskowej NATO. Ponieważ w związku z tym oficerowie francuscy, pracujący w sztabach NATO, nie mają nic do roboty, zostają w rok później odwołani.

3 kwietnia 1964 roku następuje rozwiązanie tzw. „afery Bull". Bull – to francuska firma komputerowa, która, w wyniku trudności finansowych, chce się powiązać z Amerykanami. Rząd francuski mówi „nie"! Pod koniec lipca 1964 roku de Gaulle, na konferencji prasowej, ostrzega partnerów z EWG, jak wielkie ryzyko stanowi brak uzgodnionej polityki zachodnioeuropejskiej w obliczu prób dominacji USA. 29 września 1964 roku wzywa on w Strassbourgu do stworzenia „Europy europejskiej".

Wkrótce potem, pod koniec lutego 1965 roku, de Gaulle wymierza cios całej anglosaskiej części Kanady i sprawie jedności tego kraju: podpisuje umowę kulturalną z jedną tylko prowincją, z francuskojęzycznym Quebekiem, który chce się od Kanady oderwać. Przedstawicielstwo gospodarczo-kulturalne prowincji Quebec w Paryżu traktowane jest przez de Gaulle'a nieomalże jak ambasada suwerennego państwa.

18 marca następuje uderzenie finansowe, wymierzone w USA: we Francji ogłasza się, że zapasy złota Stanów Zjednoczonych zmniejszyły się od 1 stycznia tego roku o 885 milionów dolarów, z czego na Francję przypada 482,5 miliona dolarów. Innymi słowy, więcej niż połowę sprzedanego przez USA złota przejęła Francja.

Pod koniec kwietnia 1965 roku de Gaulle używa następującej metafory, by określić francuską politykę zagraniczną: „Bez względu na to, jak duża byłaby szklanka, którą chce nam się wręczyć, wolimy pić z własnej, jednakże wznosząc toast za całe nasze otoczenie".

28 kwietnia 1965 roku w Dominikanie lądują amerykańscy marines (piechota morska). De Gaulle daje do zrozumienia, że potępia ten krok. W miesiąc później Francja odwołuje swych przedstawicieli z SEATO (Paktu Południowo-Wschodniej Azji), który w tamtym regionie spełnia rolę NATO. Na *garden party* w Pałacu Elizejskim, w czerwcu 1965 roku, de Gaulle mówi: „Nie chcemy Europy ponadnarodowej". Swoje własne stanowisko we Francji i na świecie, swą niezależną pozycję, swą wolę działania, de Gaulle określa następująco: „Czy ktoś kiedykolwiek mógłby uwierzyć, że generał de Gaulle zadowoli się inauguracją wystaw chryzantem?".

Z RFN de Gaulle utrzymuje stosunki jak najlepsze, ale od czasu do czasu pozwala sobie na złośliwości. 2 lipca 1963 roku, a więc zaledwie w kilka miesięcy po podpisaniu traktatu Francja-RFN, de Gaulle mówi prywatnie: „Traktaty są jak młode dziewczęta i róże. Jeżeli traktat francusko-niemiecki (RFN) nie będzie realizowany, nie będzie to stanowiło pierwszego przypadku w historii. Ileż to umierających młodych dziewcząt widziałem!"

Powiedzenie to dociera do Adenauera. Nie podoba mu się ono. Na spotkaniu z de Gaulle'em (5 lipca 1963 roku) zaczyna delikatnie, ale kończy ostro: „Przeczytałem gdzieś, że róże i młode dziewczęta więdną szybko. Co do młodych dziewcząt – być może. Ale na różach, to ja się znam. Kwiaty, których łodygi mają najwięcej kolców, są najbardziej wytrzymałe".

De Gaulle reflektuje się natychmiast, że przesadził. Ale pointy odebrać sobie nie da: „Ma pan rację, panie kanclerzu – mówi. – Traktat nie jest różą ani nawet krzakiem różanym, ale całym polem różanym. Róża trwa tylko przez jeden poranek. Młode dziewczęta też. Ale pole różane trwa bardzo długo, jeżeli się tego chce".

Ale de Gaulle nie tylko odchodzi od Anglosasów. On się zbliża również do Związku Radzieckiego. Początkowo kroki są niewielkie, ale dla Amerykanów irytujące. Pod koniec lutego 1965 roku de Gaulle zgadza się na propozycję ZSRR, żeby oba kraje porozumiały się ze sobą w sprawie przywrócenia pokoju w południowo-wschodniej Azji – a przecież teren ten uważany jest przez Amerykanów za własne podwórko. Na początku marca tego samego roku Związek Radziecki przyjmuje francuski system telewizji kolorowej – SECAM. Na przełomie października i listopada Moskwę odwiedza francuski minister spraw zagranicznych, Maurice Couve de Murville. Cel? Niezmiernie ważny: przygotowanie wizyty państwowej de Gaulle'a w Związku Radzieckim w roku następnym.

Amerykanie uważają te posunięcia za niezwykle niebezpieczne. De Gaulle łamie front jedności Zachodu. Jest to tym bardziej groźne, że również i Republika Federalna rozpoczyna swą politykę wschodnią. Ale RFN – to co innego. Tam stacjonują wojska amerykańskie. Tam istnieje ogromna ilość broni nuklearnej, znajdującej się pod kontrolą USA. Tam na czele kraju nie stoi polityk, który nosi w swym wnętrzu ziarna antyamerykanizmu, wrogości wobec Anglosasów.

22 listopada 1963 roku, w Dallas, zostaje zamordowany prezydent Kennedy. Odchodzi więc człowiek, który, poprzez swoją żonę, miał pewne sentymenty dla Francji. Notabene, i tutaj de Gaulle wykazuje specyficzny stosunek do Stanów Zjednoczonych.

Na pogrzeb przybywa. Po powrocie do Francji, na posiedzeniu rady ministrów, będzie chwalił Jacqueline Kennedy, jej odwagę i opanowanie w obliczu tragedii. Ale w samolocie, w drodze powrotnej, gdy jego minister kultury, André Malraux mówi to samo, de Gaulle odpowiada: „Jacqueline? Przecież to wedeta. Skończy na pokładzie jachtu jakiegoś nafciarza".

W Waszyngtonie urzęduje nowy prezydent: Teksańczyk, Lyndon Baines Johnson. Wielki fizycznie, zwalisty. Zna niuanse tylko wewnętrznej polityki USA, wie, jak się poruszać między Białym Domem a Kongresem, między

partyjnymi funkcjonariuszami a wielkim businessem, ale na politykę międzynarodową patrzy w kategoriach: ten tam „X" – on jest „dobry" czy „zły" dla Ameryki?

De Gaulle w oczach Johnsona jest „zły". Nie lubi Ameryki. Flirtuje z „ruskimi". Chce przeciągnąć na swoją stronę głównego sojusznika USA w Europie – Niemcy Zachodnie. Trzeba mu dać nauczkę. Trzeba go sprowadzić na ziemię, przyciąć do odpowiednich rozmiarów. Afera „Topaz"? Nie udała się, bo Kennedy był za miękki. Lyndon Baines Johnson miękki nie jest.

W listopadzie 1964 roku odbywają się wybory prezydenckie w USA. Johnson wygrywa je triumfalnie. Teraz nie jest już tylko tym, który objął prezydenturę, ponieważ jego poprzednik został zamordowany. Teraz jest prezydentem „pełną gębą".

Trzeba się wziąć za de Gaulle'a.

* * *

Kiedy de Gaulle, w czerwcu 1958 roku, obejmuje stanowisko premiera, ma przed sobą kilka celów zasadniczych: skończyć sprawę Algierii, umocnić pozycję Francji w Europie, przeciwstawić się dominacji amerykańskiej. Ale ma on również zasadniczy cel w polityce wewnętrznej: podnieść rangę urzędu prezydenta, uczynić z tego urzędu najwyższą instancję we Francji.

De Gaulle uważa, że może to nastąpić tylko wówczas, kiedy prezydent będzie wybierany przez cały naród.

Bo dotychczas, prezydenta Francji wybierają tzw. notable; deputowani, senatorowie, członkowie rad regionalnych, merowie miast i radni miejscy. Jest ich około 76.000.

De Gaulle chce zostać prezydentem jak najszybciej, ale wie, że po to, by można było wprowadzić wybór prezydenta przez cały naród, trzeba zmienić konstytucję. A to wymaga czasu. Godzi się więc na to, by tym razem został jeszcze wybrany przez swych notabli. Wybory odbywają się 21 grudnia 1958 roku. De Gaulle otrzymuje 77,5 proc. głosów.

Kadencja prezydenta we Francji trwa siedem lat. Nowe wybory mogą się więc odbyć w grudniu 1965 roku. De Gaulle rozpoczyna kampanię na rzecz wyborów prezydenta przez naród, gdy tylko sprawa algierska jest na drodze do rozwiązania. W sierpniu 1962 roku informuje o tym radę ministrów. 20 września powiadamia naród, mówiąc, że „prezydent powinien być kluczem sklepienia ustroju", że na nim, na prezydencie, powinna się opierać struktura państwowa Francji.

De Gaulle nie tylko chce, by wybrał go naród. On chce także, by naród wypowiedział się na temat: czy należy zmieniać konstytucję, by prezydent mógł być wybierany przez naród. Zarządza referendum. Wyznacza je na 28 października 1962 roku. Na 10 dni przedtem mówi: „Jeżeli większość będzie słaba, przeciętna, niepewna, moje zadanie zostanie zakończone natychmiast i bezpowrotnie". Jest to więc ultimatum wobec narodu: jeżeli nie poprzecie mojej propozycji masowo – odejdę.

Referendum jest sukcesem de Gaulle'a: 61,7 procent za, 38,2 procent przeciw.

De Gaulle jest zadowolony, ale nie całkowicie. 61,7 procent to duża większość, nawet bardzo duża. Ale nie jest wielkością triumfalną, nie jest to 70 czy 80 proc. Ponadto 38,2 procent głosów przeciwnych nie można złożyć tylko na karb komunistów. Ci ostatni zdobywają najczęściej od 20 do 25 procent głosów, istnieje więc poza nimi znaczna liczba przeciwników.

Ale de Gaulle jest przekonany, że wybory prezydenckie wygra wysoko, bez trudu...

Tymczasem siły przeciwne zaczynają się organizować. W rok po referendum tygodnik „L'Express" publikuje portret „pana X", idealnego kandydata na prezydenta. Ale czyjego kandydata?

Dyrektorem politycznym (u nas – redaktorem naczelnym) tygodnika „L'Express" jest Jean-Jacques Servan-Schreiber. Jeżeli można porównać człowieka do materii nieożywionej, to jest to rtęć. Szczupły, niewysoki, o pociągłej twarzy – sprężyna, zwłaszcza w sensie intelektualnym. Od idei, pomysłów, nowatorstwa – aż w nim bulgoce. Z tygodnika „L'Express" czyni nie tylko świetne pismo, ale i polityczny instrument o dużych i rosnących wpływach.

Jakie poglądy wyznaje Servan-Schreiber? Wybiegnijmy w przyszłość.

W 1967 roku publikuje książkę, która staje się bestsellerem w ciągu jednego dnia. Tytuł jej brzmi: „Wyzwanie amerykańskie". Servan-Schreiber ostrzega: Ameryka, jeżeli chodzi o technikę, idzie naprzód krokami olbrzyma i to w tempie błyskawicznym. My, w Europie Zachodniej, stajemy się coraz bardziej zapóźnieni. Francja szczególnie. Bo kto nią rządzi? Starszy pan, wyznający poglądy z XIX wieku. Europa powinna się zjednoczyć. I rzucić wyzwanie... wyzwaniu amerykańskiemu.

Pozornie więc, jest to książka antyamerykańska. Ale w rzeczywistości sprawa wygląda inaczej. W rzeczywistości, Servan-Schreiber stwarza wrażenie kolosalnej potęgi Stanów Zjednoczonych, przedstawia je jako niezwyciężone, udowadnia, że bez nich Europa będzie niczym. A więc, zjednoczenie Europy – tak. Ale w przyjaznej konkurencji z USA i we współpracy z nimi. Servan-Schreiber jest proamerykański. To, co prezentuje on w formie książki w 1967 roku, realizuje dużo wcześniej, wówczas, kiedy de Gaulle przeprowadza referendum o wyborze prezydenta przez naród.

Kim więc, według Servana-Schreibera, ma być „pan X"? Początkowo mówi się o jednym z przywódców partii socjalistycznej, Gastonie Defferre, merze Marsylii. Ale nie jest to osobistość, która może zapalić imaginację, zwłaszcza młodych. Nie jest wprawdzie jeszcze stary – ma 55 lat – ale cała jego sylwetka wtapia się w obraz „sędziwej" partii socjalistycznej. W oczach młodzieży należy on do Francji „starej", Francji politykierów, Francji rozbicia na partie i partyjki, Francji, w której „ręka rękę myje", Francji drobnych kombinacyjek politycznych.

Trzeba szukać kogoś innego.

Zwłaszcza że na horyzoncie rysuje się możliwość porozumienia między socjalistami a komunistami i wystawienia wspólnego kandydata.

Na czym polega gra?

Amerykanie i ich sojusznicy we Francji zdają sobie sprawę, że de Gaulle wybory wygrać musi. Idzie więc nie o to, by mu zagrodzić drogę do prezydentury, ale o to, by na tej drodze stworzyć mu jak najwięcej przeszkód i, jeżeli się uda, upokorzyć go. Przeciwnicy de Gaulle'a wiedzą, że to dla niego największa kara.

Układ sił jest następujący. 9 września 1965 roku najbardziej znany człowiek lewicy, Francois Mitterrand, ogłasza, że będzie kandydował na prezydenta. 23 września komuniści podają do wiadomości, że go poprą. Istnieje więc groźba, że do walki wkroczą dwie osobistości i dwa bloki.

Ordynacja wyborcza we Francji przewiduje dwie tury wyborów prezydenckich. Jeżeli w pierwszej turze któryś z kandydatów zdobędzie choćby jeden głos ponad 50 procent, zostanie wybrany automatycznie. Jeżeli nie – nastę-

sprawa „Topaza". Na początku 1961 roku zaczynają pojawiać się po obu stronach Atlantyku pogłoski, według których w najbliższym otoczeniu de Gaulle'a znajduje się radziecki agent. Agent ma fałszywie informować de Gaulle'a, podpowiadać mu różne „awanturnicze" posunięcia, siać nieufność między nim a Amerykanami. Według niektórych pogłosek, Kennedy interweniuje. Pisze osobisty list do de Gaulle'a, oferując mu informacje, znajdujące się w posiadaniu amerykańskiego wywiadu.

Sprawa ta staje się w kilka lat później przedmiotem niezwykłego pojedynku. Pisarz amerykański, Leon Uris („Exodus", „Miła 16" – o powstaniu w getcie) rzuca na rynek, przy fantastycznej reklamie, książkę pt. „Topaz". Jest to zbeletryzowana opowieść o prezydencie Stanów Zjednoczonych (bez nazwiska, ale wiadomo, że chodzi o Kennedy'ego), który ostrzega prezydenta Francji, Pierre La Croix (de Gaulle) o tym właśnie agencie. Odpowiedni list fikcyjnego prezydenta USA do La Croix, datowany: 20 października 1962 roku, zawiera m.in. następujące zdania:

„Źródła informacyjne, które uważamy za całkowicie wiarygodne, uświadomiły nas o istnieniu sytuacji tak niezmiernie poważnej, że podejmuję niezwykły krok. Piszę do Pana ten list w jednym egzemplarzu i wysyłam go przez mojego specjalnego asystenta...

Poinformowano nas o istnieniu szerokiej sieci szpiegowskiej obywateli francuskich, zatrudnionych jako agenci Związku Radzieckiego. Sieć ta działa pod nazwą-kodem „Topaz". Wydaje się, że udało im się infiltrować skutecznie i głęboko wszystkie wydziały rządu, a zwłaszcza służby specjalne...

Te same źródła poinformowały nas, że członek, lub członkowie sieci „Topaz" znajdują się w najbliższym otoczeniu Pana..."

Książka Urisa ukazuje się w 1967 roku, a więc – jeszcze wówczas, gdy de Gaulle znajduje się u władzy. Amerykanie przerabiają ją na film. Film jest wyświetlany na całym Zachodzie; we Francji nosi tytuł „L'Etau" („Imadło").

W 1970 roku na powieść Urisa odpowiada pisarz francuski, Pierre Nord, również powieścią, pt. „13. samobójca". Nord jest ciekawą postacią literatury francuskiej. Pracował przez wiele lat w wywiadzie francuskim i napisał 8 książek dokumentalnych na ten temat, m.in. trzytomowe dzieło o wywiadzie w czasie wojny pt. „Moi towarzysze nie żyją". Nord oddał też w ręce czytelników francuskich 6 powieści kryminalnych. Ale jego prawdziwym tytułem do sławy jest 48 powieści szpiegowskich pod ogólnym tytułem: „Kronika wojny wywrotowej".

Nord jest antykomunistą i w swych książkach snuje wątki antyradzieckie. Tym bardziej przekonująca jest wspomniana powieść, która przedstawia tezę Urisa jako bzdurę, a Amerykanów – jako ludzi niezwykle naiwnych.

Tymczasem nadchodzi grudzień 1962 roku, a z nim – prawdziwy przełom w stosunkach między gaullistowską Francją a Anglosasami.

9 sierpnia 1961 roku Wielka Brytania składa podanie o przyjęcie do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. De Gaulle, pamiętając powiedzenie Churchilla, że Anglia zawsze wybierze „otwarte morze", wypowiada się przeciw, ale odbywają się rozmowy de Gaulle-Macmillan. 7 sierpnia następuje odroczenie rokowań w sprawie przystąpienia Wielkiej Brytanii do EWG.

W połowie grudnia 1962 roku Macmillan przyjeżdża do de Gaulle'a, do uroczej i historycznej miejscowości Rambouillet. Jest to ostatnia próba prezydenta Francji wysondowania prawdziwych poglądów Macmillana. De Gaulle proponuje Macmillanowi zbudowanie wspólnej rakiety z głowicą atomową, jako podstawy wspólnej anglo-francuskiej siły atomowej, która z kolei byłaby podstawą wspólnej zachodnioeuropejskiej siły atomowej, niezależnej od USA. Macmillan jest w kropce. Nie chce odmówić wprost, ale wie, że jeżeli nie zgodzi się na propozycję de Gaulle'a, o przystąpieniu Anglii do EWG mowy być nie może. Z drugiej strony, ze względu na politykę wewnętrzną, pragnie on przynajmniej zachować pozory, iż rokowania w sprawie EWG nie zostały zerwane, że trwają. De Gaulle uznaje, że Macmillan jest zdecydowany pozostać z Amerykanami, że Anglia w EWG nie będzie niczym innym, jak tylko „koniem trojańskim USA".

Gdy Macmillan opuszcza Rambouillet, de Gaulle mówi do swoich zaufanych: „Ten człowiek, któremu nie mogłem dać niczego, wyglądał tak smutno, był tak przygnębiony, że miałem ochotę położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć, jak Edith Piaf w swej piosence: „Nie płaczcie już, Milord!".

Bezpośrednio z Rambouillet, Macmillan jedzie do Nassau, na Bahamach. Ma się tam spotkać z prezydentem USA, Kennedym.

Jest to spotkanie niezmiernie ważne. Macmillan domaga się od Kennedy'ego pocisków nuklearnych „Skybolt", odpalanych z samolotów. Ale na krótko przed spotkaniem w Nassau, Kennedy dochodzi do wniosku, że broń ta jest zbyt kosztowna i zbyt niepewna: próby wypadają źle. Wówczas następuje zamiana: zamiast „Skyboltów", Anglicy otrzymują pociski „Polaris" odpalane z atomowych łodzi podwodnych. Anglicy mają takie łodzie. Mają także głowice atomowe (i produkują nawet bomby wodorowe). Jest to więc rozwiązanie idealne.

Powstaje jedynie pytanie, pod czyją kontrolą znajdować się będą „Polarisy". Wielka Brytania pragnie być „niezależnym mocarstwem atomowym", podczas gdy Amerykanie prą ku temu, by również i angielskie „Polarisy" były zintegrowane w NATO, to znaczy, by znajdowały się praktycznie pod kontrolą USA. Zostaje wypracowany kompromis następujący: „Polarisy" będą używane „dla celów międzynarodowej obrony sojuszu zachodniego" (to znaczy znajdować się będą pod kontrolą NATO czyli USA). Jednakże Macmillan zastrzega sobie również, że „jeżeli rząd brytyjski uzna, iż w grę wchodzą najwyższe interesy państwowe" będzie on mógł wycofać „Polarisy" spod amerykańskiej kontroli. Ta ostatnia klauzula nie ma praktycznie większej wartości, bowiem trudno sobie wyobrazić, żeby Wielka Brytania mogła użyć broni nuklearnej na własną rękę, poza ramami ewentualnej światowej wojny nuklearnej.

Kennedy i Macmillan zdają sobie oczywiście sprawę, że de Gaulle uzna porozumienie z Nassau za ostateczny dowód, iż Wielka Brytania wybrała Amerykę, że poza jego plecami został zawarty separatystyczny pakt. Wobec czego oferują de Gaulle'owi podobne warunki. Sam de Gaulle chwilowo nie reaguje. Jego minister stwierdza tylko, że Francja nie posiada ani łodzi podwodnych, potrzebnych dla „Polarisów", ani głowic. Kennedy, znając dumę de Gaulle'a i jego poczucie wielkości Francji, czuje, że reakcje mogą być wybuchowe. Zaprasza więc do Palm Beach na Florydzie, gdzie spędza święta Bożego Narodzenia, ambasadora Francji, Hervé Alphanda, i informuje go szczegółowo o porozumieniu w Nassau. Wzywa także z Paryża ambasadora amerykańskiego we Francji, Charlesa Bohlena, by poinformować go, co ma powiedzieć bezpośrednio de Gaulle'owi. 5 stycznia 1963 roku de Gaulle przyjmuje Bohlena. Słucha go spokojnie. Nie wykazuje wprawdzie entuzjazmu dla porozumienia w Nassau, ale też nie ujawnia zacietrzewienia. Bohlen wychodzi uspokojony.

puje druga tura, w której do walki staje tylko dwóch kandydatów, tych, którzy w turze pierwszej zdobyli największą liczbę głosów. W drugiej turze obowiązuje większość zwykła.

Co więc nastąpi, jeżeli naprzeciwko siebie staną tylko de Gaulle i Mitterrand? Ludzie spoza lewicy, którzy normalnie nie głosowaliby na de Gaulle'a, poprą go ze strachu przed komunistami. Powstaje groźba, że de Gaulle zdobędzie w pierwszej turze więcej niż 50 procent, i że zostanie prezydentem automatycznie. Oznaczać to będzie ogromne umocnienie jego pozycji i jego prestiżu.

Trzeba więc za wszelką cenę przeprowadzić dywersję. Trzeba stworzyć możliwość, by ci, którzy nie chcą głosować ani na de Gaulle'a, ani na Mitterranda mieli swojego kandydata.

19 października 1965 roku kandydaturę swą zgłasza Jean Lecanuet.

Kto to jest?

Jest to człowiek, który w „Who's Who in France?" 1973-1974 ma notkę zawierającą 54 linijki, a więc dużo. Linijki te opisują karierę politycznie bogatą, choć bezbarwną. Jean Lecanuet urodził się 4 marca 1920 roku w Rouen – a więc w roku wyborów prezydenckich miał 45 lat. W 1942 roku, tj. w czasie okupacji, zostaje profesorem literatury w liceum w Lille. Po wojnie rozpoczyna karierę państwową. W 1944 roku jest dyrektorem generalnym w ministerstwie informacji, a później – w ministerstwach gospodarki, spraw wewnętrznych, marynarki handlowej i finansów. Jest więc dyrektorem niejako „zawodowym". W 1955 roku zostaje na dwa lata sekretarzem stanu w urzędzie premiera. Później jest wysokim urzędnikiem w radzie państwa. Po dojściu de Gaulle'a do władzy przez dwa lata zajmuje stanowisko radcy ministra stanu u bezpośredniego poprzednika de Gaulle'a jako premiera, Pierre Pflimlina. W 1959 roku zostaje wybrany senatorem z departamentu Seine-Maritime (ze stolicą w Rouen, gdzie się urodził). W cztery lata później staje na czele MRP, Ruchu Republikańsko-Ludowego, który odgrywał poważną rolę bezpośrednio po wojnie, ale którego gwiazda zbladła.

W skali ogólnokrajowej, Lecanueta praktycznie nikt nie zna.

Ale Lecanuet ma dwie zalety: jest proamerykański i ma wspaniałe uzębienie. Jego uśmiech jest zniewalający. Jego sylwetka jest „młoda". Przemawia wspaniale – żywo, dowcipnie, przystępnie. Jest niepodobny ani do de Gaulle'a ani do Mitterranda, na którym „ciąży" poparcie komunistów.

Zostaje uruchomiona fantastyczna machina propagandowa, która z Lecanueta – człowieka praktycznie nieznanego – czyni postać, będącą na ustach wszystkich. Telewizja jest jak gdyby stworzona dla niego. On w niej błyszczy.

A de Gaulle popełnia błąd kardynalny.

Lekceważy kampanię wyborczą i lekceważy telewizję. On, gigant, nie będzie się zniżał do normalnej walki politycznej, nie będzie schodził do poziomu Pigmejów, którzy mu nawet do kostek nie dorastają. On jest ponad partiami, ponad politykami, ponad zwykłym dniem politycznej szarpaniny.

Przed pierwszą turą, wyznaczoną na 5 grudnia 1965 roku, de Gaulle przemawia do narodu przez telewizję tylko dwukrotnie i za każdym razem tylko po 8 minut. Bo po cóż mówić dłużej? Wszystko jest wiadome: on, de Gaulle, reprezentuje Francję, jej miejsce na arenie międzynarodowej. Co do tego, nikt wątpliwości mieć nie może.

Nadchodzi 5 grudnia.

I gdy komputery zaczynają migotać swymi programami, wiadomo od pierwszej chwili, że jest źle. Owszem, de Gaulle zdobędzie na pewno największą liczbę głosów, ale nie będzie tam tego jednego, magicznego głosu ponad 50 procent.

Ba! Nawet do 50 procent – daleko.

De Gaulle zdobywa 43,7 procent głosów, Mitterrand – 32,3 procent.

Ale największą niespodziankę sprawia Lecanuet.

Ten, praktycznie, nieznany polityk, który nigdy żadnej ogólnokrajowej roli nie odgrywał, otrzymuje 15,8 procent głosów. Praktycznie – tylko dzięki telewizji.

Jeżeli zliczyć głosy oddane na Mitterranda i na Lecanueta – a więc na przeciwników de Gaulle'a, choć znajdujących się na różnych, często przeciwstawnych pozycjach, to okaże się, że zdobyli oni więcej głosów, niż on: 48,1 procent przeciwko 43,7 procent.

De Gaulle budzi się.

Na posiedzeniu rady ministrów, w dniu 8 grudnia, z ust jego pada zdanie nieprawdopodobne, nie do wiary, będące herezją wobec samego siebie. Mówi: „Pomyliłem się. Skłamałbym, gdybym powiedział, że mnie to nie dotknęło". Wynikiem tego jest wprost frenetyczna kampania wyborcza gaullistów przed drugą turą wyborów prezydenckich, wyznaczoną na 19 grudnia. W 15 milionach egzemplarzy ukazuje się gaullistowska gazeta-ulotka pt. „Przyszłość Francji", w której uderza się Mitterranda poniżej pasa.

W swej bogatej i barwnej karierze politycznej Mitterrand raz jeden, w okresie od czerwca 1954 do lutego 1955 roku, był ministrem spraw wewnętrznych. W tym czasie nastąpił na niego zamach, niedaleko obserwatorium, który od tego budynku wziął nazwę. Przeciwnicy Mitterranda twierdzili, że to on sam ten zamach zaaranżował, by zdobyć popularność. Ponieważ trwała wówczas kampania oszczędzania mięsa i nawoływano do jedzenia mięsa mielonego, jeden z tygodników zamieścił karykaturę Mitterranda z podpisem: „Jedzcie mielone mięso".

Teraz pismo „Przyszłość Francji" odgrzało tę aferę, zamieszczając zdjęcie Mitterranda wspinającego się po metalowych prętach ogrodzenia przy budynku obserwatorium.

Sam de Gaulle się zmienia. Już telewizji nie lekceważy. Przez trzy wieczory odpowiada na pytania dziennikarza francuskiego, Michela Droit. Jest zupenie inny. Zszedł z piedestału. Gra. Naśladuje swych przeciwników, przedrzeźnia ich. Gdy się myli w liczbach mówi: „No i cóż z tego? Każdy i tak gwiżdże na liczby".

Nadchodzi druga tura wyborów.

De Gaulle je wygrywa. Ale nie jest to zwycięstwo druzgocące. Daleko nie! Generał zdobywa „odwrotność" Mitterranda: 54,5 procent przeciwko 45,4 procent.

W duszy de Gaulle'a następuje pęknięcie, rysa, coś się w nim załamuje. Naród go zawiódł. Naród nie obdarzył go pełnym zaufaniem w pierwszej turze, naród nie dał mu takiego zwycięstwa, jakie powinno mu przypaść w udziale w drugiej turze.

Ale czy tylko naród?

Czy nie maczali w tym rąk jego przeciwnicy polityczni, nie tylko we Francji, ale poza Francją? Czy wystawienie Lecanueta i orgiastyczna kampania reklamowa wokół jego osoby nie wskazują na rękę zza oceanu? Któż inny potrafiłby wprowadzić do Francji tak amerykańskie metody walki wyborczej, jak nie... Amerykanie?

De Gaulle idzie va banque!

7 marca 1966 roku wzywa do siebie amerykańskiego ambasadora w Paryżu, Charlesa Bohlena i wręcza mu osobisty list do prezydenta Stanów Zjednoczonych, Lyndona Bainesa Johnsona. W liście tym de Gaulle oznajmia, że Francja występuje z organizacji wojskowej Paktu Atlantyckiego. Oznacza to, że NATO musi wycofać z Francji



swoją główną kwaterę wojskową i zlikwidować wszystkie bazy i instalacje wojskowe na terytorium kraju.

Jest to dla NATO cios w samo serce.

Johnson jest wściekły. Zostały potwierdzone wszystkie jego najgorsze przeczucia. Sprawdziło się to, co mu podpowiadał instynkt. De Gaulle jest wrogiem NATO, jest wrogiem Ameryki, jest wrogiem całego świata zachodniego. On sam, być może, nie jest agentem Moskwy, ale na pewno robi „moskiewską robotę".

Podejrzenia te potwierdza polityka wschodnia de Gaulle'a. W trzy miesiące po wystąpieniu Francji z organizacji wojskowej NATO jedzie on do Związku Radzieckiego z wizytą oficjalną.

Witany jest tutaj przede wszystkim jako sojusznik z okresu drugiej wojny światowej, jako ten, który uratował honor Francji, jako ten, który w najtrudniejszych chwilach potrafił podnieść swój naród na wyżyny patriotyzmu, gdy zdawało się, że pogrążył się on w bagno kolaboracji.

Związek Radziecki pamięta również, że walcząca Francja, jako jedyny kraj zachodni, przysłała do Związku Radzieckiego pułk lotniczy „Normandie-Niemen", który walczył obok lotników radzieckich przeciwko Hitlerowi na froncie wschodnim.

De Gaulle, jako pierwszy człowiek z Zachodu, zostaje zaproszony przez najwyższe władze radzieckie do odwiedzenia kosmodromu Bajkonur. Asystuje przy uplasowaniu satelity radzieckiego na orbicie i odpaleniu radzieckiego pocisku międzykontynentalnego.

30 czerwca 1966 roku de Gaulle podpisuje w Moskwie porozumienie o regularnych konsultacjach politycznych z rządem radzieckim i o zainstalowaniu „gorącej linii" między Kremlem a Pałacem Elizejskim.

Na początku grudnia 1966 roku do Francji przybywa premier radziecki, Aleksiej Kosygin. Współpraca francusko-radziecka pogłębia się.

W ramach polityki wschodniej i tradycyjnej przyjaźni francusko-polskiej, w dniach 6–12 września 1967 roku, de Gaulle odwiedza Polskę. Jedzie do Zabrza, by potwierdzić swe uznanie granicy na Odrze i Nysie. Wizyta jest szeroko relacjonowana ze względu na swą polityczną treść, a tzw. zwykła publiczność we Francji i na świecie pasjonuje się wiadomością, że w Wilanowie trzeba było przedłużyć łóżko w sypialni oficjalnej, by de Gaulle mógł rozprostować nogi. W Polsce pada słynne powiedzenie de Gaulle'a – już w formie precyzyjnej – o „współpracy w Europie od Atlantyku do Uralu".

Ale de Gaulle naraża się Amerykanom i w innej dziedzinie.

6 czerwca 1967 roku wybucha na Bliskim Wschodzie wojna, zwana „wojną sześciu dni". Na kilka dni przed tą datą odwiedza de Gaulle'a izraelski minister spraw zagranicznych, Abba Eban. De Gaulle ostrzega go: jeżeli rozpoczniecie wojnę, Francja ogłosi embargo na dostawę broni do Izraela. Izrael udaje, że nie słyszy. Wojna wybucha. Jest triumfem Izraela. De Gaulle nie aprobuje tego. Obawia się on nie tylko wrogości Arabów (ropa!), ale również – przejścia ich na stronę radziecką. Bo, wbrew podejrzeniom Johnsona, de Gaulle prowadzi swą własną politykę, podyktowaną interesami Francji tak, jak on je rozumie.

27 września 1967 roku de Gaulle mówi na konferencji prasowej: „Żydzi to naród elitarny, pewny siebie i dominujący".

Tym razem – Izrael słucha, ale z uczuciami, których charakteru można się domyślić. Izrael zna także prywatne powiedzenie de Gaulle'a o wpływie Żydów we Francji: „Nie może być takiej sytuacji, żeby Izraelczycy wchodzili do naszych urzędów i rozmawiali tam z naszymi ludźmi tak, jak gdyby byli oni ich współobywatelami".

Również i polityka atomowa de Gaulle'a nie może podobać się Amerykanom. 29 marca 1967 roku de Gaulle

asystuje przy spuszczeniu na wodę pierwszej francuskiej atomowej łodzi podwodnej „Le Redoutable" („Groźna"). W 1968 roku, Francja przeprowadza próbę ze swą pierwszą bombą wodorową. Nieco wcześniej, pod koniec stycznia 1968 roku de Gaulle mówi w Centrum Wyższych Studiów Wojskowych, że atomowa obrona Francji musi uwzględnić nie tylko Wschód, ale i wszystkie inne kierunki („tous azimuths"). A więc – pytają Amerykanie – nas też?

Odpowiedź na to – ze strony USA – może być tylko jedna. Próba z „Topazem" nie udała się. Próba z wyborami prezydenckimi udała się częściowo. Teraz musi nastąpić próba trzecia, ale tak przeprowadzona, by de Gaulle upadł.

Następuje dla Amerykanów szczęśliwy zbieg okoliczności. Przestarzałe systemy nauczania w szkołach średnich i wyższych we Francji, zbyt wielka centralizacja, zbyt wielka władza „mandarynów" – starych profesorów, nie znoszących sprzeciwu – tworzą atmosferę wybuchową. Można to wykorzystać, rozwinąć, przekształcić w czynnik polityczny najwyższej wagi.

Zaczyna się wszystko od drobnego incydentu. 8 stycznia 1968 roku Francois Missoffe, minister do spraw młodzieży i sportu, członek Ruchu Oporu, odznaczony Legią Honorową, udaje się do oddziału Uniwersytetu Paryskiego w Nanterre, by zainaugurować basen kąpielowy w miasteczku uniwersyteckim. Nagle podbiega do niego młody człowiek o rozwianej, rudej czuprynie. Woła: „Czytałem pańską „Białą księgę" o szkolnictwie we Francji. 600 stron bzdur. Nie wspomina pan nawet ani słowem o problemach seksualnych młodzieży".

Missoffe jest zaskoczony. Mimo że już wcześniej słyszało się coś niecoś o narastaniu niesnasek w szkołach, nie spodziewa się tak brutalnej napaści. Ale, jako stary partyzant, znajduje od razu odpowiedź:

„Przy pańskiej twarzy – mówi – wcale się nie dziwię, że ma pan problemy w tej dziedzinie. Poza tym, może pan zawsze wskoczyć do basenu, żeby się ochłodzić i uspokoić".

Studenci napierają na Missoffe'a. „To odpowiedź faszystowska".

Kto wywołuje ten incydent?

Jest nim 23-letni student drugiego roku socjologii, Daniel Cohn-Bendit. Jego rodzice, niemieccy Żydzi, uciekli z Trzeciej Rzeszy do Francji przed zwierzęcym antysemityzmem Hitlera. Daniel urodził się we Francji, gdzie skończył szkołę podstawową, po czym, w 1958 roku, wyjechał do RFN. Wrócił stamtąd na studia do Nanterre. Gdy następuje incydent z ministrem, Cohn-Bendit jest obywatelem Republiki Federalnej. Nie przeszkadza mu to jednak stanąć na czele rewolty studenckiej we Francji.

Jej rodowodu należy szukać również w wielkim zgromadzeniu młodzieży lewackiej w Berlinie Zachodnim, w połowie lutego 1968 roku. Zbiera się tam od 20000 do 30000 młodych, i nie całkiem młodych, ludzi z całej Europy, a nawet z całego świata. W zgromadzeniu bierze udział 300-osobowa grupa młodzieży francuskiej pod przewodnictwem trockisty, Alaina Krivine'a.

... Pierre Viansson-Ponté, nie żyjący już dziś główny publicysta polityczny „Le Monde", autor książki pt. „Historia republiki gaullistowskiej", stosuje niezmiernie wyrafinowany sposób, by przedstawić pewne poglądy na temat źródeł wydarzeń w maju 1968 roku, odżegnując się od nich. „Za każdym razem (w czasie tych wydarzeń) – pisze – natrafia się na te same żądania, na tę samą agresywność, na te same hasła, na te same slogany. Dla tych, którzy nie chcą widzieć, że młodzi ludzie tworzą wszędzie spontanicznie swój własny wszechświat, jest tylko jeden krok do przekonania, iż chodzi tutaj o ruch zainicjowany, zorganizowany i kierowany przez jakiegoś „tajnego dyrygenta". Niektórzy istotnie zrobią ten krok, twierdząc, że maj-czerwiec roku 1968 – to gigantyczny „spisek międzynarodowy", w którym mieszają oni autentycznych przywódców ruchów lewackich, z osobami urojonymi, szpiegami i tajnymi agentami, sjonistami i wysłannikami CIA..."

A więc, według Vianssona-Ponté – to wszystko nieprawda...

Tymczasem jakoś tak „dziwnie" się dzieje, że w dniach od 16 do 20 marca 1968 roku następuje seria wybuchów przed różnymi instytucjami amerykańskimi w Paryżu: przed „Chase Manhattan Bank", przed „Bank of America", przed linią lotniczą TWA, przed „American Express" – wszystko po to, by wywołać przekonanie, iż Amerykanie nie mogą w tym maczać palców. 22 marca Cohn-Bendit zbiera w Nanterre 600 studentów, wywołuje zamieszki, przerywa koncert orkiestry radiowej w auli B II. 11 kwietnia przywódca lewackich studentów w RFN, Rudi Dutschke, zostaje zamordowany na Kurfurstendamm w Berlinie Zachodnim, co wywołuje nowe zamieszki w Paryżu. W dwa tygodnie później, 27 kwietnia, zostaje zatrzymany Cohn-Bendit. Policja przeprowadza rewizję w jego mieszkaniu, po czym, po kilku godzinach, puszcza go wolno. Cohn-Bendit przystępuje do dalszych działań.

Jak się wówczas zachowują komuniści? Ich przywódca, Georges Marchais, pisze 2 maja w „l'Humanitè": „Grupki lewackie, mimo wewnętrznych sprzeczności, zjednoczyły się w jeden ruch, kierowany przez anarchistę niemieckiego, Cohn-Bendita. Nie zadowalają się one agitacją, prowadzoną w środowiskach studenckich, ale uzurpują sobie prawo udzielania lekcji ruchowi robotniczemu". Widać więc wyraźnie, że komuniści potępiają Cohn-Bendita i to, co on reprezentuje.

Wszystko to odbywa się na tle ważnego wydarzenia międzynarodowego. Mówi się coraz częściej, że w maju rozpoczną się w Centrum Konferencji Międzynarodowych na Avenue Kléber w Paryżu rozmowy wietnamsko-amerykańskie. Do Paryża przyjeżdżają przedstawiciele prasy światowej. Rząd francuski zobowiązuje się wydać natychmiast wizę każdemu dziennikarzowi, który oświadczy, że jedzie na te rokowania. Organizatorzy demonstracji studenckich wiedzą więc dobrze, że będą mieli wspaniałe audytorium międzynarodowe. 3 maja nadchodzi wiadomość, że rokowania rozpoczną się 10 maja. Mniej więcej od tego to momentu następuje największe nasilenie zamieszek.

Premier Francji, Georges Pompidou i generał de Gaulle, popełniają poważny błąd. 2 maja, a więc wówczas, gdy wszystko zaczyna się na serio, Pompidou wyjeżdża w oficjalną podróż do Iranu i Afganistanu. 14 maja de Gaulle rozpoczyna oficjalną wizytę w Rumunii. Kto im poradził, by wyjechali z Francji w tak gorącym okresie?

Gdy 18 maja, po skróceniu wizyty w Rumunii o kilka godzin, de Gaulle wraca na lotnisko Orly, jest to już całkowita rebelia. Do Pompidou, który o północy zdaje mu sprawozdanie z rozwoju sytuacji, krzyczy: „To jest burdel!". 19 maja padają historyczne słowa: „Reforma – tak! Barłóg – nie!". Ale studentów już nic powstrzymać nie może. Wyśmiewając rektora uniwersytetu paryskiego w Nanterre, Grappina, i nawiązując do rewolucyjnej „Carmagnoli", śpiewają:

„Zatańczmy Grappiniolę
Niech spadnie dopust Boży
Przed nami jak na stole
Niech państwo się rozłoży".

20 maja. Francja jest sparaliżowana. Strajkuje 10 milionów ludzi.

Wówczas następuje coś nieprawdopodobnego. Pompidou wykazuje fantastyczny hart ducha, odwagę, wytrzymałość, umiejętność przewidywania. 25 maja rozpoczyna maraton rokowań ze związkami zawodowymi i pracodawcami, który doprowadzi do zakończenia strajku i przywrócenia normalnych warunków życia.

Natomiast de Gaulle... ucieka.

29 maja znika.

Po prostu znika.

Od godziny 11.20 do 18.15 nikt, poza jego zięciem, generałem Alainem de Boissieu, nie wie, gdzie jest generał.

Poprzedniego dnia, 28 maja, de Gaulle telefonuje do swego zięcia, którego kwatera główna znajduje się w Miluzie, tuż obok granicy RFN i Szwajcarii, by następnego dnia, tj. w środę, 29 maja przybył do Paryża. De Boissieu zjawia się w Pałacu Elizejskim o godzinie 10.30. Znajduje de Gaulle'a w ciężkim stanie. Mówi mu, że musi, że absolutnie musi, oprzeć się na wojsku.

„Wojsko – stwierdza – nigdy nie było tak karne, jak obecnie. Stare spory poszły w niepamięć w obliczu zagrożenia, siły lądowe czekają na rozkazy, nastroje sarkazmu i drwiny, które obserwowało się dwa tygodnie temu, ustąpiły miejsca zaniepokojeniu i zdecydowaniu. Jeżeli władza nadal będzie bezczynnie pozwalała na pogarszanie się sytuacji – wojsko tego nie zrozumie".

Jak reaguje de Gaulle? Jeżeli wojsko jest w takim stanie, jak to określa de Boissieu – a wszystkie znaki wskazują, iż tak jest istotnie – de Gaulle powinien dać rozkaz użycia tego wojska. Nie przeciwko demonstrantom, to nie wchodzi w rachubę i de Boissieu bynajmniej tego nie proponuje. Wojsko ma być tylko tarczą, pod osłoną której siły porządkowe – policja, oddziały specjalne (Republikańskie Kompanie Bezpieczeństwa) i żandarmeria – przystąpią do działań przeciwko rebeliantom.

Ale rozkaz taki trzeba wydać ze stolicy, z Paryża.

Tymczasem de Gaulle decyduje się postąpić inaczej.

W Baden-Baden, w Niemczech Zachodnich, jest jego przyjaciel jeszcze z czasów „algierskich", generał Jacques Massu. Dowodzi wojskami francuskimi w RFN. De Gaulle postanawia jechać do niego.

Mówi swemu zięciowi:

„Dobrze, zobaczę, czy Massu jest w takim samym nastroju, po czym przemówię do kraju. Z Colombey, ze Strassbourga, albo skądinąd. Wyjeżdżam bowiem z Paryża. Państwo będzie tam, gdzie ja będę".

Czy naprawdę? Czy w takim momencie szef państwa powinien opuścić Paryż? Czy jego głos z Colombey, ze Strassbourga, „czy jeszcze skądś indziej" wywarłby taki sam skutek, jak znad Sekwany? Czy w ogóle powinien się, na przykład, do Strassbourga udawać, zdając sobie sprawę, że wówczas wszyscy powiedzą, iż szuka schronienia na terenie kontrolowanym przez swego zięcia?

Generał de Boissieu pisze w swych pamiętnikach, że de Gaulle powiedział mu: „Chcę (poprzez wyjazd) pogrążyć Francuzów, rząd także, w rozterce i niepokoju, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją".

Ale generał Massu przedstawia inną wersję.

Gdy de Gaulle ląduje w Baden-Baden, jego pierwsze słowa brzmią: „Tout est foutu" („Wszystko przepadło"). „Komuniści – stwierdza – sprowokowali całkowity paraliż kraju. Nie mam już żadnego instrumentu władzy. Dlatego wycofuję się. A ponieważ czuję się we Francji zagrożony – ja i moja rodzina – szukam u pana schronienia, by zdobyć jasność, co powinienem zrobić".

Wzmianka de Gaulle'a o komunistach brzmi dość dziwnie w świetle artykułu Georgesa Marchais, cytowanego wyżej. Jest to pretekst. De Gaulle nie czuje się na siłach dalej walczyć. Massu stwierdza: „Widzę natychmiast, że generał nie jest sobą. Przede mną stoi pokonany, zmęczony człowiek".

Massu zaczyna mówić. Przekonuje generała, że nie wolno mu ustąpić, że nie może on szukać u niego schronienia, że oznacza to ucieczkę przed walką, może nawet dezercję, że właśnie wówczas, gdy Francja jest zagrożona, on, de Gaulle, musi wznieść się na te same wyżyny, na jakich stał 18 czerwca 1940 roku, w czasie całej wojny, w maju 1958 roku, kiedy Francji groził konflikt wewnętrzny na tle Algierii o nieobliczalnych konsekwencjach. Massu kończy słowami:

„Front jest we Francji. Dla pana jest on w Paryżu".

De Gaulle wstaje, odmieniony.

Obejmuje generała Massu.

Mówi: „Wracam. Niech pan poprosi moją żonę".

De Gaulle zjawia się w Pałacu Elizejskim. Opanowuje sytuację.

Ale prawdziwym bohaterem maja 1968 roku jest Pompidou. On nie wyjechał. On nie szukał schronienia u nikogo. On wytrwał na posterunku. On doprowadził do zakończenia strajku.

I on zorganizował wybory, które przyniosły gaullistom największe zwycięstwo w całej ich powojennej historii. Gdy 30 czerwca 1968 roku podliczone zostają głosy, okazuje się, że gaulliści wraz z sojusznikami zdobyli w Zgromadzeniu 358 miejsc na 485.

Ale właśnie dlatego de Gaulle – Georgesa Pompidou odsuwa. Na jego miejsce mianuje swego ministra spraw zagranicznych, Couve de Murville'a, „idealnego urzędnika", bez popularności i charyzmy.

Pompidou jest winny strasznego grzechu: wytrwał wówczas, gdy generał odjechał. Wygrał wówczas, gdy generał skapitulował.

Reszta jest historią. De Gaulle rozpisuje referendum w sprawie tzw. „partycypacji" tj. uczestnictwa rządzonych w rządzeniu, robotników w kierowaniu przedsiębiorstwem, oraz w sprawie reorganizacji senatu i ciał regionalnych. Referendum dotyczy spraw skomplikowanych. Wyborcy nie bardzo się w nich orientują. Wiedzą oni jedno: że jeżeli powiedzą „nie", de Gaulle odejdzie definitywnie.

Ale już się Francji bez de Gaulle'a nie boją. Mają na placu Pompidou. Są przeświadczeni, że w rządzeniu wykaże on wszystkie te cechy, jakie wykazał w czasie pamiętnych dni majowych.

Referendum odbywa się 27 lutego 1969 roku. 46 procent Francuzów głosuje „tak" – za de Gaullem. 53 procent głosuje „nie" – przeciwko de Gaulle'owi.

Jedenaście minut po północy, dnia 28 lutego 1969 roku, generał de Gaulle ogłasza z Colombey-les-deux-Englises, co następuje:

„Przestaję wykonywać funkcję prezydenta republiki. Decyzja ta nabiera ważności dziś w południe".

* * *

De Gaulle był wielkim człowiekiem i wielkim Francuzem. Chciał przywrócić wielkość Francji i udało mu się to. Zakończył wojnę w Algierii. Umocnił pozycję swego kraju w Europie Zachodniej. Rozwinął stosunki ze Wschodem. W czasie jego rządów Francja prosperowała.

Są to osiągnięcia, które przesłoniły jego chwilę słabości w dniu 20 maja 1968 roku. Ale warto i o tej chwili wiedzieć. O jej kulisach – także...

Bolesław Kazimierz Kowalski

Myśli jak czarne muchy

4 sierpnia...

...Naprawdę bardzo, bardzo mi wstyd. Dostałam dwa Twoje listy i milczałam jak zaklęta. Nawet nic nie mam na swoje usprawiedliwienie. To nie lenistwo, bo tysiące razy ustnie „odpisywałam" Ci całe tyrady, ale żeby usiąść i przelać tę elokwencję na papier, nie starczyło... Czego? Nie wiem. Chęci nie, bo chęć była, czasu też nie, bo i czas był. Naprawdę nie wiem. Nic Ci nie pozostaje, jak tylko przejść nad tym do porządku dziennego i wybaczyć. Jest mi naprawdę przykro.

Dużo i często myślę o was, o Polsce, z wielkim i szczerym sentymentem. Mówią nawet, że zatrzymałam się właśnie w wieku 18 lat i do wszystkiego oraz wszystkich stosuję miarę 18-letniej dziewczyny. Co robić? Za nic nie chcę spoważnieć i być dorosłą, jak przystoi matce 5-letniej córki (właśnie wczoraj były jej urodziny). Nadal jestem taka powariowana, lekkomyślna, roztrzepana... z aspiracjami, które są z gruntu absurdalne w naszej rzeczywistości. Nie chce mi się wierzyć, że nie mogę iść do „Europejskiej", zjeść pięć ciastek i wypić kawę ze śmietanką. Rodzice zbyt mnie rozpieszczali, a to był błąd.

Tu jest ciężko. Ludzie dużo pracują, a standard życia jest bardzo wysoki. Trzeba zakasać rękawy, aby jakoś dotrzymać mu tempa (coraz trudniej mi pisać po polsku, już nie wiem czy „tępa" czy „tempa"?).

Jestem od roku na farmacji. Co za postrzelona głowa, powiesz, w Polsce mogłam być lekarzem, ale jak wiesz, jestem niepoczytalna i kieruję się impulsami, a nie jak każdy człekokształtny – rozumem. Zresztą uczę się tu na własny koszt. To znaczy kosztem swoich sił. Dom, dziecko, mąż absolutnie nie odczuwają tego, że nie ma mnie przez wiele godzin w domu. Chcąc się uczyć muszę pracować. Tu nauka kosztuje, tym bardziej, że na wykłady muszę jeździć przeszło 100 kilometrów. O służącej nie ma mowy, bo i skąd? Mój roboczy dzień trwa od 6 rano do 11 wieczorem. Z tego 8 godzin w aptece, reszta – dom, dziecko, nauka... Jak nie wykituję z przemęczenia, to za 3 lata będę mieć dyplom.

Jedni mówią, że jestem morowa, dzielna, a inni, że wariatka. Chyba rację mają ci drudzy. Cóż ci więcej o sobie napisać?...

Mąż pracuje w banku. Córka jest w tej chwili u babci – wakacje. Nie ma przedszkola, więc nie mam jej gdzie trzymać.

Tu jest bardzo gorąco. Jeżeli chcesz wiedzieć jak, to jedź do Chorzowa i postój dzień przed wielkim piecem w Hucie „Kościuszko"... Nie, nie mów, że nie możesz wytrzymać. My „stoimy" tak przez 4-5 miesięcy w roku. Woda w kranach ciepła, ale można się przyzwyczaić.

Czas robi swoje, mimo że uparłam się go zatrzymać. Ciężko prowadzić korespondencję z kimś tak bliskim jak Ty, a kto zarazem jest tak daleko. Jakże często myślę o Tobie i o koleżankach z budy... Jak bardzo jesteście mi bliscy.

Uczę się, oczywiście, po angielsku, dlatego ciężej mi niż innym, ale książki – jak się domyślasz – są tu tylko w tym języku i muszę się przez nie przedzierać jak przez dżunglę. Boże drogi! Ile w tym liście „byków", prawda? Ale ja zawsze byłam na bakier z ortografią, a co dopiero teraz, po siedmiu latach nieużywania języka. Mało mówię po polsku – jedynie z Mamą. Córka mówi tylko po angielsku...

No, na dziś dość... Może tylko jeszcze jedno... Właściwie, to ja wiem, dlaczego tak trudno było mi wziąć się do pisania tego listu... Boję się... Boję się nawrotu przeszłości. Ty tego nie zrozumiesz, a może?...

Maria

10 października...

...Czy znowu list musi się zaczynać usprawiedliwieniami? Ale co robić, takie już jest to przeklęte życie, że na co się ma ochotę, na to nie ma czasu, a na co jest czas, na to nie ma się ochoty. Z tej mądrej przedmowy możesz wywnioskować, że naprawdę miałam ochotę już milion razy Ci odpisać, ale czasu nie było. Może u Was można zdobyć jeszcze ze 3 godziny na dobę, bo mnie, przy moim budżecie czasowym, bardzo ich brak. Pracuję jak ślepy koń – pamiętasz taką przedwojenną widokówkę z kopalni soli w Wieliczce? Naprawdę już ledwo ciągnę ten kierat, a strasznie nie chce mi się dać za wygraną i ustąpić. Uparta jestem jak osioł.

Dostałam Twój list, książki. Bardzo Ci dziękuję. Jedna z nich dotyczy mojego obecnego kraju... Czy można powiedzieć – nowej ojczyzny? Nie! Ojczyznę człowiek ma jedną... Można zmieniać poglądy, można zmieniać kraje, ale ojczyzny się nie da. O tym człowiek dowiaduje się jednak dopiero wtedy, kiedy znajdzie się w mojej sytuacji...

Książkę tę przeczytałam jednym tchem... I wrażenia mam bardzo różne. Najgorsze jest to, że autor rzeczywiście nie kłamie, tylko naświetlenie faktów jest okropne... Różnie można widzieć to samo. Na przykład, o drzewie można powiedzieć, że zajmuje dużo miejsca, a wcale nie mówić o tym, że jego owoce są smaczne, że daje cień itp... A przecież ono rzeczywiście zajmuje dużo miejsca... Tak właśnie, z tego punktu widzenia jest ta książka napisana. Raz jeszcze podkreślam – nie jestem patriotką tego kraju, prawie nic mnie z nim nie łączy, ale mieszkam tu, obserwuję ludzi i wiem, że przy swoich wadach mają i zalety... Szkoda, że autor nie chciał ich zauważyć...

Dopominasz się, żeby Ci napisać, co robiłam przez te lata od wyjazdu... Czy myślisz, że to możliwe?... O tym można by powieść napisać, a że tego nie potrafię, ograniczę się do krótkiej relacji.

Podróż przeszła nam szybko, gdybym teraz mogła ją jeszcze raz odbyć, miałabym na pewno znacznie więcej wrażeń, lecz minionego nie wrócisz i nie ma co się oglądać wstecz. Piszę te słowa i chwytam się na tym, że właśnie robię coś zupełnie przeciwnego – cała nasza korespondencja to oglądanie się wstecz... Ale do rzeczy. Pierwszy okres w tym kraju był ciężki, bardzo ciężki. Ojciec bez pracy, ja, która, jak wiesz, niechętnie wyjeżdżałam z Polski, byłam obrażona, oburzona i zniechęcona. Musiałam pracować. Ja! W fabryce konserw! I tu oportunizm wziął górę. Panna nie chciała sobie rączek brudzić i wybrała tę najłatwiejszą ścieżkę – wyszła za mąż. Za kogo? Po prostu za dwa pokoje z kuchnią i wodą bieżącą oraz porządnym „WC"... Zresztą rodzinę prędzej czy później trzeba było założyć. Myślałam, och, co za idiotka!, że i tak kochać więcej nie będę. Mąż jest bardzo porządnym człowiekiem. Dość inteligentny, oczytany, ma bardzo dobrą naturę, jest z... dobrego domu. Co za nonsens. *Mea culpa maxima*! Ale zapłaciłam za to sobą. Za takie postępowanie należy się dożywocie, no i mam to dożywocie. Mając dziecko nie będę się przecież rozwodzić, zresztą po co?

Jesteśmy dwojgiem obcych ludzi o wspólnym budżecie, wspólnym mieszkaniu, wspólnym dziecku. Nie myśl, że się kłócimy, nie, żyjemy bardzo spokojnie – jałowo. Bez burz i bez słońca. Cenimy w sobie wiele rzeczy. Staramy się oboje, żeby dom był domem, a nie mieszkaniem, żeby córka miała rodziców, a nie ojca i matkę. Ale ja jestem wypalona. Żadnych aspiracji nie mam – to znaczy nie mogę mieć, a mam dopiero 25 lat. Wina jest tylko moja, bo on był uczciwy i zdaje się, że mnie kochał. Ja zaś tylko udawałam, a uczucia udawać nie można! Dlatego teraz konsekwentnie ponoszę karę. Nie zdradzam i nie zdradzę go fizycznie, bo moralnie zdradziłam go od razu...

Co do przeszłości, naszej przeszłości. Teraz z perspektywy czasu mogę Ci o tym napisać. Zdarzają się w życiu dziewczyny wielkie chwile, które przychodzą nagle jak błyskawica i są mocne jak błyskawica... To, co nas wtedy łączyło, to była wielka miłość... Przyszło nagle i dość nagle zostało przerwane. Nie wiem, jak długo by to trwało, gdybym nie musiała wyjechać, ale wiedz, że są to najwspanialsze wspomnienia z kraju. Właśnie nasza miłość kojarzy mi się w pierwszym rzędzie z pojęciem domu, ojczyzny...

Nie wysyłaj listów ekspresem, bo to dużo kosztuje, a szkoda forsy...

Maria

8 listopada...

Z góry zastrzegam, że dziś mam podły nastrój. Jest mi ostatnio jakoś dziwnie smutno. Nieswojo. Czy znasz ten wiersz rosyjski, to chyba Jesienin, a może Błok?... On najlepiej oddaje mój nastrój... Przytoczę Ci jego zakończenie:

> „...Myśli, jak czarne muchy całą noc nie dają mi spokoju.
> Złośliwie brzęczą i kręcą się nad moją biedną głową.
> Odpędzisz jedną z głowy, a już w serce wpiła się druga.
> Wciąż wspominasz życie, tak piękne w marzeniach przeżyte.
> Chcesz zapomnieć i usnąć, a pamiętasz wciąż silniej i boleśniej.
> Ech, żeby noc, prawdziwa, wieczna noc szybciej przyszła".*

Czy i tobie ten wiersz się podoba? Tak mi błądzi cały dzień po głowie i dlatego piszę ten list, chociaż robić tego nie powinnam. Ale człowiek jest tylko człowiekiem i słabość jest mu wrodzona. Czy te, dzielące nas tysiące kilometrów nie są pełną asekuracją mojej wierności względem męża? Ach... co ja bajdurzę, nawet zgrzeszyć porządnie nie umiem, zawsze jakieś wykręty...

Mój Drogi. Boję się, czy nasza korespondencja nie jest dla nas bardzo szkodliwa... Ściślej, dla Ciebie, bo mnie już, niestety, nic nie może zaszkodzić...

My nie mamy wspólnej teraźniejszości. W teraźniejszości jesteśmy daleko od siebie, ale mamy wspólną przeszłość. Do niej, chcąc nie chcąc, wciąż nawiązujemy. Może podświadomie, a może i świadomie, bo ja wiem? Tu słówko, tam słówko. Tu można coś między wierszami przeczytać, tam się czegoś domyślić i tak przecież nikogo nie krzywdzimy. Ja jednak boję się, że krzywdzę Ciebie...

Obawiam się, że z czasem obojętnej pisaniny między nami nie będzie. Ty przeżywasz do dziś nasze rozstanie, żebym chociaż ja była szczęśliwa, to nie byłabym takim akustycznym miejscem, gdzie każdy szmer potężnieje do krzyku...

Obiecałam sobie dziś długi list, ale niestety, nie mogę... Po prostu, nie wytrzymuję nastroju, który przecież sama sobie narzuciłam.

Maria

12 grudnia...

...Serdecznie dziękuję Ci za książki, szczególnie za Lengrena. Mam kupę pociechy z tych jego rysunków, zresztą nie tylko ja, jest tu jeszcze jedna koleżanka (po duchu, nie po wieku – bo ma już 50 lat) – pracuje w naszym szpitalu, pochodzi ze Lwowa, wychowana w Warszawie. Tak samo jak i ja postrzelona na punkcie: „Polska". Śpiewamy sobie polskie piosenki, dukamy wiersze, ryczymy ze śmiechu nad Boyem, a teraz Lengren sprawił nam masę radości...

U mnie nastąpiło rozdwojenie jaźni. Czuję się tu dobrze, zaaklimatyzowałam się stosunkowo szybko, a to moje drugie „ja" żyje zupełnie niezależnie od pierwszego. Takie małe „ja", które czasami lubi sobie wyskoczyć na wierzch i wtedy dość przykro robi się temu oficjalnemu „ja", ale zazwyczaj oba „ja" żyją w zgodzie... Sprawa tresury.

Czy otrzymałeś mój poprzedni list? Zdaje się, że nie był najlepiej „ułożony"? Bywa, że czasami człowiek spieszy się, żeby nadążyć piórem za myślą, a myślą za chwilą i wychodzą wówczas takie listy. Bywają nastroje i nastroiki – jednak nie wolno się im poddawać, a już szczególnie przy pisaniu listów. Bo list to list, a nie rozmowa. I ta druga strona (czytająca) może być w danej chwili w zupełnie innym nastroju. Wybacz mi więc, proszę.

Strasznie Ci zazdroszczę Twoich listów, to znaczy zazdroszczę Ci sposobu pisania – wszystko jest tak porządnie ułożone, jedno po drugim, a nie groch z kapustą, jak u mnie. Ja zawsze chcę tysiące spraw omówić, plączę się sama w swoich myślach. Mam nadzieję, że wybaczysz mi ten bałagan i sam to wszystko sobie uporządkujesz.

Bardzo Ci dziękuję za zdjęcia. Wcale się nie zmieniłeś. Takim samym pamiętam Ciebie, a przecież minęło już tyle lat. Ja zmieniłam się zewnętrznie bardzo, taki okres to dla kobiety dużo – boję się, że nie poznałbyś mnie na ulicy...

Piszesz, że dostałeś wszystkie moje listy, ależ nie, Kochany – nie dostałeś. Są tysiące

*) Niestety, nie potrafiłem zidentyfikować autora tego wiersza i tym samym odszukać jego przekład literacki – zmuszony więc jestem przytoczyć go w takiej formie... (BBK).

listów do Ciebie, które nigdy nie ujrzały światła. Piszę w każdej porze dnia długie epistoły, raz pełne humoru, raz smutku. Takie typowo kobiece, nielogiczne, a jednak prawdziwe...

Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku życzy Ci Maria

7 stycznia...

Zauważ, że po raz ostatni pisze do Ciebie osoba 25-letnia. Jutro już będę o rok starsza, a o ile mądrzejsza – nie wiem. Zresztą to kwestia bardzo wątpliwa z tą moją mądrością...

Nie dziw się, że piszę trochę niewyraźnie, ale leżę w łóżku (nie jest to najwygodniejsze miejsce do pisania) i do tego wszystkiego mam spuchnięte ręce – poparzyłam je sobie jakimś świństwem w aptece. Te ręce, no i trochę grypa, którą ciągnę już drugi tydzień, położyły mnie w końcu. Nie myśl, że na długo, na to nie mam czasu.

Mój Drogi! Czy dziękowałam Ci już za Lengrena? Jest uroczy! Czytam sobie i oglądam te dowcipy – śmiejąc się sama do siebie... Chociaż cieszę się z przysłanych przez Ciebie książek, wolałabym, abyś ich nie przysyłał – są przecież drogie, a ja nie jestem w stanie Ci się zrewanżować. To jest bardzo przykre uczucie wciąż dostawać, a nic nie dawać w zamian. Ale ja na razie za pracę (i to jaką!) nie dostaję wynagrodzenia, tylko stypendium, które mi umożliwia naukę, a tego starczy zaledwie na przejazdy do miejscowości, gdzie jest uczelnia, na książki i zeszyty...

Czemu ostatnio nic nie piszesz? Czy uważasz, że to nie ma sensu? Jeżeli tak, jeżeli zgadzasz się ze mną.. (w tym miejscu przerwałam, bo nie wiem, jak zakończyć to zdanie, co napisać? Skończ go, proszę, za mnie, a postanów za siebie)... Rozumne to, co my robimy, to nie jest – przeciwnie. Gubimy się w jakichś majakach, szukamy ucieczki od życia w kilku cieplejszych słowach. Przecież nawet nadziei nie ma, żeby choć dzień, choć chwilę być kiedyś razem. A czy wtedy znaleźlibyśmy w sobie to, czego szukamy? Ani ty, ani ja nie mamy już po 18 lat. Życie toczy się naprzód obdzierając nas z młodości, a co za tym idzie i ze złudzeń...

Czy dwoje dorosłych ludzi ma prawo tak się oszukiwać? Świecić sobie ognikami, które nigdy nie mogą się złączyć w jeden płomień. Nieszczęście polega na tym, że człowiek musi kochać. Kocha się całe życie. Skoro obok nie ma obiektu, nie ma komu oddać tego kochającego serca, to wtedy pisze się i tęskni do tego „kogoś". To smutne, że jesteśmy tacy słabi, i że to nam wystarcza...

Często widzę Ciebie, jak piszesz do mnie. Widzę tak wyraźnie, że wydaje mi się, iż wystarczy sięgnąć ręką... Jasny kosmyk spadł Ci na czoło, oczy ciemne, trochę zamglone, trochę niepewne, ręce na blacie biurka... Twoje ręce!

Pamiętasz Kraków? Pamiętasz?... Te gniewy i dąsy, te dziecinne „zerwania" i „powroty"... Jakie to dalekie, a jednak jakże bliskie czasy... To chyba sadyzm, co robię. Specjalnie piszę na złość sobie. Przywołuję takie właśnie, a nie inne wspomnienia, aby spotęgować uczucie tęsknoty za czymś, co już nigdy nie wróci...

Sen o miłości jest piękny, ale śnić, to nie żyć, a Ty możesz być tylko moim snem. Chociaż nadal bardzo Cię kocham.

Ja chyba dziś do Ciebie nie napiszę „normalnego" listu, nie mogę, nie jestem w stanie przejść do spraw codziennych, do opisu tego, co robię...

Jeżeli mnie za ten list skarcisz, będziesz miał rację, sama siebie karcę. Nie musisz żądać, abym tak więcej nie pisała, ja wiem, że nie wolno. Tylko napisz, że go otrzymałeś, resztę pomiń milczeniem, ja zrozumiem.

Sąsiadka wychodzi do miasta, dam jej ten list, niech wrzuci do skrzynki, a ja sobie jeszcze trochę pomarzę...

Zawsze ta sama – Maria

Telegram (przekład z angielskiego):

8 stycznia, żona moja – Maria pod wpływem depresji psychicznej popełniła samobójstwo. Spełniając jej życzenie, zawarte w pozostawionym mi liście, powiadamiam Pana o tym strasznym wypadku...

O czarownicach z Friuli

Położony na północy Italii region Friuli przed kilku laty nawiedzony straszliwym trzęsieniem ziemi, zasiedlony był ogromną liczbą czarownic i magów.
Biografię wielkiej czarownicy i kurtyzany Margherity, żyjącej w mieście Gemona w XV wieku, przytaczamy za *Przewodnikiem po Italii tajemniczej i fantastycznej*. (Mondadori, 1971)
Żyła w XV wieku i potrafiła uzdrawiać dzieci, odnajdywać przedmioty zgubione oraz godzić i skłócać małżeństwa. Sąsiadce, która zgubiła cenny srebrny klejnot, poradziła pójść do kościoła. W drodze miała się modlić, nie oglądać za siebie i nie rozmawiać z nikim. Po przybyciu trzy razy ścisnąć zębami sznur kościelnego dzwonu i wypowiedzieć wyuczone zaklęcie. Klejnot odnalazła zaraz po powrocie do domu.
Sekretu łączenia zwaśnionych małżeństw nauczyła się od młynarza Simona i od proboszcza Andrei. Simone pouczył ją, że, aby przywrócić zgodę, małżonkowie mają wspólnie zjeść korzeń pięknej róży, zaś innym razem ksiądz Andrea zwierzył się jej, że jest w posiadaniu paru zaklęć spisanych na kartach znakami kabalistycznymi. Na usilne prośby Margherity dał jej trzy karty. Jedną ofiarowała kobiecie systematycznie bitej przez męża. Od tego czasu żyła ona w spokoju. Drugą włożyła pod stopień mieszkania sąsiadki obmawiającej ją i lżącej przy każdej okazji. Odtąd żyły w przyjaźni.
Złe języki i złośliwe plotki wreszcie jednak dopięły swego. Nie czekał jej wprawdzie stos, lecz w 1446 roku została aresztowana i skazana na wygnanie przy akompaniamencie świstu batów.

Plotki z przeszłości

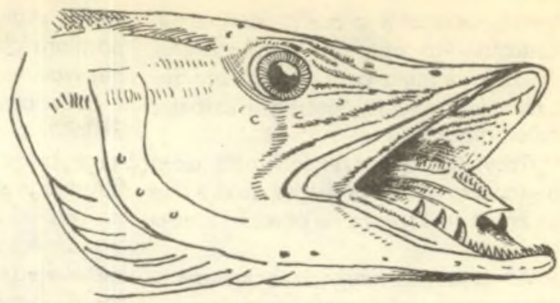
W miasteczku Clausetto wyjątkowo złośliwy demon zagroził przez usta „nawiedzonej", że jeśli zmuszony zostanie do opuszczenia jej ciała, wejdzie w ciało egzorcysty... od tyłu. Znający swój fach zakonnik natychmiast usiadł na stojącej opodal misie ze święconą wodą.
W osadzie Vercegnis w 1878 roku administracja gminy zawiadomiła władze w Udine, że od kilku miesięcy szaleje tu czterdzieści kobiet opętanych, jak się zdaje, manią religijną. Opinia mieszkańców widziała w tym sprawę diabelską. Istotnie widok krzyża, kościoła, czy dźwięk dzwonów doprowadzał je do szału, wybryków ekshibicjonistycznych i bluźnierstw.
Księża, zakrystianie i starsi ludzie w osadzie rozpoczęli rozmowy i układy z „demonami" drogą łagodnych perswazji. Żądania kobiet były coraz skromniejsze: jedne pragnęły jedynie, aby pozostawiono je w spokoju, inne domagały się kieliszka alkoholu dziennie lub specjalnej potrawy. Inne wreszcie niewygórowanych datków pieniężnych. W miarę zaspokajania ich żądań „demony" opuszczały je stopniowo i sprawa ucichła, bez uciekania się do egzorcystów.
Zjawisko, które zainteresowałoby dzisiejszych parapsychologów, zaobserwowano w miasteczku Maiano już w 1954 roku. W warsztacie i garażu pana Arturo Rivy same przewracały się kanistry, z półek zlatywały puszki z olejami, lecz co dziwniejsze, motocykle i rowery pozostawione przez klientów do naprawy wyruszały same na plac przed garażem i po wykonaniu skomplikowanych nieraz ewolucji, grzecznie powracały na dawne miejsce. Działo się to wszystko w biały dzień, na oczach tłumu ciekawych mieszkańców i przybyłych reporterów poważnych dzienników. Przerażony i pozbawiony możności wykonywania pracy pan Riva, myśląc że sam jest przyczyną tych fenomenów, jako posiadacz niezbadanych sił magnetycznych, przeniósł się do innej dzielnicy, zakładając tym razem skład z warzywami. Jakież musiało być jednak jego zdumienie i rozczarowanie, gdy z pierwszego worka sprowadzonych ziemniaków, wyskoczyły one same ze swego opakowania, rozsypując się na wszystkie strony... W krainie takich tradycji wszystko jest możliwe.

O małżeńskich perypetiach władcy Mantui

Vincenzo I Gonzaga pojął w roku 1581 czternastoletnią Margheritę Farnese, córkę książąt Parmy. Okazało się jednak, że z powodu defektów fizycznych młoda pani nie może spełniać obowiązków małżeńskich.
Nie pomagały okrutne zabiegi ówczesnej medycyny i po bezowocnym roku krańcowo wyczerpana Margherita powróciła do Parmy.
Rozjemcą w sprawie unieważnienia niespełnionego małżeństwa był słynny arcybiskup Mediolanu Karol Boromeusz, a grono wybranych lekarzy przeprowadziło badania porównawcze u czterech równych wiekiem dziewcząt (odpowiednio je wynagradzając). W wyniku tych badań nieszczęsna Margherita usunęła się do klasztoru, przybierając imię siostry Marii Lucenii, a Gonzagowie rozpoczęli pertraktacje o nowy ożenek Vincenza z Leonorą, córką Franciszka I de Medici, Wielkiego Księcia Toskanii i Etrurii.
Florencki książę jednak postępował ostrożnie. Wprawdzie była żona Gonzagi została zbadana skrupulatnie, lecz czy sam mantuański władca zdolny był do spełnienia obowiązków małżeńskich? Rozpoczęła się wymiana poglądów, ambasadorów i zaufanych posłów, dość krępująca dla Gonzagi, lecz związki z rodziną Medyceuszów, a głównie pokaźny posag Leonory zadecydowały o poddaniu Vincenza „małżeńskiej próbie" na neutralnym terenie Wenecji. Tak doszło do spotkania nazwanego delikatnie „kongresem weneckim", w czasie którego w pałacu przy Canal Grande doszło do „małżeńskiej próby" na osobie Giulii – naturalnej córki z rodziny Albizzi, uświadomionej uprzednio o koniecznym eksperymencie.
Odbył się on ku zadowoleniu obu stron i Vincenzo poślubił Leonorę, przedłużając wkrótce legitymistyczną linię rodu. „Ofiara" udanego eksperymentu (z przydanym jej niemałym posagiem 3000 złotych skudów) wyszła za mąż za rzymskiego artystę Cacciniego, będącego w służbie florenckiej rodziny Bardich, człowieka brutalnego i uwikłanego jeszcze przed ślubem w tajemniczą sprawę morderstwa bratowej księcia Franciszka, Eleonory da Toledo.
Z małżeństwa tego zrodziła się przyszła śpiewaczka i kompozytorka zwana Cecchiną (podane za bibliografią Marii Bellonci *Sekrety rodu Gonzagów*).

Andrzej Skarżyński

Szczupak jak strzała!



Kiedy płynie – z daleka wygląda jak „wodna strzała": tułów wydłużony, mocno przewężony przed nasadą płetwy ogonowej; prawie równoległe linie grzbietu i brzucha: głowa z przodu spłaszczona; płetwa grzbietowa przesunięta w tył, aż nad płetwą odbytową. Ciało ma przy tym słabo elastyczne, dlatego pływa i atakuje przeważnie w linii prostej, czasami szerokim łukiem. Być może, przyczyną tego „usztywnienia" są silnie rozwinięte mięśnie tułowia, niezbędne jednak do przezwyciężenia dużej siły bezwładności ciała, bo drapieżnik startuje przecież do ataku z miejsca i to w ułamku sekundy, napotyka więc od razu duży opór wody. Mięśnie przenoszą swoją energię aż na trzy płetwy ogonowej części ciała, które z taką siłą rozpychają wodę, że powodują jej silne zawirowania. Tak szczupak pływa...

Ale przez dziewięćdziesiąt procent swojego życia stoi w wodzie w bezruchu, czatując na zdobych, co wcale nie jest łatwiejsze od pływania, tym bardziej, że środek ciężkości tej ryby położony jest ponad pęcherzem pławnym, co w każdej chwili grozi wywrotką i... prawdopodobnie nasz drapieżnik bez przerwy wywracałby się do góry brzuchem, gdyby nie bezustanna pomoc płetw parzystych (brzusznych i piersiowych) pomagających utrzymywać równowagę. Skóra (na głowie przylegająca bezpośrednio do kości) pokryta jest podłużnymi rzędami dachówkowato ułożonych łusek układających się wzdłuż mięśni, a więc w niczym nie ograniczających ruchów tułowia.

O budowie jamy gębowej i sposobie połykania pokarmu, budowie i znaczeniu wzroku oraz linii bocznej, zmienności kształtu ciała i ubarwieniu skóry w zależności od środowiska – będzie jeszcze mowa.

Gdzie go szukać?

Szczupaki występują niemal we wszystkich polskich wodach: w jeziorach, rzekach, stawach, rzecznych łachach, śródleśnych i śródlądowych „oczkach", w zalewach przymorskich, a nawet w przyujściowych strefach Bałtyku.

Drapieżnik jest jednak rybą czatującą w ukryciu na swą zdobycz, a więc musi mieć naturalne warunki do zasadzki, dlatego we wszystkich typach wód szukamy go w określonych miejscach.

Jeziora

W jeziorach najczęstszym miejscem występowania drapieżników jest strefa przybrzeżna, czyli litoral, najbogatszy w rośliny i zwierzęta, a zatem i ryby. Typowy litoral podzielić można na trzy ważne strefy: trzcin i oczeretów, roślin o liściach pływających i roślin całkowicie zanurzonych w wodzie. To najbardziej klasyczny schemat, ale w różnych zbiornikach obserwujemy liczne odstępstwa od tego schematu.

Wszędzie tam, gdzie bujnie występuje roślinność, równie bujnie tętni podwodne życie, a szczupaki znajdują i pożywienie, i mnóstwo miejsca do ukrycia się w trakcie polowania. Oprócz litoralu trzeba więc dokładnie penetrować z wędką podwodne górki, na stokach których natrafiałem często na spore szczupaki.

W pasie trzcin i oczeretów prawie wyłącznie przebywają mniejsze, jedno-, dwukilogramowe drapieżniki, większe polują zazwyczaj dopiero na pograniczu pasa roślinności o liściach pływających i zanurzonych oraz na stokach podwodnych górek.

Wczesną wiosną szczupaki gromadzą się masowo na płyciznach i zalewiskach przybrzeżnych w celu odbycia tarła. Późną wiosną i wczesnym latem żerują w granicach strefy przybrzeżnej i na stokach podwodnych górek. Latem, w czasie upałów, większe okazy schodzą w głąb jeziora, gdzie woda jest chłodniejsza. Mniej więcej od września aż do późnej jesieni powracają do strefy przybrzeżnej.

Najliczniej szczupak zasiedla jeziora o rozległej strefie przybrzeżnej, z obszernymi zatokami, wyspami i śródjeziornymi wzniesieniami, gdzie licznie występują zbiorowiska ramienic, kępy rdestnicy, rogatek i osoka aloesowego, gdzie na powierzchni wody ścielą się skupiska liści grążela żółtego i grzybienia białego, a na dnie leży spora warstwa mułu. W takich wodach szczupaki mają obfitość pokarmu, bo masowo zasiedla je płoć, lin, karaś i okoń.

Rzeki

W rzekach szczupak unika bystrego nurtu i chroni się wszędzie tam, gdzie nurt zwalnia na tyle, by mogła rozwinąć się i utrzymywać korzeniami w dnie zróżnicowana flora. Roślinność podwodna i o liściach pływających rozwija się bujnie w tych miejscach, gdzie szybkość prądu nie przekracza półtora metra na sekundę, a roślinność wynurzona rośnie dopiero przy szybkości prądu nie przekraczającej dwudziestu centymetrów na sekundę. Jakie zatem miejsca w rzece odpowiadają tym warunkom? Są to przede wszystkim mniejsze lub większe rozle-

wiska, powstałe przez naturalne lub sztuczne (np. przy młynach) przegrody, zatrzymujące bieg nurtu, starorzecza, rzeczne łachy, ostrogi i zatoki z dala od nurtu.

Ryby żyjące w rzekach mają ciało bardziej wydłużone niż jeziorowe – te są znacznie krótsze i o bardziej krępej budowie.

W czystych rzekach i jeziorach, gdzie woda jest przezroczysta, szczupak ma grzbiet ciemnobrązowy, brzuch prawie biały, zielone boki z żółtymi lub zielonkowatymi plamkami. W wodach o dnie mulistym boki stają się szare lub szarobrunatne, brzuch – żółtawy, ciemnieją również cętki. Dzięki dostosowaniu się ubarwieniem do otoczenia czatujący drapieżnik, stojący w bezruchu, jest prawie niedostrzegalny dla nadpływającej zdobyczy.

Szczupak to ryba osiadła, wybierająca niezbyt rozległy rejon łowiecki. Oczywiście, czatuje w ukryciu, przeważnie w skupisku roślinności, ale również koło zatopionych pni drzew, wystających z wody gałęzi, pod kożuchem naniesionych przez wodę szczątków organicznych, koło pali wbitych w dno, w różnego rodzaju jamach – ale te występują w zasadzie tylko w rzekach.

Żarłoczność bez granic

Szczupak jest typowym przedstawicielem drapieżników, odżywiających się prawie wyłącznie rybami i innymi kręgowcami.

Instynkt drapieżny odzywa się u tej ryby bardzo wcześnie, bo już w momencie uformowania żołądka, co następuje w drugim, trzecim tygodniu od momentu wylęgu. Wtedy to jego pokarmem stają się larwy innych ryb, szczególnie płoci. Zresztą płoć pozostaje podstawową rybą w szczupaczym jadłospisie również po zakończeniu rozwoju larwalnego, chociaż nieco później szczupak zaczyna zjadać również okonie, a w miarę wzrostu – starsze ukleje, jazgarze i krąpie. I te gatunki uznać można za dominujące w jego pożywieniu, chociaż trudno tu o schematyczne wnioski, gdyż sposób odżywiania się zależy od obfitości pokarmu w danej wodzie, wieku drapieżników, pory roku i warunków atmosferycznych – a więc intensywności pobierania pokarmu. Myślę, że procent zjadanych przez drapieżniki poszczególnych gatunków ryb odpowiada mniej więcej ilościowym proporcjom ich występowania w określonej wodzie.

Szczupak jest rybą niewątpliwie żarłoczną, chociaż co do ilości zjadanych przez niego ryb zdania wśród ichtiologów są podzielone. Chyba można, na wędkarski użytek, przyjąć wskaźnik trzy i pół do czterech kilogramów zjedzonych ryb na jeden kilogram przyrostu wagi drapieżnika. Oczywiście, większe szczupaki mogą zjadać większe ryby, ale te nie trafiają im się tak bez przerwy i dlatego podstawą pożywienia pozostają zawsze mniejsze sztuki.

W zbiornikach małych (stawy, małe jeziorka, doły śródłąkowe), gdzie nie ma czasami obfitości ryb, szczupaki, jeśli są bardzo wygłodzone, mogą chwytać młodzież ptactwa wodnego, żaby, a nawet gryzonie, ale z tych sporadycznych przypadków nie warto wyciągać wniosków dla wędkarskiej praktyki.

W ciągu roku pierwszy okres intensywnego żerowania, a więc i dobrych połowów, przypada na początek maja – po zakończeniu tarła, kiedy ryby są tak wygłodzone, że pobierają pokarm niemal przez cały dzień. Lipiec, sierpień, a niekiedy nawet pierwsza połowa września – to okres słabego żerowania. Ale już od połowy września do końca listopada szczupaki znów stają się żarłoczne.

Wiosną i wczesną jesienią znakomite do połowu są ciepłe, bezwietrzne, pochmurne dni, kiedy lada moment spodziewany jest deszcz. Latem, w dni bezchmurne, najlepsze brania następują bezwzględnie wczesnym rankiem i przed wieczorem, ale jeśli na niebie są chmury – zdarzają się przez cały dzień.

W czasie pięknej, letniej pogody, przy wysokim ciśnieniu i temperaturze obserwowałem jednak często drapieżniki stojące w wodzie jakby w półśnie, ale ożywiały się natychmiast, kiedy tylko wskaźnik barometru zaczął opadać i – co ciekawsze – tym żarłoczność drapieżników była większa po zmianie pogody, im dłużej uprzednio utrzymywał się wyż.

Jesienią, szczególnie od drugiej połowy października do końca listopada, drapieżniki żerują przeważnie przez cały dzień, gdyż przed zbliżającą się zimą chcą raptownie przybrać na wadze.

Branie przynęty w rzekach w dużej mierze zależy ponadto od zmienności stanu wody. Jeśli poziom wody gwałtownie rośnie, ryby muszą pośpiesznie opuszczać swoje kryjówki i wtedy trudniej im zdobywać pożywienie, dlatego po powrocie wody do normy ryby też powracają do swoich „czatowni" i starają się nadrabiać zaległości.

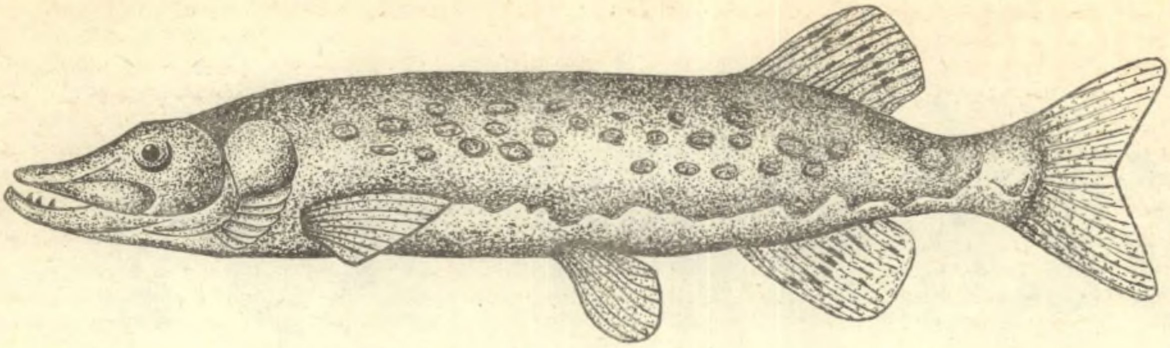
W pierwszym roku życia drapieżnik osiąga ciężar około stu pięćdziesięciu do dwustu pięćdziesięciu gramów, w drugiej – około pół kilograma, w trzecim – prawie jeden kilogram, w czwartym – nawet do dwóch kilogramów. W polskich wodach złowienie nawet dziesięciokilogramowego drapieżnika nie należy do rzadkości.

Uwaga, branie!

Szczupak atakując sunie w wodzie jak przysłowiowa „strzała". Prześledźmy jednak poszczególne fazy tego ataku, od momentu zauważenia do momentu chwycenia i połknięcia ofiary, i spróbujmy z tej obserwacji wyciągnąć później wnioski dla wędkarskiej praktyki.

A więc nasz drapieżnik stoi w bezruchu w swojej „czatowni" w przybrzeżnej jamie, pośród zatopionych gałęzi drzew czy w ukryciu podwodnej roślinności. Czeka na żer w pozycji poziomej, bądź ukośnie, z głową nieco przechyloną w kierunku dna. Czeka! A więc jest drapieżcą pasywnym, chwytającym ofiarę tylko wtedy, kiedy ta przepływa odpowiednio blisko jego stanowiska, na odległość „skoku", przecinając linię ataku. Długo starałem się rozwikłać dylemat, dlaczego najpopularniejszy drapieżca naszych wód śródlądowych, najbardziej chyba żarłoczny, zamiast uganiać się za żerem, czeka, aż ten sam przypłynie. Dzisiaj twierdzę, że taki, a nie inny sposób polowania jest dla szczupaka najbardziej efektywny, ponieważ ma doskonale rozwinięty nie tylko wzrok, ale przede wszystkim tak zwaną linię boczną. I właśnie, moim zdaniem, linią boczną, a nie wzrokiem odbiera pierwsze sygnały o zbliżaniu się późniejszej ofiary. Cóż to zatem za sygnalizator, pełniący w zdobywaniu pokarmu przez szczupaka ważniejszą rolę od wzroku czy węchu?

Kiedy przyjrzycie się rybie, dokładniej dostrzeżecie, mniej więcej na wysokości połowy każdego z jej boków, wyraźną, biegnącą lekko ukośnie w dół – od płetwy do ogona – linię utworzoną przez maleńkie otworki, znajdujące się w skórze. U szczupaka wiele otworów rozrzuconych jest dodatkowo na całej niemal powierzchni głowy i tułowia. Wszystkie one tworzą misterny system, dzięki któremu drapieżnik odbiera delikatne mikrofale, informujące go o najmniejszym ruchu wody w jego otoczeniu. Kiedy sam



płynie, owe ciałka czuciowe rejestrują wszelkie zmiany ciśnienia wody wokół podwodnych przeszkód i pozwalają omijać je bezkolizyjnie; kiedy zatrzyma się i stoi w bezruchu ów system sygnalizacyjny rejestruje zmiany ciśnienia (mikrofale) wywoływane na przykład przez płynącą rybę. Każdy otworek tego systemu łączy się z małym kanalikiem wypełnionym śluzem, ten z kolei wpada do większego kanału, wewnątrz którego znajdują się grupy komórek czuciowych, połączonych z nerwem błędnym.

O tym, że system linii bocznej daje pierwsze, a zatem i najważniejsze impulsy do ataku na ofiarę, upewniłem się obserwując doświadczenia przeprowadzane w dużych akwariach: wygłodniałym drapieżnikom zaklejono oczy, a do wody wrzucono najpierw żywą jeszcze, ale odrętwiałą i nie poruszającą się już rybkę – szczupaki nadal pozostawały w bezruchu; ruszały do ataku natychmiast, kiedy w akwarium pojawiły się rybki zdrowe, sprawnie pływające, a więc wytwarzające mikrofale. Atakowały, chociaż nie zawsze za pierwszym razem trafiały pyskiem w ciało ofiary, co świadczy o dużej roli również wzroku, ale dopiero w drugiej fazie natarcia. Moją tezę wielokrotnie potwierdzali płetwonurkowie, którzy twierdzili, że dość często szczupaki rzucają się na błystkę i kiedy są o jedną trzecią odległości od niej, gwałtownie zatrzymują się lub odpływają w bok. Tak, wzrok mają też doskonały: oczy, lekko wypukłe, osadzone w górnej krawędzi głowy tworzą szerokie pole widzenia przede wszystkim dzięki kulistej soczewce, która mając możliwość przesuwania jej do przodu i do tyłu zapewnia obraz nie tylko szeroki, ale i dostatecznie ostry. Drapieżniki mogą jednak doskonale obserwować pole znajdujące się przed nim, znacznie gorzej widzą przedmioty znajdujące się po bokach ciała.

I w tym miejscu powróćmy w naszych rozważaniach do momentu, w którym drapieżnik stoi jeszcze nieruchomo w swojej „czatowni". Główny kierunek późniejszego ataku wyznacza linia wyprowadzona od przodu jako przedłużenie osi jego ciała. Ofiara nadpływa z kierunku mniej więcej prostopadłego do niej, jest jeszcze poza polem widzenia, a drapieżnik już przygotowuje się do ataku... bo chociaż nie widzi jeszcze obiektu – odbiera wysyłane przez niego impulsy systemem linii bocznej, dzięki któremju nie tylko początkowo, ale w każdym ułamku sekundy ocenia też odległość płynącej rybki, zarówno od głównej linii późniejszego ataku (w poziomie), jak i od paszczy (w kierunku pionowym), co za chwilę oznaczać będzie w praktyce długość wykonywanego skoku. Kiedy ryba zbliży się do linii ataku, a znajduje się w odpowiedniej odległości od paszczy, następuje błyskawiczny skok w linii prostej lub łagodnym łukiem, czasami nawet kilka skoków pod rząd. Drapieżnik rzuca się na swoją ofiarę silnie rozwierając paszczę, chwyta ją najczęściej wpół i spokojnie już odpływa obracając rybkę w paszczy, by połknąć ją zawsze od głowy.

Schwytana zdobycz ma minimalne szanse na uwolnienie się z pyska, który natura wyposażyła w misternie skomponowany system sześciuset lub ośmiuset zębów. Zęby te, tworząc wyraźne grupy, różnią się i wielkością, i kształtem; największe (proste i spiczaste), które chwytają i przytrzymują ofiarę, znajdujemy w dolnej szczęce; zęby na szczęce górnej i języku są drobne, ułożone w formie „szczoteczek" – tak jednak wyrastają z „luźnej" tkanki, że jeśli spróbujecie pociągnąć po nich palcem w głąb paszczy, to łatwo „kładą" się pod niewielkim nawet naciskiem, ale jeśli chcecie pociągnąć palec w drugą stronę, radzę robić to bardzo ostrożnie, gdyż ostre jak szpilki ząbki unoszą się i wbijają w ciało. W podobny właśnie sposób zapobiegają wysuwaniu się schwytanej ryby, która w trakcie połykania może się przesuwać tylko w głąb paszczy i przewodu pokarmowego. Szczupak połyka pokarm nie gryząc go ani nie rozdrabniając, a wykonywane przez niego ruchy szczęk tylko przesuwają ofiarę ku tyłowi.

Z tych wszystkich ichtiologicznych rozważań pora wyciągnąć najważniejsze wnioski dla wędkarskiej praktyki.

1. Błystkę prowadźcie średnim tempem i nie przyspieszajcie nagle jej biegu. Drapieżnik czeka na ofiarę, ale jeśli ta gwałtownie przyspieszy może niespodziewanie „przeskoczyć" linię ataku i wtedy jej nie zaatakuje.
A tak w ogóle, to szczupak najchętniej chwyta ryby osłabione, nawet chore – dlatego przez zawodowych rybaków zwany jest „sanitariuszem wód".

Jeśli tak, to błystka prowadzona wolniej, czasami wręcz zwalniająca bieg – daje większe szanse powodzenia, gdyż imituje właśnie osłabioną rybę;

2. Zwracajcie uwagę, szczególnie przy „obrotówkach", na sprawność techniczną błystki, gdyż powinna ona emitować w wodzie wyraźne, nie zakłócone mikrofale;

3. Nie lekceważcie kształtu i barwy sztucznej przynęty, gdyż szczupak ma znakomity wzrok i wyłowi każdą nieprawidłowość.

Zarzucając przynętę na płytką wodę nie stawiajcie przy samym brzegu, ale w pewnym oddaleniu od niego – ryba może was dostrzec!

4. Szczupakowe branie czasami przypomina zaczep, gdyż drapieżnik często chwyta błystkę podpływając do niej z boku, a nie z tyłu, co osłabia szarpnięcie w momencie zahaczenia się ryby.

5. Przy połowie szczupaka na błystkę radzę używać metalowego przyponu, gdyż w przypadku dostania się żyłki w paszczę, pomiędzy ostre jak szable zęby, zerwanie murowane. A zdarzyć się to może zarówno w momencie nieco chybionego szczupacznego ataku, jak i w różnych fazach walki z zahaczoną rybą.

cdn.

Edgar Allan Poe

CZARNY KOT

Nie oczekuję i nie domagam się wcale, by nadzwyczaj dziwna, lecz zarazem bardzo prosta opowieść do której przystępuję, znalazła wiarę u ludzi. I zaiste, byłoby z mej strony szaleństwem spodziewać się jej w sprawie, w której nawet moje zmysły nie dopuszczają własnego świadectwa. Wszelako szalony nie jestem i nie śnię na pewno. Jutro przyjdzie mi umrzeć, dziś przeto chciałbym ulżyć brzemieniu mej duszy. Bezpośrednim mym zamierzeniem jest przedstawić jasno, zwięźle i bez ogródek szereg zdarzeń z zakresu mego domowego pożycia. Następstwa tych zdarzeń rozwinęły się dla mnie w lęk, mękę i unicestwienie. Nie śmiem atoli ich tłumaczyć. Mnie nie dały nic okrom grozy – dla tłumów będą raczej baroques* niż straszliwe. Być może, iż kiedyś znajdzie się umysł, co zdoła me urojenia sprowadzić w dziedzinę zjawisk już dawno znanych, co, mając więcej spokoju i logiki a znacznie mniej pobudliwości ode mnie, nie dostrzeże w okolicznościach, które wspominam z przerażeniem, nic okrom zwykłego następstwa najnaturalniejszych przyczyn i skutków.

Od dzieciństwa byłem znany z pojętności oraz dobrotliwości mego usposobienia. Wrodzona mi czułość była tak jawna, iż uczyniła mnie igraszką mych towarzyszy. Przede wszystkim lubiłem zwierzęta, a rodzice dogadzali mi w wyborze tych moich ulubieńców. Niemal wszystek mój czas spędzałem z nimi i byłem najszczęśliwszy, gdym mógł je pieścić i karmić. Ta właściwość charakteru wzmagała się z laty, w wieku zaś męskim stała się głównym źródłem mych radości. Ludziom, którzy wiedzą, czym jest przywiązanie do wiernego i zmyślnego psa, nie potrzebuję zgoła tłumaczyć ani rodzaju, ani też głębi wynikającego stąd zadowolenia. W niesamolubnym i ofiarnym przywiązaniu zwierzęcia jest coś, co wnika wprost do serca, które często miało sposobność doświadczyć, czym jest nędzna przyjaźń i nikła jak pajęczyna trwałość uczuć tylko ludzkich.

Ożeniłem się wcześnie i byłem szczęśliwy, widząc w mej żonie skłonności zbliżone do moich. Poznawszy me zamiłowanie do zwierząt domowych, dokładała wszelkich starań, by wybrać dla mnie najmilsze. Mieliśmy ptaki, złote rybki, ładnego psa, króliki, małpeczkę i... kota.

Było to nadzwyczaj duże i piękne zwierzę, całkiem czarne i niesłychanie zmyślne. Mówiąc o jego inteligencji, żona moja, w głębi duszy nieco przesądna, czyniła nieraz aluzje do starodawnego, ludowego zabobonu, wedle którego wszystkie koty czarne są przedzierzgnionymi w zwierzęta czarownicami. Nie utrzymywała tego poważnie, wspominam zaś o tym szczególe dlatego jedynie, iż właśnie w tej chwili przyszedł mi na myśl.

Pluto – tak kot się wabił – był moim ulubieńcem i towarzyszem zabaw. Sam go karmiłem, on zaś nie opuszczał mnie ani na krok, kiedy byłem w domu. I trudno mi było powstrzymać go, by nie wybiegał za mną na ulicę.

*baroques (fr.) – dziwaczne, przesadne.

Przyjaźń nasza trwała przez kilka lat, atoli w tym czasie pod wpływem Demona Niewstrzemięźliwości dokonała się (wstydzę się wyznać) w całym mym usposobieniu i charakterze zupełna zmiana na gorsze. Z dnia na dzień stawałem się coraz posępniejszy, coraz gniewliwszy, coraz bezwzględniejszy w stosunku do innych. Ośmielałem się lżyć moją żonę. W końcu znieważyłem ją czynnie. Moi ulubieńcy odczuli również zmianę mojego usposobienia. Zaniedbywałem je i obchodziłem się z nimi okrutnie. Dla Plutona zachowałem wprawdzie wciąż jeszcze tyle względów, iż nie dręczyłem go, jak to nieraz się działo z królikami, małpą, a nawet psem, gdy przypadkiem lub by okazać swe przywiązanie zabiegali mi drogę. Lecz w miarę tego, jak choroba moja się wzmagała – bo czyż jest choroba gorsza od alkoholu! – nawet Pluto, który wówczas już się starzał i skutkiem tego nieco zdziczał – nawet on jął doświadczać na sobie następstw mojego rozczarowania.

Pewnej nocy powróciłem z jakiejś gospody do domu pijany do nieprzytomności i uroiłem sobie, że kot mnie unika. Gdym go pochwycił, przerażony mą natarczywością ugryzł mnie lekko w rękę. Wówczas opętała mnie demoniczna wściekłość. Zatraciłem poczucie własnej istoty. Właściwa ma dusza jak gdyby nagle uleciała ze mnie, a całą moją istotę przeniknęła jakaś iście szatańska złośliwość, podsycona gorącym napojem. Wyjąłem z kieszeni od kamizelki scyzoryk, otworzyłem go, ująłem biedne zwierzę pod gardło i nie śpiesząc się wcale, wyłupiłem mu jedno oko! Wzdrygam się, pałam, rumienię, opisując ten wybuch ohydnej dzikości.

Następnego dnia – kiedy pierzchły odurzające wyziewy nocnej hulanki i trzeźwy wrócił rozsądek – wezbrało we mnie uczucie grozy i skruchy za popełnioną zbrodnię, lecz był to jeno nikły i nieokreślony odruch, przy którym dusza pozostała nietknięta. Pogrążyłem się znów w wyuzdaniu i wnet utopiłem w winie wspomnienia owego czynu.

Tymczasem kot z wolna powracał do zdrowia. Wprawdzie pusty oczodół wyglądał straszliwie, lecz ból widocznie już mu nie dolegał. Wałęsał się jak zwykle po domu i – co z góry można było przewidzieć – za każdym mym zbliżeniem w największym uciekał popłochu. Kołatało się we mnie jeszcze tyle dawnej duszy, iż z początku martwiła mnie ta jawna odraza przywiązanego ongi zwierzęcia. Wszelako uczucie to rychło ustąpiło miejsca rozdrażnieniu. Po czym przyłączył się, jak gdyby w celu ostatecznego i nieodwołanego mego pognębienia duch przewrotności. Na ducha tego filozofia nie zwraca uwagi. Co do mnie – jest rzeczą równie pewną, iż dusza moja istnieje, jak że przewrotność jest jednym z pierwotnych popędów ludzkiego serca – stanowi jedną z nieodłącznych, pierwotnych właściwości czy uczuć, które nadają kierunek charakterowi ludzkiego osobnika. Czyliż istnieje człowiek, który by po stokroć nie uświadomił sobie, iż dopuszcza się jakiegoś niegodnego lub niedorzecznego czynu jedynie dlatego, że czynu tego popełnić nie powinien? Czyż w obliczu swego najwewnętrzniejszego sumienia nie doznajemy nieustannej pokusy, by naruszyć prawo

jedynie z tej przyczyny, iż je za słuszne uważamy? Ten duch przewrotności przyczynił się – jak już wspomniałem – do mojej ostatecznej zguby. Z niego to poczęła się owa niezgłębiona tęsknota do samoudręki, do poniewierania własną naturą, do złoczynienia dla niego samego, która sprawiła, iż nie ustawałem w swej zawziętości i dopełniłem w końcu miary krzywd wyrządzanych bezbronnemu stworzeniu. Pewnego dnia zadzierzgnąłem mu pętlę dokoła szyi i powiesiłem je na gałęzi; powiesiłem je, mając rzęsiste łzy w oczach i duszę pełną gorzkich wyrzutów; powiesiłem, ponieważ wiedziałem, iż to zwierzę było do mnie przywiązane, i ponieważ czułem, iż nie sprawiło mi żadnej przykrości; powiesiłem, ponieważ byłem przeświadczony, iż tym uczynkiem dopuszczam się grzechu – śmiertelnego grzechu, który do tego stopnia mą nieśmiertelną znieprawi duszę, iż wytrąci ją – gdyby to było rzeczą możliwą – poza obręb nieprzebranego miłosierdzia Wszechlitosnego i Wszechgroźnego Boga.

W nocy, co nastała po dniu tego okrutnego czynu, obudził mnie ze snu okrzyk, że się pali. Stały już w płomieniach zasłony mego łoża. Cały dom gorzał. Mojej żonie, służącej i mnie samemu niełatwo przyszło uniknąć ogniowej śmierci. Ruina była zupełna. Postradałem całe me doczesne mienie i pogrążyłem się odtąd w rozpaczy.

Nie jestem tak słaby, by pomiędzy tym nieszczęściem a moim okrucieństwem zadzierzgnąć węzeł przyczyny i skutku. Przedstawiam tylko cały łańcuch zdarzeń i nie chciałbym w nim żadnego pominąć ogniwa. Następnego dnia przyszedłem obejrzeć zgliszcza. Wszystkie ściany zwaliły się prócz jednej. Znajdowała się ona pośrodku domostwa i stanowiła niezbyt grube przepierzenie, o które opierało się wezgłowie mojego łóżka. Tynk nie odpadł w tym miejscu pod wpływem ognia, co przypisywałem tej okoliczności, iż niedawno go narzucono. Przed tą ścianą zebrał się wielki tłum ludzi, zaś niektórzy z nich – jak mi się zdawało – poddawali pewną jej część nadzwyczaj drobiazgowemu i dokładnemu badaniu. Okrzyki, jak: „To rzecz dziwna!", „To szczególne!", obudziły moją ciekawość. Zbliżyłem się i ujrzałem na białej powierzchni jakby wyrytą w płaskorzeźbie postać olbrzymiego kota. Kontury były odtworzone z osłupiającą wyrazistością. Z szyi zwierzęcia zwieszał się powróz.

Gdym po raz pierwszy ujrzał to widmo – gdyż za nic innego nie mogłem go uważać – zdumienie moje i przerażenie nie miało granic. Na koniec przyszła mi z pomocą rozwaga. Przypomniałem sobie, iż kot wisiał w ogrodzie, przylegającym do domu. Gdy rozległ się krzyk o pożarze, ogród ten zapełnił się gromadą ludzi; otóż ktoś odciął zapewne zwierzę z powroza i przez otwarte okno wrzucił je do mego pokoju. Uczynił to snadź w tym celu, by mnie obudzić ze snu. Któraś z walących się ścian wmiesiła swym ciężarem w świeżo narzucony tynk ofiarę mojego okrucieństwa, po czym wapno w połączeniu z solami amonowymi zwłok zwierzęcia wytworzyło pod wpływem ognia ów widziany przeze mnie obraz.

Jakkolwiek w ten sposób udało mi się naprędce uspokoić mój rozum, jeśli nie sumienie, to ów niepokojący, a co tylko opowiedziany wypadek wywarł głębokie wrażenie na moją wyobraźnię. Całymi miesiącami nie odstępowało mnie widziadło kota, a dusza moja drgnęła jakimś półuczuciem, które wyglądało na skruchę, atoli nią nie było. Doszło nawet do tego, iż począłem żałować utraty mojego ulubieńca, i w nędznych gospodach, w których odtąd bywałem stałym gościem, jąłem się rozglądać za zwierzęciem tego samego rodzaju i przybliżonego wyglądu, które zajęłoby jego miejsce.

Pewnej nocy, kiedym na wpół nieprzytomny siedział w najohydniejszej tawernie, dostrzegłem nagle jakiś czarny przedmiot, umieszczony na wierzchu jednego z olbrzymich antałów, napełnionych ginem czy rumem, a stanowiących najważniejsze w tej gospodzie sprzęty. Przez jakiś czas nie odwracałem oczu od wierzchu owej beczki i dziwiłem się niepomiernie, iż nie zauważyłem wcześniej znajdującego się na nim przedmiotu. Wreszcie zbliżyłem się ku niemu i dotknąłem go ręką. Był to czarny kot – bardzo duży – tak duży jak Pluto i najzupełniej doń podobny, z jednym wszelako wyjątkiem. Pluto nie miał na sobie ani jednego białego włoska, natomiast u owego kota widniała wielka, acz niezbyt wyraźna plama bieli, rozpostarta nieomal na całej jego piersi.

Gdym go dotknął, podniósł się natychmiast, jął głośno mruczeć, ocierać się o mą rękę i było widać, że jest z mej obecności zadowolony. Znalazłem zatem takie właśnie zwierzę, jakiego szukałem. Zwróciłem się natychmiast do gospodarza z pytaniem, ile za nie żąda, lecz ten nie przyznawał się do niego – nie znał go wcale – nie widział go nigdy przedtem.

Nie szczędziłem kotu pieszczot, a kiedym zabierał się do wyjścia, widać było, iż chce mi towarzyszyć. Zabrałem go więc ze sobą i wyszedłszy na ulicę zatrzymywałem się co chwila, by go pogłaskać. Gdyśmy przyszli do domu, obłaskawił się rychło i stał się wielkim ulubieńcem mojej żony.

Natomiast ze mną było inaczej, gdyż wkrótce jąłem odczuwać do niego odrazę. Stało się wręcz odmiennie, niż przewidywałem – sam nie wiem, jak i dlaczego. Przywiązanie bowiem, które mi jawnie okazywał, raczej mnie mierziło i odstręczało. Ta odraza i niechęć zamieniła się z wolna w gorycz nienawiści. Unikałem zwierzęcia; coś, jakby odruch zawstydzenia i pamięć popełnionego dawniej okrucieństwa, nie pozwalało mi znęcać się nad nim. Całymi tygodniami nie podnosiłem nań ręki i w ogóle nie dręczyłem go wcale, ale powoli doszło do tego, iż patrzyłem nań z niewysłowionym wstrętem i w milczeniu unikałem jego przemierzłej obecności niby tchnienia zarazy.

Do tej nienawiści przyczyniło się niewątpliwie odkrycie, jakiego dokonałem powróciwszy z kotem do domu; oto przekonałem się, iż podobnie jak Pluto nie miał on jednego oka. Wszelako dzięki tej okoliczności polubiła go jeszcze więcej moja żona, która – jak już wspomniałem – posiadała w znacznym stopniu ową tkliwość uczucia, co była ongi najznamienniejszym mym rysem i stanowiła dla mnie źródło najzwyklejszych i najczystszych uciech.

Pomimo odrazy, jaką czułem do kota, przychylność jego ku mnie zdawała się zwiększać. Nie odstępował mnie ani na krok z trudnym do zrozumienia uporem. Gdym siadał zwijał się w kłębek pod mym krzesłem lub wskakiwał mi na kolana, darząc mnie swymi ohydnymi pieszczotami. Kiedym wstawał, by pospacerować, plątał mi się pod nogami, iż nieraz bliski byłem upadku, lub zatapiał swe długie i ostre pazury w moje ubranie, by wspiąć mi się na piersi. Byłbym go wówczas najchętniej uśmiercił jednym uderzeniem, lecz wstrzymywała mnie od tego po części pamięć dawniejszego występku, głównie zaś – niech mi będzie wolno wyznać od razu – istna trwoga przed tym zwierzęciem.

Trwoga ta nie była wyłącznie obawą przed uszkodzeniem cielesnym, a jednak nie byłbym w stanie inaczej jej określić. Wstydzę się wyznać – w tej nawet celi złoczyńcy wstydzę się wyznać, iż lęk i groza, jaką mnie przejmowało to zwierzę, wzmogły się znacznie pod wpływem urojenia posuniętego już do niedorzeczności. Żona moja zwracała mi niejednokrotnie uwagę na właściwości wspomnianego już przeze mnie białego znamienia w uwłosieniu, stanowiącego między nowo przybyłym a uśmierconym niegdyś przeze mnie zwierzęciem jedyną widomą różnicę. Znamię to, jakkolwiek duże, zaznaczało się zrazu nader niewyraźnie, atoli, uwydatniając się z wolna i do tego stopnia niepostrzeżenie, iż przez długi czas rozum mój nie mógł się pogodzić z tym zjawiskiem jako z czczą mrzonką, przybrało w końcu ściśle określone zarysy. Utworzyło mianowicie podobiznę przedmiotu, którego nazwa przejmuje mnie drżeniem, dla którego przede wszystkim lękałem się tego potwora, przed nim się wzdrygałem i byłbym się odeń uwolnił, ale nie śmiałem; była to podobizna straszliwej i upiornej rzeczy: SZUBIENICY! Jakież to żałosne i okropne narzędzie przerażenia i kaźni – mąk przedzgonnych i śmierci!

I oto stałem się pastwą niedoli, co w kręgu nędz ludzkich już się nie mieści. A przyprawiło mnie o nią nikczemne zwierzę, równe temu, które pogardliwie zgładziłem ze świata. Nikczemne zwierzę sprawcą niedoli istoty stworzonej na podobieństwo Wszechmocnego Boga: co za nieogarniona męka! Już ani na jawie, ni we śnie nie zaznałem dobrodziejstwa spoczynku. Za dnia ten potwór przebywał nieustan-

nie ze mną, nocą zaś zrywałem się co chwila z niewysłowionym przerażeniem, czując na twarzy jego gorący oddech, tudzież ogromny jego ciężar, co na kształt ucieleśnionego upiora nie pozwalał mi się podnieść i serce me przywalał wiekuistym brzemieniem!

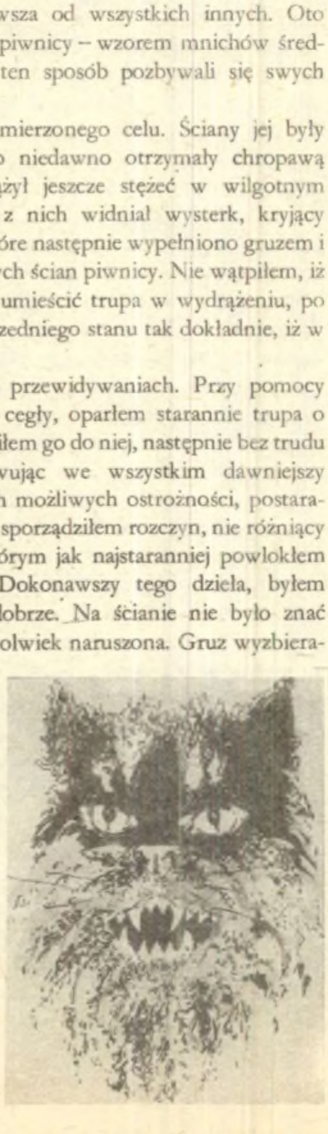
Śród tych udręczeń słabe poczucie dobra zanikło we mnie doszczętnie. Zagnieździły się w mej duszy jeno złe myśli – najgorsze i najczarniejsze ze wszystkich. Posępność mego zwykłego usposobienia wyrodziła się w nienawiść do wszystkiego i wszystkich; wściekłość moja, której obecnie ślepo się poddawałem, przejawiała się w nader częstych i nieuskromnionych wybuchach, zwykłą zaś ich i najbardziej bolejącą ofiarą bywała, niestety, potulna moja żona.

Pewnego dnia, chcąc załatwić jakiś szczegół dotyczący naszego gospodarstwa, zeszła ona wraz ze mną do piwnicy starego domostwa, w którym obraliśmy sobie mieszkanie, przyniewoleni ubóstwem. Kot podążał za mną po stromych schodach i omal nie strącił mnie na dół, co doprowadziło mnie do szaleństwa. Podniosłem siekierę i zapominając w gniewie o dziecinnej trwodze, co dotychczas krępowała mą rękę, zamierzyłem się do ciosu, który by niewątpliwie zgładził zwierzę ze świata, gdyby wypadł wedle moich życzeń. Lecz powstrzymała go dłoń mojej żony. Podniecony tą przeszkodą, rozgorzałem iście demoniczną wściekłością i wydarłszy ramię z uścisku zatopiłem siekierę w jej głowie. Padła nieżywa, nie wydawszy jęku.

Po dokonaniu tego ohydnego zabójstwa, jąłem natychmiast z zimną rozwagą rozmyślać nad tym, jak ukryć zwłoki. Wiedziałem, iż nie będę mógł wynieść ich z domu ani za dnia, ni w nocy, gdyż dostrzegliby mnie sąsiedzi. Raz zamierzałem pokrajać trupa na drobne kawałki i spalić je w ogniu. To znów zastanawiałem się, czyby nie wykopać grobu w piwnicy. Po chwili przyszło mi do głowy, by wrzucić zwłoki do studni znajdującej się na podwórzu lub zamknąć je z wszelkimi ostrożnościami do skrzyni i zawezwać posługacza, by jako towar zabrał je z domu. W końcu nasunęła mi się myśl, która wydała mi się o wiele właściwsza od wszystkich innych. Oto postanowiłem zamurować je w piwnicy – wzorem mnichów średniowiecznych, co podobno w ten sposób pozbywali się swych ofiar.

Piwnica nadawała się do zamierzonego celu. Ściany jej były sklecone dość luźnie i dopiero niedawno otrzymały chropawą powłokę tynku, który nie zdążył jeszcze stężeć w wilgotnym powietrzu. Ponadto na jednej z nich widniał wysterk, kryjący fałszywy komin czy palenisko, które następnie wypełniono gruzem i zrównano na podobieństwo innych ścian piwnicy. Nie wątpiłem, iż uda mi się powyjmować cegły, umieścić trupa w wydrążeniu, po czym doprowadzić mur do poprzedniego stanu tak dokładnie, iż w nikim nie wzbudzi podejrzenia.

Nie pomyliłem się w mych przewidywaniach. Przy pomocy oskarda z łatwością wyłupałem cegły, oparłem starannie trupa o wewnętrzną ścianę i przytwierdziłem go do niej, następnie bez trudu dokonałem odbudowy, zachowując we wszystkim dawniejszy wygląd. Przestrzegając wszelkich możliwych ostrożności, postarałem się o wapno, piasek i słomę i sporządziłem rozczyn, nie różniący się niczym od dawniejszego, którym jak najstaranniej powlokłem świeżo zamurowane miejsce. Dokonawszy tego dzieła, byłem zadowolony, że wypadło tak dobrze. Na ścianie nie było znać najlżejszego śladu, iż była kiedykolwiek naruszona. Gruz wyzbierałem jak najtroskliwiej. Rozejrzawszy się dokoła z triumfem, rzekłem do siebie: „Oto przynajmniej tym razem praca moja nie poszła na marne".



Zaraz potem zabrałem się do poszukiwania kota, co wszystkich tych nieszczęść stał się przyczyną, postanowiłem bowiem niezłomnie zgładzić go ze świata. I gdybym był go podówczas dopadł, na pewno byłby nie uszedł swego losu; lecz chytre zwierzę zlękło się snadź poprzedniego mojego zapamiętanego uniesienia i wolało się nie pokazywać, by nie ściągnąć na siebie gniewu. Nie podobna pojąć ni wysłowić błogiego uczucia ulgi, jakie rozniecilo się w mej duszy, gdym się przekonał o nieobecności tego przebrzydłego potwora. Nie pojawił się również, gdy noc zapadła; odkąd zawitał do mego domu, nie spałem jeszcze nigdy tak zdrowo i spokojnie, jak tej nocy – spałem mimo brzemienia zbrodni, co obarczała mą duszę!

Minął dzień drugi i trzeci – mój prześladowca nie wracał. Wreszcie odetchnąłem swobodnie. Snadź zdjęty popłochem, przepadł na zawsze! Nie ujrzę go już nigdy! Szczęśliwość moja nie znała granic! Wyrzut mojego okropnego czynu nie wytrącił mnie z równowagi. Wszczęło się śledztwo, lecz z łatwością odparłem wszelkie podejrzenia. Zarządzono nawet przeszukanie domu – nie wykryto atoli, rzecz prosta, niczego. Pomyślnej przyszłości nie mąciła już żadna niepewność.

Czwartego dnia pojawił się najniespodziewaniej oddział policji i przystąpił ponownie do ścisłego badania domostwa. Wszelako nie zmieszało mnie to wcale, byłem bowiem pewny, iż nie podobna odszukać obmyślanej przeze mnie kryjówki. Urzędnicy wezwali mnie, żebym im towarzyszył przy tych poszukiwaniach. Nie pominęli żadnej skrytki ani kąta. Na ostatek, po raz trzeci czy czwarty, zeszli do piwnicy. Nie drgnął we mnie żaden mięsień. Serce moje biło tak spokojnie, jak u człowieka, co zasnął przeświadczony o swej niewinności. Chodziłem po piwnicy z kąta w kąt. Skrzyżowałem ręce na piersiach i wałęsałem się najspokojniej. Policjanci byli zupełnie zadowoleni i gotowali się do odejścia. W głębi duszy nie posiadałem się z radości. Pałałem chęcią, by rzucić bodaj jedno słowo triumfu i w dwójnasób utwierdzić ich przeświadczenie o mej nieskazitelności.

– Panowie – rzekłem, gdy wchodzili już na schody – cieszę się wielce, iż powiodło mi się rozwiać wasze podejrzenia. Życzę wam wszystkim powodzenia i nieco więcej uprzejmości. Nawiasem mówiąc, panowie, jest to... doskonale zbudowany dom. (Opętany pragnieniem powiedzenia czegoś stosownego, nie wiedziałem już niemal, co mówię). Rzekłbym nawet, że jest to znakomicie zbudowany dom. Te mury – czy odchodzicie już panowie? – te mury są ogromnie wytrzymałe. – To mówiąc, w rozpętaniu samochwalstwa, trzciną, którą trzymałem w ręce, jąłem stukać mocno właśnie w to miejsce, gdzie za ścianą kryły się zwłoki niegdyś ukochanej przeze mnie kobiety.

Aliści, chroń mnie, Boże, i ratuj z obieży wiekuistego zatracenia! Nie zdążyły jeszcze zapaść w ciszę echa mych uderzeń, gdy z grobu rozległa się odpowiedź! Był to głos zrazu zdławiony i urywany niby szlochanie dziecka, ale przedzierzgnął się wnet w długi, ostry i przeciągły krzyk, dziwnie nieludzki i potworny – następnie w wycie i w żałosny wrzask na poły przerażenia, a na poły triumfu, jakim zieje snadź tylko piekło, gdy jęk, wydarty z gardzieli konających potępieńców, zlewa się z radosnym rykiem strąconych demonów.

Mówić o mych odczuciach byłoby niedorzecznością. Nieprzytomny zatoczyłem się pod przeciwległą ścianę. Policjanci, wchodzący na schody, znieruchomieli na razie z nadmiaru przerażenia i grozy. Lecz wnet kilkanaście krzepkich ramion jęło burzyć ścianę. Jakoż runęła. Trup, wyprostowany, cały w skrzepach krwi i w plamach daleko posuniętego rozkładu, ukazał się oczom widzów. Z szeroko rozwartą, krwawą paszczą i pałającym jednym okiem siedział na głowie jego ohydny potwór, co najpierw podstępnie popchnął mnie do zbrodni, po czym swym ostrzegawczym głosem wydał mnie w ręce kata. Po społu z trupem zamurowałem go w grobie!

Tłumaczył **Stanisław Wyrzykowski**

Joanna Wiórkiewicz

Trochę chiromancji

Popatrzmy na swoje ręce, na ręce swoich znajomych. Każda dłoń jest inna, palce są długie albo krótkie, skóra szorstka lub elastyczna. Nawet dla niewprawnego oka wygląd dłoni jest zdecydowanie różny. Chiromanci, zanim zajrzą do wnętrza dłoni, najpierw ją obserwują; obserwują rozmawiając z nami, przysłuchując się nam...

Jak wszystkie obserwacje, tak i te dotyczące kształtu dłoni trzeba możliwie szybko i zręcznie sklasyfikować. To znacznie upraszcza korzystanie z własnej wiedzy. Klasyfikacja typów rąk, której będziemy tu używać, różni się od wszelkich innych spotykanych w mniej lub bardziej wiekowych dziełach chiromantycznych, jednak ma ona tę zaletę, że łatwo ją opanować i stosować.

Zasadniczy podział będzie najpierw różnicowaniem płci właściciela ręki, drugi, trudniejszy, będzie polegał na określeniu kształtu ręki, przy trzecim natomiast musimy ustalić długość palców w stosunku do długości dłoni (do nasady palców).

Jak więc ustalić czy dłoń (bez palców) jest kwadratowa, czy podłużna? Otóż najlepiej zrobić to obrysowując wydruk (mówiąc o dłoni mam zawsze na myśli wyłącznie jej odbicie na papierze) części dłoniowej geometryczną linią kwadratu czy prostokąta. Jeśli w swej szerokości dłoń jest niemal równa długości, mamy wówczas przykład dłoni kwadratowej, jeśli natomiast szerokość dłoni jest mniejsza, aniżeli jej długość, mamy do czynienia z dłonią podłużną. Ustalenie długości palców w stosunku do dłoni wymaga tylko zakreślenia cyrklem koła na odbiciu dłoni, koła, którego środek wypada u nasady palca Saturna (środkowego), a długość promienia jest długością palca Saturna. W przypadku długich palców w obrębie koła mieści się prawie cała dłoń, natomiast wówczas, gdy palce są krótkie, w obrębie koła nie mieści się nawet nasada kciuka.

Dzięki takim prostym pomiarom możemy wyróżnić cztery główne typy dłoni. Pierwszy – o kwadratowej dłoni i krótkich palcach – to ręka, którą niezależnie od płci jej właściciela nazwać można „ręką praktyczną". Drugi typ posiada długą dłoń i krótkie palce; tę dłoń nazwiemy „intuicyjną". Trzeci typ, z długą dłonią i długimi palcami nazwiemy „dłonią wrażliwą". Natomiast czwarty, ostatni typ z kwadratową dłonią i długimi palcami nazwać można typem „intelektualnym". Trzeba jednak pamiętać o tym, że bardzo rzadko spotkać można naprawdę długie palce, toteż odnoszące się do nich określenia: „długie", „krótkie" traktować należy bardzo względnie.

Wierni starożytnej tradycji spróbujemy odnieść nasze cztery podstawowe typy ręki do czterech żywiołów Empedoklesa: Ognia, Ziemi, Powietrza i Wody. Wykazują one bowiem – czego dowodzą astrologowie od początku astrologii – wszechstronne związki z ludzkimi naturami. Można więc zastosowany przez nas podział poukładać w pary z czterema żywiołami: rękę „praktyczną" odniesiemy do Ziemi, rękę „intuicyjną" połączymy z Ogniem, rękę „intelektualną" z Powietrzem, a rękę „wrażliwą" – z Wodą.

Po tych uszeregowaniach pora na odrobinę więcej szczegółów. Przedmiotem naszych analiz niech stanie się teraz

Ręka praktyczna

Jak ją poznać? Tu nie może być pomyłki: z kwadratowej dłoni wyrastają krótkie palce. Ręka jest ciężka, solidna, szorstka, chciałoby się powiedzieć – prostacka, a w skrajnych przypadkach oznaczona tylko trzema głównymi liniami – Serca, Życia i Głowy, z zaakcentowanym Wzgórzem Wenus. Zarysowane linie znamionują siłę fizyczną i żywotność. Ten typ ręki właściwy jest żywiołowi Ziemi. Duża przestrzeń dłoni może sugerować silne cechy animalne oraz przywiązanie do życia osiadłego.

Najbardziej odczuwaną przez nas cechą ziemi jest jej solidność. Zapewnia nam przecież oparcie i pożywienie. Jest stabilna, zwarta, nieodzowna. Jednakże przede wszystkim ziemia jest produktywna. Czerpiemy z jej owoców i jej wewnętrznych bogactw, a pod jej skorupą trwa – poddane fantastycznym ciśnieniom – nieustanne wrzenie, co jakiś czas dające o sobie znać wybuchając furią magmy.

Ta najkrótsza w świecie charakterystyka ziemi potrzebna jest nam do uczynienia prostego porównania z charakterem właściciela ręki „praktycznej". Powiemy o takiej osobie, że jest typem Ziemi (ziemi – jako żywiołu). Są to osoby rzetelne, „solidne", o zwartej konstrukcji psychofizycznej; stąpają mocno nogami po ziemi. Ze skłonnością do oschłości w stosunkach z innymi ludźmi zajmują się tylko swoją pracą. Największą przyjemność sprawia im ciężka fizyczna robota. Są bardzo ostrożni, kierując się intuicyjną wiedzą o naturze rzeczy; są prawdomówni, choć skryci; ich naturalne pojmowanie moralnego porządku nie pozwala na uleganie występkom. Ciężka praca, rzetelność, wysiłek i prawość czynią z charakteru Ziemi typ niezwykle pożyteczny, wytwórczy, wyżywający się w ciesielstwie, budownictwie, użytkowym rzemiośle. Ich skłonność do naturalnych rytmów: dnia i nocy, pór roku, nastawia ich niechętnie do pozostałych typów charakterologicznych, których sposób życia jest nieustanną amplitudą zrywów i depresji.

Owa nieruchomość skorupy ziemskiej przy jednoczesnym wrzeniu wnętrza przeniesiona jako analogia na ludzki charakter świadczy dowodnie o dwoistości typu Zie-

mi. Gdyby przełamać jego powściągliwość, zburzyć jego poczucie praworządności, zakłócić naturalny rytm jego życia, wówczas z furią uwolni się niepohamowana destrukcyjna energia.

Z pozostałych trzech żywiołów najbliższa Ziemi jest Woda. Jest to oczywiste: woda zwilża ziemię, pozwala jej rozwijać życie, produkować. Ziemia nie znosi prażącego Ognia ani wysuszającego ją Powietrza.

Astrologicznie Ziemia związana jest z Bykiem, Panną i Koziorożcem tworzącymi razem „trójcę" Ziemi, którą zarządzają trzy planety: Wenus, Merkury i Saturn. Zachłanny, zazdrosny, niewzruszony i ostrożny Byk; lekceważąco powściągliwa, praktyczna i inteligentna, krytycznie nastawiona do wszystkiego Panna oraz rozważny, cichcem zdążający do celu, porządny i najbardziej utylitarny Koziorożec – cała ta doborowa trójka posiada zróżnicowane natury Ziemi. Umiarkowanie i harmonia Wenus przydającej miłości pięknu natury i pięknu domowego ogniska odpowiada żeńskiemu pierwiastkowi typu Ziemi. Bez Wenus Ziemia byłaby zbyt sucha, zbyt solidna, zbyt umoszczona w swoich posadach. Natomiast podniecający i zmienny Merkury dostarcza temu typowi czegoś, co określić by należało jako „zawór bezpieczeństwa", jako że i Ziemia potrzebuje wulkanicznych kanałów do ochrony przed samodestrukcją, tak więc ziemski typ astrologiczny potrzebuje dróg tego rodzaju do ucieczki przed rutyną, schematem i zbyt czasem ciężką, ogłupiającą pracą. Saturn – chłodny, sam ograniczający sobie pole postrzegania świata, melancholijny – zabarwia ten typ skłonnościami do refleksji, medytacji, dziwacznych humorów. Wszystkie te czynniki w rozmaitych ilościach stopione w jednym typie tworzą fascynującą osobowość, nie mniej interesującą od innych, a oprócz tego bardziej „pewną" – ponieważ trzymającą się ziemi.

Kobieca ręka „praktyczna" nie jest tak powszechnie spotykana, jak męska, chociaż badania przeprowadzone w środowisku robotniczym wykazały 65 procent obecności tego typu dłoni. Rzadkość występowania kobiecej ręki „praktycznej" nie może być żadnym zaskoczeniem, jeśli zauważyć, że kryje się za nią zdecydowanie aktywny i raczej męski charakter.

Astrologicznym Bykiem rządzi Wenus – planeta żeńska, której wpływ uwidocznia się najmocniej na kobiecej dłoni „praktycznej". A więc praktyczność i rozsądek są nieco łagodniej eksponowane i odnoszą się głównie do własnego domu. Kobiety o praktycznej dłoni, to kobiety praktyczne w ogóle: oszczędne do granic skąpstwa, ekonomiczne w każdym celu, zapobiegliwie i przezorne, przywiązane do domowych zwyczajów i tradycyjnej kuchni, kobiety niechętne jakimkolwiek ekstrawagancjom. Dziewczyna z dłonią „praktyczną" zdecydowanie powinna się wydać za chłopaka z taką samą dłonią, bowiem źródła ich satysfakcji są takie same. Dziewczyny takie imponują mężczyznom innych typów, ponieważ wypełniają kanon „dobrej żony", jednakże prędzej czy później do takiego małżeństwa „mieszanego" zawita nuda. Co dzień czysta koszula i schabowy w niedzielę są, co prawda, silnym oparciem małżeńskiego stadła, jednakże poza posiadaczami dłoni „praktycznych" – nie najsilniejszym.

Zdecydowanie odmienną strukturę psychiczną reprezentuje

Ręka intuicyjna

Wyróżnia się ona stosunkowo długą dłonią i krótkimi palcami (niezbędne pomiary cyrklem!). Jest dość zręczna i sprężysta, o elastycznej skórze. Ponieważ długość palców ocenia się w stosunku do długości dłoni, krótkie palce ręki „intuicyjnej" są zwykle nieco dłuższe aniżeli palce ręki „praktycznej"; są subtelniejsze, nigdy grube. Również i ten typ ręki jest najczęściej spotykany wśród mężczyzn. Cechuje go niezwykła żywotność, ruchliwość, a odbicie dłoni na papierze ujawnia bogaty rysunek – dowód bogatej osobowości. Ten typ dłoni przynależy do żywiołu Ognia.

Ogień płonie, żyje dzięki energii. Potrzebujemy go ze względu na ciepło, które pobudza do życia nasze ciało. Ogień przenika rzeczy wdzierając się do ich środka. Ogień jest siłą niszczącą wówczas, gdy pozostaje bez kontroli, kiedy nie wykonuje swej funkcji ogrzewającej, funkcji podtrzymywania życia; kiedy jest zbyt żarłoczny.

Poprzez prostą analogię taka charakterystyka pasować może do różnorodnych typów indywidualności. Osoby takie są aktywne, pełne zapału, bystre, ruchliwe i pełne życia. W stosunkach społecznych „ogrzewają" nas swoim życiem i swoimi talentami. W stosunkach osobistych typ Ognia będzie ogrzewał bliską osobę własnym entuzjazmem zadziwiając ją ciągle wybitnymi zdolnościami, oraz... zmiennością. Charakter intuicyjny jest najczęściej bardzo emocjonalny z natury, nawet chłonność intelektualna zależy od życia emocjonalnego. Toteż poglądy życiowe ludzi obdarzonych tego rodzaju charakterem rodzą się wyłącznie z emocji. Logika i racjonalność nie mają tu nic do rzeczy. I tak jak niekontrolowany ogień może być niebezpieczny, tak typ Ognia o zbyt ognistej naturze może zagrażać zarówno samemu sobie, jak i innym. Wybitny charakter intuicyjny przeżywa swe życie w stopniu tak intensywnym, jaki jest niemożliwy do zniesienia przez kogokolwiek innego. Rozsadzający entuzjazm często bywa męczący dla otoczenia – zazwyczaj o mniej żarliwym usposobieniu. Niecierpliwość w obcowaniu z ludźmi jest podstawowym błędem, jaki popełnia typ Ognia, często jest ona interpretowana jako zwykła chęć dominacji.

Typ intuicyjny jest zawsze aktywny, ciągle coś musi robić. Nie ma on zasadniczego rytmu, jak charakter „praktyczny", a jego sposób podchodzenia do każdej rzeczy przypomina ruch płomienia. Wielojęzyczny płomień dowodzi swej zmienności i jednocześnie zdolności do zatrzymania się dłużej na jednej rzeczy – płomienie gasną i ożywają – gwałtownie i bez jakiegokolwiek rytmu, a – jak powiedziałby typ Ziemi – bez celu. Tymczasem gwałtowność i zmienność są absolutnie celowe dla charakteru intuicyjnego, ponieważ pozwalają mu zużyć niesamowite ilości energii, jakie posiada. Potrzeba stałej aktywności dopełniona silną potrzebą różnorodności daje w rezultacie „zmieniającą się" osobowość. Z tych względów charakter Ognia może być niepewny, lepiej na nim nie polegać. Potrzebuje on zawsze uznania dla swych zdolności i uznanie to staje się następnie motywacją większości jego przedsięwzięć. Ambicja jest jedną z najsilniejszych stron jego osobowości. Idealnym zajęciem dla Ognia byłoby przewodzenie grupce indywidualności, gdzie jego naturalny entuzjazm dla życia mógłby być właściwie rozumiany, a jego własne poczucie ważności zaspokojone. Pozycja przywódcy czy autorytetu nie mogłaby być w żadnym razie przymusem. Charakter Ognia ma silne poczucie wolności i dobrowolności własnych działań.

Astrologicznie Ogień związany jest z Baranem, Lwem i Strzelcem, które tworzą „trójcę" Ognia, a którym przewodzą planety: Mars, Apollo i Jupiter. Potencjał energetyczny Barana – ciętego, dowcipnego i złośliwego w niemal każdym słowie; potężne zdolności przywódcze i pewność siebie Lwa oraz intelektualizm i kult wolności Strzelca są rozmaitymi aspektami natury Ognia. Zasoby energii Marsa wzmagają sardoniczny dowcip Barana, któremu nie zawsze udaje się ukryć swoją wojowniczą naturę. Apollo – mityczny bóg światła słonecznego ma wpływ na zdolności kreatywne typu „intuicyjnego". Natomiast ekspansywny płomień Jupitera prowadzi do optymizmu.

Typ Ognia obdarza zdolnościami zarówno natchnionych artystów, jak i majsterklepki do wszystkiego, lecz „jakość" talentów tego typu zależy od pozostałych cech uwidaczniających się na dłoni. Krótkie palce wskazują, że ich właściciel w pogardzie ma wszelkie szczegóły, a jego umysł nastawiony jest na porywające dalekosiężne plany. Ta naturalna niechęć do drobiazgów bywa przezwyciężana tylko wówczas, gdy w grę wchodzi ambicja wybicia się w swojej dziedzinie. Wtedy – jak wiadomo – liczy się każdy detal.

Ręka intuicyjna lubuje się w różnorodności. Jej właściciel musi uprawiać stosowne zajęcia, musi mieć stale zmieniających się przyjaciół; jeśli wybiera się na przyjęcia, to









tylko po to, by poznawać nowych ludzi i nawiązywać nowe kontakty. Jego życie domowe musi być urozmaicone, a szczególnie silny typ Ognia długo nie wytrzymuje w jednym stadle małżeńskim.

Kobieta typu Ognia – podobnie jak mężczyzna – jest niesłychanie dumna ze swej wybujałej indywidualności, gorąco pragnie zmienności we wszystkim, toteż najlepiej byłoby, aby poślubiła mężczyznę tego samego znaku. Byliby, co prawda, razem mieszanką bardzo „łatwo wybuchową", czasem nawet niebezpieczną, jednak nigdy by się nie nudzili, zapewniając sobie wzajem siłę i głębię przeżyć.

Jako swego rodzaju ciekawostkę podać można, że słynna francuska aktorka – Sarah Bernhardt – była właśnie typem Ognia. Jej rysunek dłoni utrwalił w swojej książce „Mowa ręki" największy bodaj ze współczesnych chiromantów – Cheiro, czyli hrabia Louis Hamon. Zmienna, pociągająca osobowość „boskiej" Sarah dowodzi skrajnie „intuicyjnego" typu. Chociaż podziwiano w niej głównie aktorkę, była ona przecież utalentowaną rzeźbiarką, scenopisarką oraz reżyserem. Wiele podróżując i ciągle się ucząc wykazała wielokroć nieustraszoną odwagę. Nawet po amputacji nogi w 1915 roku nie zawahała się przed pokazywaniem się na scenie, mimo wszystko.

Trzecim z kolei typem ręki, jakim będziemy się teraz zajmować jest

Ręka wrażliwa

Ręka wrażliwa wyróżnia się długą dłonią i długimi palcami. Jest najczęściej miękka i giętka, czasami może mieć wygląd „arystokratyczny": z długimi wąskimi palcami i gładką białą skórą. Powierzchnia dłoni pokryta jest wielką ilością wyrazistych linii z czterema głównymi liniami, zdecydowanie odbiegającymi od reszty. Linia Głowy zawsze wygina się w kierunku Wzgórza Księżyca, wskazując na mocno rozbudowaną wyobraźnię tego typu ludzi. Żywiołem właściwym typowi „wrażliwemu" jest Woda.

Woda jest płynna, spokojna – jeśli uregulowana; dążąca do ucieczki – jeśli niechcący wydostanie się ze swego zbiornika; obszarem jej wpływu staje się wszystko dokoła. Woda jest zwodnicza: cicha powierzchnia kryje gwałtowny nurt. Morze często uważane jest za siłę destrukcyjną.

Ta krótka charakterystyka może, poprzez analogię, być zastosowana do ludzi o rękach „wrażliwych". Niektórzy z nich bywają bierni, łatwo się wzruszający, niestali, czuli i wrażliwi, łatwo popadający w ponure nastroje, szukający schronienia w cieniu silniejszych osobowości. W stosunkach społecznych typ Wody pragnie być zdominowany, wręcz kontrolowany przez kogoś silniejszego niż on sam. Życie toczące się wokół mniej jest dla niego istotne, aniżeli głębokie podświadome życie wewnętrzne. Z tej to przyczyny sprawia on na innych wrażenie „marzyciela".

W nieustannym zbliżeniu ze swymi wewnętrznymi pokładami świadomości, ze swą przyrodzoną wrażliwością i wybitnie silną intuicją jest on w wysokim stopniu introwertykiem, tajemniczym i zamkniętym w sobie. Nikt nie może do niego naprawdę dotrzeć, a i on stara się sprawiać wrażenie „zimnego".

Podobnie jak typ „intuicyjny" jest on dzieckiem emocji. Różnica pomiędzy tymi dwoma charakterami jest różnicą pomiędzy aktywnością i biernością. Emocje typu „intuicyjnego" są wyrażane ekspresyjnie, gwałtownie, entuzjastycznie – słowem: przeważają nad samym życiem. Emocje typu „wrażliwego" są przeżywane znacznie spokojniej, łagodniej, bardziej wewnętrznie, skrycie, a nawet niechętnie.

Astrologicznie Woda jest związana z Rakiem, Skorpionem i Rybami, które tworzą „trójcę" Wody i którymi zarządza Księżyc, Jupiter i Mars. (Niektóre współczesne szkoły astrologiczne podporządkowują Ryby Neptunowi, nie Jupiterowi oraz Skorpiona nie Marsowi, a Plutonowi). Wrażliwy i ochraniający Rak, uczuciowy i przenikliwy Skorpion oraz idealistyczne i „stuknięte" Ryby – są razem rozmaitymi właściwościami natury Wody. Fazy Księżyca, jego odbite światło, wrażliwość Neptuna oraz umiejętność regeneracji Plutona, wyrażają zmienność i twórczą chłonność tego typu.

Wybitna wyobraźnia oraz pragnienie ucieczki od kłopotów życia doczesnego w marzenie czyni z tego typu jednostkę nieproduktywną, człowieka, który budzi się zawsze z głową w chmurach, człowieka, który w rozmowie powie częściej: „czuję" aniżeli „myślę". Widzi on wszystkie rzeczy w całej ich złożoności, w przeciwieństwie do reszty ludzi, a i rzeczy same nigdy nie jawią mu się proste i oczywiste. Podobnie z przypadkami życiowymi: nigdy nie jest mu dane życie proste i oczywiste, bez zakrętów, dramatów i komplikacji. Ze wszystkich czterech typów typ Wody najmniej jest przystosowany do prowadzenia jakiegokolwiek dochodowego interesu. Raczej dryfuje przez życie zdobywając się jednak na nadludzki wysiłek pokonywania najostrzejszych szczytów i eksplorowania najgłębszych głębi.

Szczęście i osobiste powodzenie kobiet typu Wody zależy w zupełności od stosunków z partnerem. Odbiera ona bowiem wszystkie jego stany psychiczne, jego zmienne humory, niepokoje; udziela się jej także jego aktywność. Wychodząc za mąż kobieta typu Wody chciałaby przede wszystkim czuć się potrzebna; chciałaby, aby jej wrażliwa i ochronna (na zasadzie piorunochronu) natura była doceniana przez męża i rodzinę. Typ Wody ulega silniejszemu. Nigdy nie walczy i chętnie rezygnuje z własnych ambicji na rzecz harmonii.

Ręka intelektualna

Wyróżnia się kwadratową dłonią i długimi palcami. Jest zazwyczaj giętka, o gładkiej skórze. Ręka mężczyzny na ogół bywa szeroka, z grubymi, choć delikatnymi palcami, podczas gdy ręka kobieca jest mała, z delikatnymi długimi palcami. Kciuk jest długi i mocny.

Długie palce i gładka skóra dowodzą, że typ ten jest wysubtelnionym typem Ziemi, tzn. że zasadnicze cechy Ziemi, dzięki intelektowi, stworzyły wyższy typ charakteru. Żywiołem ręki intelektualnej jest Powietrze.

Powietrze jest nieodzowne dla komunikacji; niesie ono głos ludzki, umożliwia działania skomplikowanego systemu porozumiewania się. Powietrze jest wolne, niczym nie skrępowane, łatwo przemieszczające się. Bez powietrza (podobnie jak bez wody) nie byłoby możliwe życie na ziemi. Ta charakterystyka w odniesieniu do ludzi bardzo ich różnicuje. Ludzie tego typu chcą być wolni, nie przywiązują się do miejsc i osób, choć marzą o takim przywiązaniu. Ich intelektualne osobowości wyrażają się najlepiej w myślowych kadencjach. Dana jest im wewnętrzna nieufność wobec wszelkich emocji.

Ludzie tego typu łatwo się adaptują do nowych warunków, toteż nie powinno sprawiać im kłopotu przenoszenie się z jednego miejsca do drugiego. Tak bardzo podlegają woli swego intelektu (niezależnie od jego zasobności), że wytyka im się na ogół nieustające „teoretyzowanie" – rzecz zupełnie odmienną od „marzycielstwa" Wody. Jednakże jedna cecha najbardziej warta jest podkreślenia: w każdej działalności lub sytuacji usiłują znaleźć konstruującą zasadę. W strukturach społecznych, w działaniu politycznym usiłują zaprowadzić sens i porządek, zastosować kategorie teoretyczne. Często wówczas popełniają zasadniczy błąd nie biorąc pod uwagę (ze względu na własną naturę) uczuć i emocji. Ich teorie są drętwe, a drętwota i wysoki stopień abstrakcji sprawia, że nie znajdują praktycznego zastosowania.

Mimo wszystko są dość sentymentalni i po jakimś czasie jednak zmęczeni usiłowaniem nawiązania porozumienia z grupą podobnych sobie lub większą społecznością. Ostatecznie przedkładają spokojne życie ponad wszelką „ognistą" aktywność.

Astrologicznie Powietrze związane jest ze znakiem Bliźniąt, Wagi i Wodnika, którymi rządzą planety: Merkury, Wenus i Saturn. Bystre, inteligentne i dociekliwe Bliźnięta, koleżeńska Waga oraz niezależny, o oryginalnym umyśle, kochający wolność Wodnik – składają się na naturę Powietrza.

Szybkość Merkurego (mityczny wysłannik bogów), temperatura i harmonia Wenus związanej przez tradycję z Saturnem, wskazują jak bardzo ta „trójca" przypomina typ Ziemi i jak dalece natura Powietrza jest wysublimowaną naturą „praktyczną". Wobec takiego zespołu cech nic dziwnego, że mnóstwo ludzi podlegających temu typowi zajmuje się pracą w „mass-mediach", dziennikarstwem, pisarstwem oraz organizatorstwem. Większość członków wszelkiego rodzaju klubów i stowarzyszeń to ludzie typu Powietrza, bowiem z natury poszukują oni współporozumienia powodowani rozmaitymi zainteresowaniami i rozmaitymi – jak im się wydaje – przyczynami.

Kobieta typu Powietrza, podobnie jak mężczyzna, jest oryginalna w myśleniu i chociaż niezaangażowana emocjonalnie tak, jak typ Ognia, jednak z kobiecą intuicją pojmująca stosunki międzyludzkie. Dzięki silnemu wpływowi Wenus jest ona zazwyczaj znacznie sympatyczniejsza aniżeli mężczyzna tego typu, choć pogardliwie odnosząca się do wszelkich sentymentów. Jeśli nie znajdzie towarzysza życia wśród mężczyzn typu Powietrza, powinna poślubić mężczyznę typu Ziemi, aby związek ich, przy poszanowaniu jej niezależności i oryginalności myślowej, mógł być dla niej ostoją.

Na koniec nasuwa się zasadnicza uwaga – nie ma typów gorszych lub lepszych, każdy ma swoje cechy dodatnie i ujemne. Nie zawsze mogą one pozostać w równowadze, toteż dążenie do harmonii w stosunkach międzyludzkich powinno być naturalne i instynktowne. Nie obędzie się jednak bez pewnego wysiłku – wysiłku rozumienia ludzkich charakterów i rozumienia głębszych, bo wynikających z natury ludzkiej, przyczyn zachowania się. Rozumiejąc staniemy się tolerancyjni wobec drugich i bardziej wymagający wobec siebie.

cdn.

Redaguje zespół:
Mirosław Chrzanowski, Olga Eberhardt, Robert Ginalski, Tadeusz Kaczmarek, Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Tadeusz Olszański, Anna Susicka

Opracowanie graficzne:
Mirosław Pokora

Opracowanie techniczne:
Stanisław Małecki

Ilustracje:
Andrzej Arcimowicz, Maria Choińska, Szymon Kobyliński, Jerzy Piontek, Marek Płoza-Doliński, Mirosław Pokora

Fotografie:
CAF, KAW

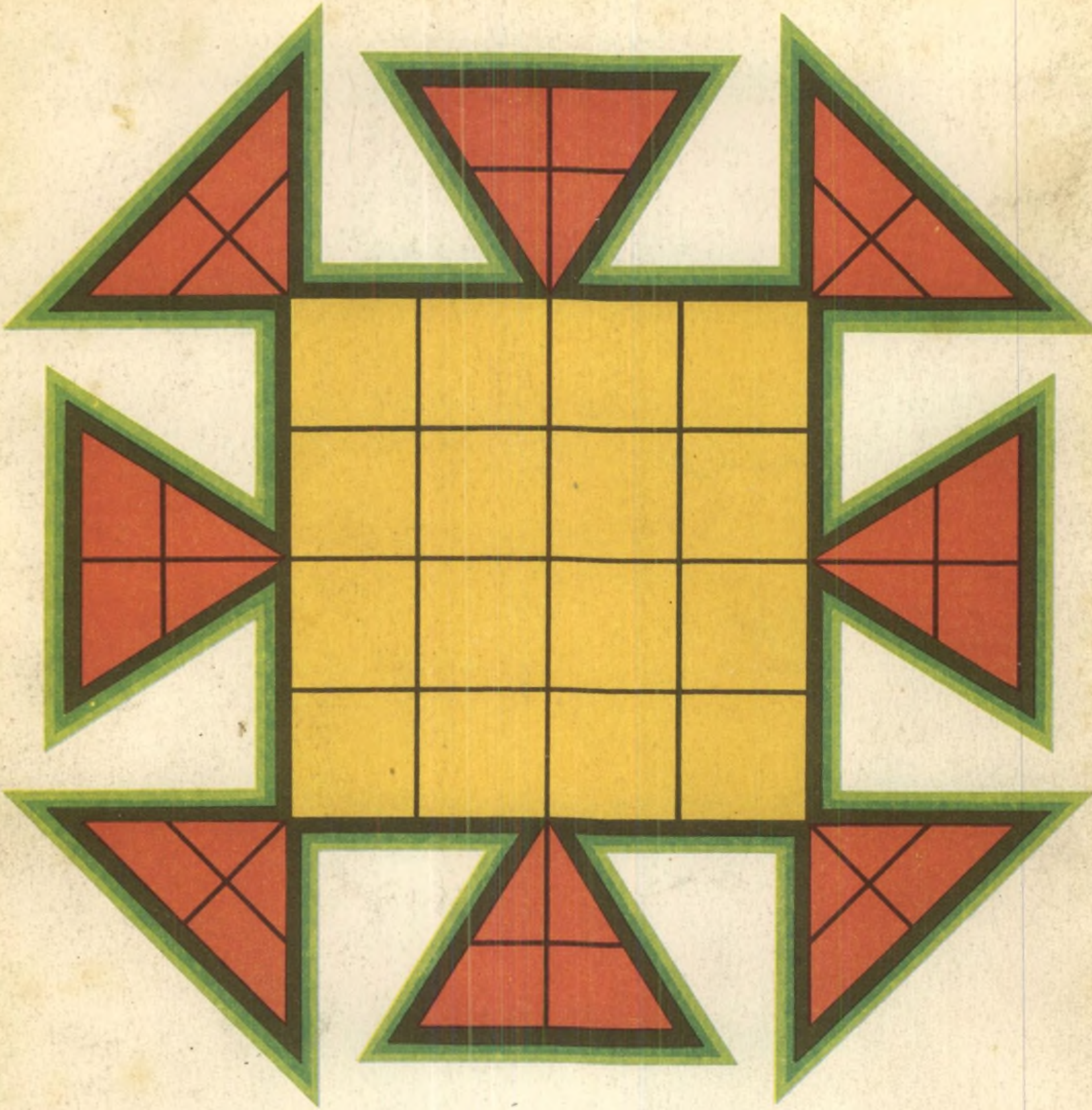
Projekt gry:
Wojciech Pijanowski

Korekta:
Magdalena Swoboda, Barbara Czechowicz

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA. RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"

Wydanie pierwsze. Nakład: 100 000+350 egz. Objętość: ark. wyd. 13,58, ark. druk. 10,25. Papier offset kl. III, 90 g, rola 61 cm. Nr prod. X-13/1168/82. Zam. 5219/11/83. T-88. Drukarnia im. Rewolucji Październikowej, Warszawa

ISBN 83-03-00543-X



TERHUCHU – łatwa gra dla dwóch osób

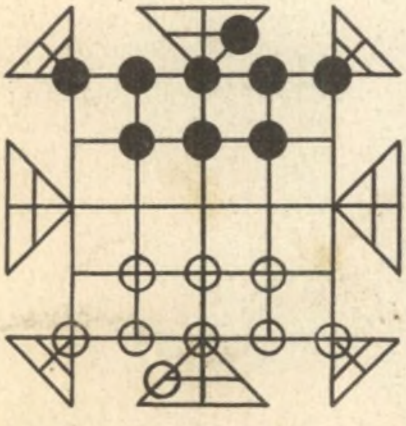
Każdy z graczy ma po dziewięć jednakowych pionków. Mogą to być dowolne drobne rekwizyty, jeden jednakże obowiązuje warunek – muszą być takie same dla tego samego gracza.

Na początku rozgrywki ustawia się pionki tak, jak na rysunku. Rozpoczynającego grę wyznacza się przez losowanie. Gracze wykonują ruchy na przemian, w jednym ruchu można przesunąć jednego pionka na najbliższe wolne pole, przesuwając tego pionka po linii znajdującej się na planszy.

W obrębie ośmiu trójkątów obowiązuje inna zasada przesuwania pionków: w jednym ruchu wolno je przesuwać o dwa pola.

Bicie jest obowiązkowe i wykonuje się je przez przeskoczenie pionka przeciwnika (tak jak w klasycznych warcabach). Można w trakcie rozgrywki bić w jednym ruchu kilka pionków przeciwnika przeskakując przez kolejne bite pionki.

Grę wygrywa ten, kto pierwszy zbije z planszy wszystkie pionki przeciwnika.



Plansza do gry wraz z początkowym ustawieniem pionków.

ISBN 83-03-00543-X

Cena zł 95.–